

Gra „Solidarnością”



WYMAZYWANIE i WKLEJANIE



rampa
50 LAT
TEATR NA
TARGÓWKU

ZŁY

WARSZAWSKA JAZZ OPERA

NA PODSTAWIE POWIEŚCI „ZŁY” I „DZIENNIKA 1954” LEOPOLDA TYRMANDA

SCENARIUSZ - MICHAŁ WALCZAK / REŻYSERIA - JERZY JAN POŁOŃSKI

PREMIERA 26-09-2025

PATRONI MEDIALNI:



PARTNERZY:





Jerzy Domański MÓJ PRZEGLĄD

Człowiek Trumpa w Unii

Nawet wybór na najwyższe stanowisko nie sprawi, że człowiek urodzi się na nowo. Matoł zostanie matolem, a przestępca nie wymaże z życiorysu swoich grzechów. Choć będzie próbował. Władza i dobrze opłacany dwór pomogą w lepszym maskowaniu. Czy to może się udać? Na dłuższą metę nie. Media społecznościowe są po to, by zaglądać za kulisy. Wszystkich nie da się kupić albo zastraszyć.

Wiemy, kim jest Trump, co robił i jakie decyzje podejmuje jako prezydent USA. Trudno znaleźć tam coś pozytywnego. Wręcz odwrotnie, w coraz bardziej niebezpiecznych czasach jest on dodatkowym problemem. Coraz większym. Destruktoorem, który ciągle coś rozwała. I megalomanem uważającym swoje rządy za złote czasy dla USA. Słucha niewyszukanych komplementów i prymitywnych pochlebstw w przekonaniu, że w pełni na nie zasługuje. Politycy, z którymi Trump się spotyka, cynicznie faszerują go tym, na co czeka. Inteligentniejsi, jak Macron, robią to z pewną gracją i finezją.

Karol Nawrocki tak chciał Trumpowi dogodzić, że opowiedział bajkę o 10-milionowej Polonii, która kocha amerykańskiego prezydenta miłością wielką. Kłamał, patrząc mu w oczy z nadzwyczajnym oddaniem. W USA Nawrocki wygrał z Trzaskowskim, mając poparcie 56% głosujących Polonusów. I nie były to miliony. Nie musiał składać hołdu lennego, bo przecież zaraz po bardzo

bogatej Arabii Saudyjskiej to Polska kupuje od USA najwięcej broni.

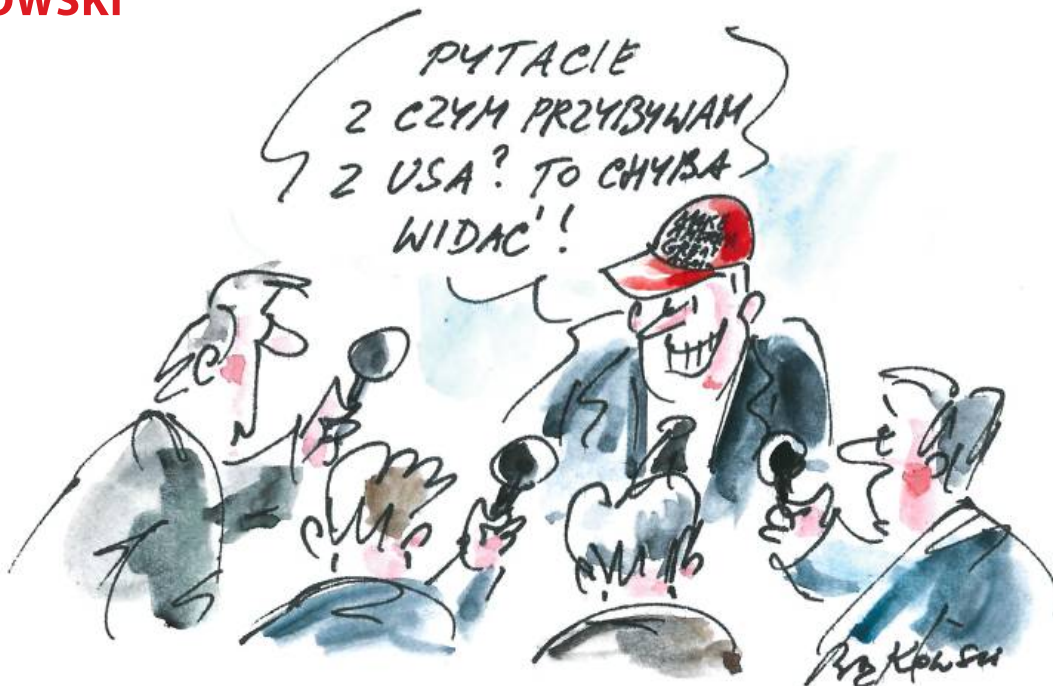
I to nie targując się. Będziemy kupowali kolejne samoloty, elektrownie atomowe, gaz. I co tylko Amerykanie będą chcieli nam wepchnąć. A za naszym pośrednictwem krajom z tej części Europy. Temu ma służyć powrót do idei Trójmorza. Trump widzi w Nawrockim forpcotę do budowania wpływów w Unii Europejskiej. Nie sądzę jednak, by tam też chcieli płacić drogo za coś, co jest lepsze i tańsze w Unii.

Jedno mamy już zagwarantowane. Miejsce na podium w spełnianiu życzeń Amerykanów. Pilnują tego w Warszawie kolejni ambasadorowie USA. O życzliwość namiestników Wielkiego Brata zabiegali prawie wszyscy politycy. I z pokorą słuchali żądań pracowników ambasady w sprawach dotyczących interesów amerykańskich w Polsce.

Czy Nawrocki choć szepnął o opodatkowaniu big techów albo o cłach, które Trump narzucił Unii? A więc i nam? Można opowiadać o wstawianiu z kolan, o suwerenności i godności, a później zrobić to, co Nawrocki u Trumpa. Nie ma to nic wspólnego z suwerennością Polski.

Donoszenie w Białym Domu na konkurencję polityczną i premiera Tuska jest formą zdrady stanu. Politycy, którzy tym się zajmują, to hołota, która działa na szkodę Polski. Są narzędziem lokowania w strukturach władzy obcych wpływów.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 **Jak USA robią na nas interesy**
Podsumowanie wizyty Nawrockiego
- 10 **Solidarność: kto ukradł legendę?**
Ta nazwa już nie zobowiązuje
- 14 **Solidarność à la PiS**
Miliony wydane na zbędny instytut
- 18 **Kto rządzi szkołą?**
Chaos obniża poprzeczkę w edukacji
- 22 **Biznes musi toczyć się dalej**
– rozmowa z Pawłem Mościckim

ZAGRANICA

- 26 **Kto uzna państwo palestyńskie**
Waszyngton zawłaszcza ONZ?
- 30 **Lewica się reorganizuje**
Nowa premier Litwy już hejtowana
- 34 **Miasto Boga, ulica człowieka**
Korespondencja z Włoch

OPINIE

- 38 **Jan Kazimierz Czubak**
Dwie dekady przepychanek w Chorzowie

HISTORIA

- 40 **Warszawa 1944, Warszawa 1945**
Twórcy kultury wspierali odbudowę

SPORT

- 44 **Był pomysł i plan na mecz**
Trener Urban pozytywnie zaskoczył

EKOLOGIA

- 46 **Drzewa w stresie**
– rozmowa z prof. Marcinem Zychem

KULTURA

- 48 **W miłosnym trójkącie**
– rozmowa z Łukaszem Grzegorzkiem
- 51 **Culturalia**
- 66 **Renata Szpunar. Malarstwo**

TECHNOLOGIE

- 52 **Concorde – reaktywacja**
Wróć pasażerskie loty naddźwiękowe?

ZDROWIE

- 54 **Z receptą w ręce**
Za mało profilaktyki, za dużo leków

OBSERWACJE

- 57 **Internet z grzybów**
Czy grzybnia łączy las w jedno?
- 60 **W stolicy, ale jak na wsi**
Wolica – enklawa pod bokiem Ursynowa

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 **Jerzy Domański**
Człowiek Trumpa w Unii
- 25 **Jan Widacki**
Grudziądz semper fidelis
- 29 **Roman Kurkiewicz**
Interes robiony na ludobójstwie
- 33 **Tomasz Jastrun**
Powrót



SOLIDARNOŚĆ À LA PIS

Miliony wydane na zbędny instytut



MIASTO BOGA, ULICA CZŁOWIEKA

Korespondencja z Włoch



INTERNET Z GRZYBÓW

Czy grzybnia łączy las w jedno?

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI





✉ Bezkarni, bezczelni, bezmyślni

Lektura artykułu, a zwłaszcza fragmentu o trzech kierowcach, którzy mieli rekordowe 19 (!) zakazów prowadzenia pojazdów, nasunęła mi pewną refleksję. Czy sądy nie mogą, czy nie chcą nic robić z takimi kierowcami? Spójrzmy na tę sytuację z innej perspektywy: jesteście państwo sędzią orzekającym wobec

kierowcy, który miał już 18 zakazów prowadzenia. Czy naprawdę tym 19. delikwent się przejmie? Taki człowiek już przy złamaniu pierwszego zakazu powinien dostać przynajmniej obowiązek prac społecznych, żeby było jasne, że instytucja państwa daje mu fory, nie zmieniając przymusowo ostatniego adresu zamieszkania przy ul. 17 Stycznia 28 w Rawiczu. A jeśli znowu tak się zachowa na drodze, to żadnej taryfy ulgowej i trzeba go wystać do tego Rawicza czy Białoleki. Orzekanie kilku czy kilkunastu zakazów nic nie da, skoro z jednego delikwent nie sobie nie robi. Nurtuje mnie tylko pytanie, czy sędziowie nie mogą, czy nie chcą iść w stronę, o której tu mówię.

Tomasz Wasiołka

f To wierzchołek góry lodowej. Codziennie „siedzą mi na zderzaku” w obszarze zabudowanym całkiem trzeźwi, jak miemam, kierowcy ciężarówek oraz mniejszych samochodów dostawczych. Z prozaicznego powodu – jadę przepisowo. Codziennie mój samochód jest wyprzedzany w miejscach niedozwolonych: na podwójnej ciągłej, na skrzyżowaniach, przejściach dla pieszych, przejazdach kolejowych itp. Bo panowie szlachta mają włączony

tempomat albo tak bardzo się śpieszą, by nasza gospodarka nie upadła, że nie ma dla nich większej świętości, niż zarobić, nawet kosztem cudzego zdrowia i życia. O młodocianych kierowcach mocno przechodzonych bmw nie wspominając. Dla nich bezmyślność i brawura to sposób na dobre spędzenie czasu. Co gorsza, na wielu drogach policji nie widać miesiącami, jeśli nie latami. To nie wysokość kary odstrasza, ale jej nieuchronność.

Michał Błaszczak

f Tatry moich czasów

W latach 60. wędrowałam po Tatrach. To był obóz szkolny organizowany przez opiekuna kółka turystycznego. Przed wyjazdem przygotowywaliśmy się do wędrowki. Odbywaliśmy wielokilometrowe piesze wycieczki, by mieć kondycję. Wiedzieliśmy, jak się zachować w górach i jak się ubrać (to w nawiązaniu do dzisiejszych zachowań osób wędrujących po górach). Pamiętam, jak wybieraliśmy się na Giewont. Było cicho i od czasu do czasu mijała nas niewielka grupa lub pojedyncze osoby. Zwyczaj przekazywania sobie pozdrowień był wtedy powszechny i bardzo sympatyczny. Dzisiaj przy tabunach pseudoturystów, zachowujących się głośno, rzucających śmieci, nie jest to możliwe. Od lat nie jeżdżę w góry, bo to nie wypoczynek, lecz mordęga. Żal tamtego czasu, kiedy można było napawać się ciszą i podziwiać widoki. Cóż, wspomnienie czar.

Danuta Drelich-Pacanowska



ZDJĘCIE TYGODNIA

Łabędź vel Kaczka w kamaszach – gwiazdą tegorocznych targów przemysłu obronnego w Kielcach jest dron wodno-ładowy Kaczka zaprojektowany przez studentów Akademii Wojsk Łądowych. Wyposażony jest w kamerę i może przenosić 10 kg ładunku wybuchowego. Młodym konstruktorom gratulujemy fantazji.



W marcu 2025 r. na terenie Europy według danych Komisji Europejskiej przebywało **4,25 mln Ukraińców** objętych ochroną przysługującą uchodźcom. Najwięcej w **Niemczech (1 184 890), Polsce (997 120)**, Czechach (365 055), Hiszpanii (233 825), Rumunii (182 835) i we Włoszech (165 225) („Angora”).

750 tys. nauczycieli pracowało w polskich szkołach w minionym roku szkolnym. Zdaniem ZNP do prawidłowego funkcjonowania szkolnictwa **brakuje 22 tys.** Wakaty są wypełniane rosnącą liczbą nadgodzin.

Fundacja Grand Press przyznała Medale Wolności Słowa. W kategorii Instytucja medal otrzymał **prof. Tadeusz Kowalski**, członek KRRiIT, medioznawca z UW. W kategorii Media – **Patrycja Redo-Łabędziewska**, szefowa programu „Czarno na białym” w TVN 24. W kategorii Obywatel – **Dominika Lasota**, aktywistka klimatyczna. Specjalny Medal Wolności Słowa **przyznano prof. Adamowi Strzemboszowi**. Laureatów wybrała kapituła pod przewodnictwem **prezesa Fundacji Grand Press Weroniki Mirowskiej**.

W latach 2016-2023 zmodernizowano lub zbudowano od nowa prawie 200 obiektów dworcowych. Kosztowało to ponad 3 mld zł. W planach jest unowocześnienie 150 dworców.

180 samorządów w Polsce wprowadziło ograniczenia w sprzedaży alkoholu. W Warszawie tylko cztery dzielnice są za zakazem sprzedaży alkoholu w nocy. W pozostałych sprzeciwiają się temu radni Platformy Obywatelskiej.

Najniższy wskaźnik dziecięcości w 2024 r. odnotowano w Świętokrzyskiem i Dolnośląskiem (1,01) oraz w Opolskiem (1,02), a najwyższy na Mazowszu (1,29, poza Warszawą) i w Wielkopolsce (1,17) (**GUS**).

W 20. edycji **Nagrody Literackiej Gdynia** nagrodzone zostały: **Joanna Wilengowska** za książkę „**Król Warmii i Saturna**” (Czarne), **Anouk Herman** za tomik „**Silesian Gothic**”, **Elżbieta Łapczyńska** za powieść „**Mowa chleba**” (Agora) i **Agnieszka Kowaluk** za przekład książki „Dane osobowe” Elfriede Jelinek (W.A.B.).

W pierwszym półroczu 2025 r. **wydalono z Polski 4,4 tys. cudzoziemców**, najwięcej Gruzinów (890). W rejestrze osób niepożądanych jest 31 tys. cudzoziemców („**Rzeczpospolita**”).

W zacieklej obronie imunitetu Małgorzaty Manowskiej związani z PiS Piotr Andrzejewski i Piotr Sak dali w Trybunale Stanu typowy dla tej partii pokaz chamstwa, agresji i inwektyw.

Mięsożercy opanowali Kancelarię Prezydenta. Nowi złożyli zamówienie na 5,3 tony drobiu, 4 tony surowego mięsa wieprzowego, 3 tony wołowiny, do tego salami, kindziuki, balerony i półgęski. Na zdrowie i smacznego.

W 2029 r. upływają dwie pięcioletnie kadencje prezydentów, burmistrzów i wójtów, co oznacza, że ponad **1,5 tys. osób straci dotychczasowe stanowisko**.

W Jarosławiu, który jest miastem 40-tysięcznym i ma 10 kościołów, rozpoczęto budowę jeszcze jednego. Mieszkańców nikt o zdanie nie pytał.

PRZEBŁYSKI

Magdalena Hajduk – jaskółka wśród wróbli

Orszak znajomych Nawrockiego, którzy obsiedli miejsca po ekipie Dudy, jest liczny i równie marny. Albo jeszcze gorszy. Chyba że taki był zamysł prezydenta, który ich dobierał na obraz i podobieństwo swoje. Jest jednak wyjątek. Magdalena Hajduk. Dobrze wykształcona, absolwentka MBA na Politechnice Gdańskiej i dziennikarstwa na Uniwersytecie Gdańskim. Z 20-letnim doświadczeniem w komunikacji społecznej, marketingu internetowym i IT. Potrafiła ożywić nawet takiego ramola jak IPN. Od paru lat wędruje z Karolem Nawrockim. Była w Muzeum II Wojny Światowej i IPN. A teraz jest etatową doradczynią prezydenta. Skąd się wzięła? Konkurencja IPN wytropiła, że Magdalena Hajduk jest synową Wiktora Hajduka, jednego z liderów Ruchu Narodowego w Trójmieście. Sławomir Cenckiewicz pisał o nich, że byli powiązani z SB. Choć sam w latach 90. brał udział w akcjach Ruchu. Rozumiecie coś z tego? A Nawrockiego rozumiecie?



Maków Mazowiecki ma króla (Chrystusa)

Nijak nie da się udowodnić, że to właśnie Maków Mazowiecki cieszy się jakąś szczególną opieką sił nadprzyrodzonych. Jest wręcz odwrotnie. Jeszcze cztery lata temu miał ponad 10 tys.



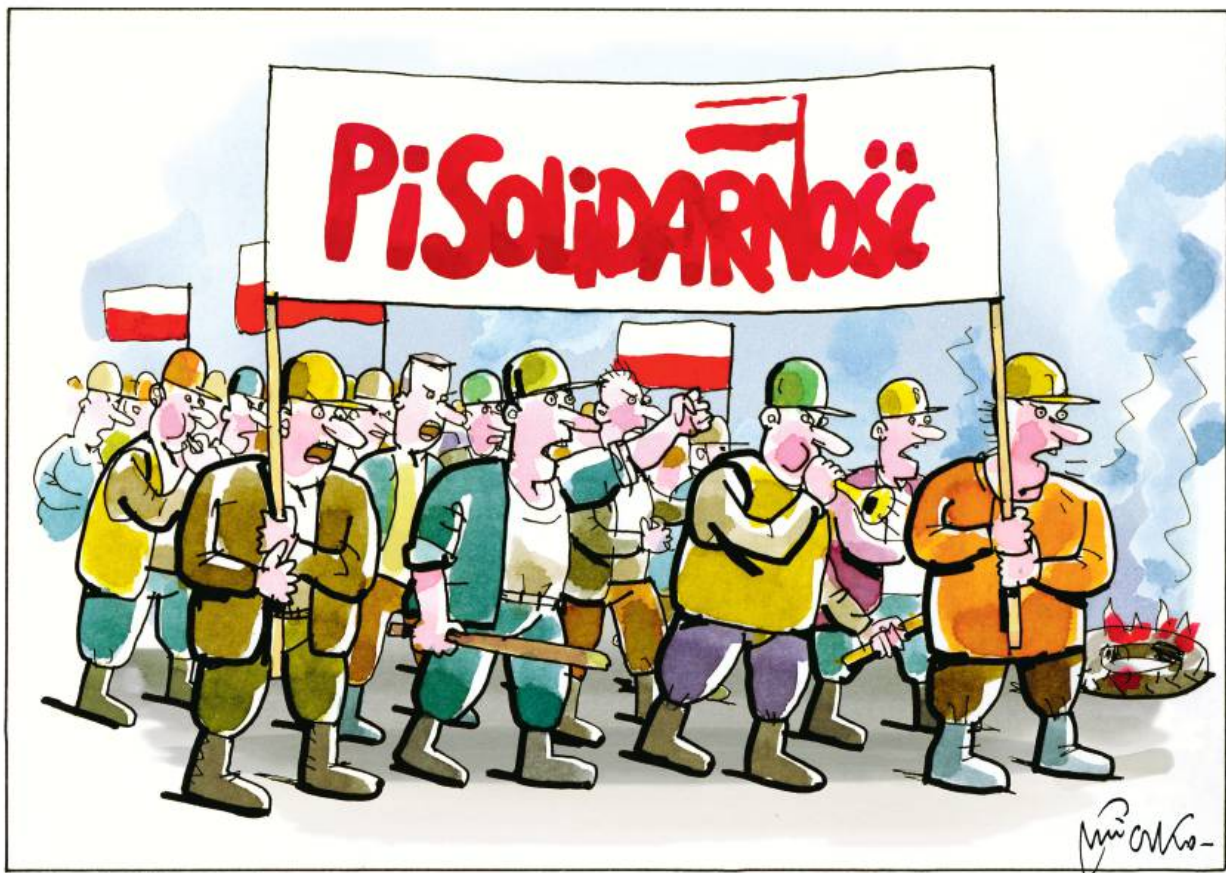
mieszkańców, dziś – tylko ponad 8 tys. Za to z bezrobociem na poziomie 15,8% plasuje się w Polsce w pierwszej trzydziestce.

Jak wyjść z tej biedy i beznadziei? Pomysł siedmiorga radnych powiatowych z PiS jest równie kuriozalny jak ta partia. Przy tchórzliwej postawie radnych z PO, którzy wstrzymali się od głosu, rada powiatu intronizowała Jezusa Chrystusa na króla powiatu makowskiego: „Zawierzamy mu nasze codzienne sprawy, życie rodzinne, samorządowe i społeczne...”. Jak to spuentować? I odtąd ta kraina mlekiem i miodem płynęła, a ludzie żyli szczęśliwie?

Fikcyjni doradcy

Dojna zmiana. Nie ma trafniejszego opisu rządów PiS. Arma da Kaczyńskiego, ich rodziny i znajomi zagarniali kasę grabiami. I to za NIC. Dosłownie nie robili NIC. Fikcyjne zatrudnianie doradców było specjalnością PZU SA, Banku Pekao SA i wszystkich spółek skarbu państwa, które wpadły w te chwytliwe łapska. Raport Biura Bezpieczeństwa PZU: „brak dowodów na wykonywane działania”, „brak JAKICHKOLWIEK korzyści z ich działania”. Rekordzista, prof. Alojzy Nowak, zarobił 4 mln zł w PZU SA, także prof. Andrzej Kidyba uciułał 454 tys. zł (za pięć miesięcy), Małgorzata Raczyńska-Weinsberg – 1,5 mln zł + 1 mln zł w Pekao SA. Witold Kornicki, brat Zbigniewa Ziobry – 4,6 mln zł, Jarosław Olechowski – 1,5 mln zł, Ryszard Madziar – 2,8 mln zł, żona Radostawa Piesiewicza – 1,1 mln zł (za pół roku). W Enei doradców było dziewięciu. I są pierwsze zawiadomienia do prokuratury. Będą ich jeszcze setki. A finał? Jaka będzie kara za wydanie (ukradzenie) setek milionów?





PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego tak łatwo można manipulować Polakami?

PROF. MIROSŁAW KARWAT,

politolog, kierownik Katedry Teorii Polityki i Myśli Politycznej WNPiSM UW

Dość powszechna podatność na manipulację w przekazie politycznym wynika m.in. z niskiego poziomu i zakresu wiedzy obywatelskiej rodaków, tylko wyrwykowego i doraźnego zainteresowania polityką (a i wtedy nie meritum, ale detalami lub chwilowymi wrażeniami i nastrojami), z krótkiej pamięci wyborców o decyzjach i czynach polityków oraz z braku przyzwyczajenia do ciągłości w myśleniu, do porównywania źródeł i treści informacji, co umożliwiałoby samodzielność i krytycyzm w ocenach. Dominują subiektywne kryteria wiarygodności i skłonność do wiary na kredyt (z góry w dowolnej sprawie i sytuacji, na zawsze) ze względu na kryterium „swój, nasz, normalny, prawdziwy Polak” oraz irracjonalne uprzedzenia do oponentów. Znać tu efekty zarówno wychowania religijnego, jak i marketingu – jedno i drugie naprowadza na emocje, nie na przemyślenia.

PROF. RADOSŁAW MARKOWSKI,

profesor nauk społecznych

Możemy najwyżej mówić o takich Polakach, którzy dają sobą manipulować lub nie dają. Mamy przecież bagaż wiedzy naukowej, dzięki której m.in. latamy w kosmos. W odróżnieniu od wypowiedzi religijnych w naukę wdrukowane są autokorekty. W przypadku religii mamy instytucję, która dba o nienaruszalność głoszonych dogmatów, nawet jeśli są sprzeczne z empirią. Kiedy mowa o manipulacji, myślimy więc o ludziach, którym przedstawia się świat, jakiego nie ma. Są to osoby ideologicznie zawłaszczone przez sprawnych manipulatorów. Działa też mechanizm chodzenia na skrót – pozwalania, żeby ktoś decydował za nas. To opisywana przez Fromma ucieczka od wolności. Niestety, te mechanizmy jeszcze się wzmocniły w ramach rozwoju sztucznej inteligencji. Groźne jest zwłaszcza to, co się dzieje z młodzieżą, która już dziś woli od rodziców przyjaciół wykreowanych przez SI. To wielkie zagrożenie dla przyszłości gatunku.

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ,

politolog, UW

W każdym społeczeństwie najczęściej jest Jarząbków, tj. pracowników najemnych. Tkwią oni w jarzmie korzystnej sprzedaży swojej siły roboczej. To smycz, którą trudno zerwać. To ona ogranicza horyzont poznawczy jednostki. Najważniejsza jest płaca. Wymaga to wiedzy o rynku pracy, a także znajomości królestwa Biedronki: gdzie i kiedy można tanio kupić coś do garnka i na grzbiet. Z powodu konkurowania o pracę jednostka jest podatna na uprzedzenia, np. wobec przybyszów z kolorowego świata. Z tej perspektywy ocenia wszystkie partie. PiS sprytnie wykorzystało to nastawienie i zdobyło serca ludzi decyzjami o płacy minimalnej, o 13. i 14. emeryturze, o 500+, troską o rolników. Do tego trzeba dodać kokon poznawczy, w który każdego owijają szkoła, ambona, akademie, język o błogosławionych kreatorach miejsc pracy. I o dobrym Wuju Samie.

Jak USA robią na nas interesy

Usłużny Nawrocki, uslužne PiS i trudna sytuacja rządu

Robert Walenciak

Ogłoszono sukces. Donald Trump powiedział Karolowi Nawrockiemu, że nie wycofa żołnierzy amerykańskich z Polski. A może nawet zgodzi się, by było ich u nas więcej. Tyle wystarczyło, aby część mediów obwieściła wielki sukces Nawrockiego i to, że wraca z Waszyngtonu z tarczą.

I.

Zatrzymajmy się przy tej sprawie. Otóż, po pierwsze, w Polsce przebywa 8-10 tys. amerykańskich żołnierzy. Ich obecność jest dla Ameryki ważna – to oni zabezpieczają kluczowy dla wojny w Ukrainie hub w Jasionce. Ameryka ma w ten sposób kontrolę nad dostawami dla walczącej Ukrainy. Po drugie, obecność wojsk amerykańskich w Polsce wzmacnia wpływy Waszyngtonu w naszym regionie. Ameryce zaś na nich zależy, Polska bowiem ma swoją wagę nie tylko z racji położenia geopolitycznego, ale także dzięki rosnącej roli w Unii Europejskiej. A wpływ na Unię Ameryka chciała by zwiększyć.

Innymi słowy, trudno przypuszczać, by w obecnej sytuacji Donald Trump zdecydował się na wycofanie wojsk amerykańskich z Polski. Podobnie zresztą jak nie decyduje się na wycofanie swoich wojsk z Niemiec, co obiecał kanclerzowi Merzowi.

Po trzecie, obecność militarna w Europie jest gwarancją wpływów politycznych, a z nich Ameryka nie chce przecież rezygnować. A te różne groźby? Odłóżmy je na bok. Chodzi tu raczej o redukcję „nadmiarowych” wojsk, tych, które do Europy w 2022 r. wysłał Joe Biden. I jeszcze o pieniądze. Polska płaci za amerykańskich żołnierzy, mamy w tej sprawie umowę. Cóż więc szkodzi



Nawrocki obiecał Trumpowi, ile się da, i jest szczęśliwy. Waszyngton, 3 września 2025 r.

zagrozić wyjściem, żeby uszczknąć trochę dodatkowej kasy?

Dodajmy punkt czwarty. Nawrocki się chwalił, że załatwił przedłużenie obecności wojsk amerykańskich w Polsce i gwarancje bezpieczeństwa. Przypomnijmy zatem: to wszystko Trump obiecał Polsce jeszcze przed rozmowami! Ta decyzja została już podjęta wcześniej. Nawrocki ją otrzymał. Czyli niczego w tej sprawie nie negocjował.

A jeśli chodzi o sukces, to odniósł go Ameryka. Stany Zjednoczone mają 750 baz wojskowych w 80 krajach. To dla nich znaczący wydatek. Poza Polską, bo u nas to my płacimy.

W tym wszystkim zastanawia jeszcze jedno: nikt nie zauważył, że jest coś niestosownego w zachowaniu Donalda Trumpa, w jego deklaracji, że zostawi wojska amerykańskie

w Polsce. Wyglądało to przecież jak kaprys wujaszka w przypiływie dobrego humoru. Czy na takich deklaracjach można budować przyszłość? Można być pewnym, że za dwa miesiące wujek Donald nie zmieni zdania?

Przy okazji: dziennikarze pytali Nawrockiego, czy przestrzegał Trumpa przed Putinem. Tak – odpowiadał Nawrocki – mówiłem prezydentowi Trumpowi, że Putinowi nie należy ufać.

To pewnie dobrze, że takie ostrzeżenia Nawrocki formułował. Ale czy ktoś wierzy, że Trump nimi się przejął? Ameryka prowadzi własną politykę, jeśli chodzi o Rosję i Ukrainę. I można było odnieść wrażenie, że te sprawy nie znalazły się w amerykańskiej agendzie rozmów. One są ponad nami.

II.

A co znalazło się w amerykańskiej agendzie? Z wizyty Nawrockiego zapamiętamy awanturę o instrukcje rządowe. I to, że zostały one ujawnione, co w świecie dyplomacji jest rzeczą niesłychaną. Ale dzięki temu mogliśmy się zorientować, czego rząd się obawiał i w jakich sprawach zalecał Nawrockiemu wstrzeźliwość. Czyli jakie sprawy mogą być na stole. Dowiedzieliśmy się, że MSZ zalecało prezydentowi, by nie rozmawiał na temat podatku cyfrowego, ewentualnego zakupu amerykańskiej broni i amerykańskich inwestycji energetycznych. Innymi słowy, by Nawrocki nie podejmował zobowiązań w imieniu Tuska.

To naturalne. Miejmy świadomość, że politykę zagraniczną prowadzi rząd, a prezydent nie może zaciągać jakichkolwiek zobowiązań – dotyczących dyplomacji, spraw wojskowych czy gospodarczych. On zaś ewidentnie miał na to ochotę i takie zobowiązania poczynił.

Podczas spotkania z Trumpem Nawrocki napomknął, że Polska przeznaczona obecnie 4,7% PKB na zbrojenia. I zapewnił, że osiągniemy poziom wydatków 5% PKB. Na co pójdą te pieniądze? Czy trzeba więcej tłumaczyć?

USA mają 750 baz wojskowych w 80 krajach. To dla nich znaczący wydatek. Poza Polską – u nas to my płacimy.

Po spotkaniu Nawrocki przyznał też, że rozmawiał o zwiększeniu zakupów amerykańskiego gazu. Pardon, rozmawiał o tym, jak Ameryka będzie pomagać Polsce w procesie uniezależnienia się od rosyjskich surowców. Co ciekawe, cena tego gazu już go nie interesowała.

Ponadto rozmawiał o planach budowy drugiej elektrowni jądrowej. No i o zwiększeniu amerykańskiej obecności w Polsce. O wielkim przedsięwzięciu – można więc przypuszczać, że rozmawiał o bazie wojsk USA, marzeniu polskiej prawicy.

Oczywiście za chwilę usłyszymy, że za sprawą Ameryki Polska obsypana została nadzwyczajnymi darami: gazem, czołgami, samolotami

i elektrownią. Ale raczej nie usłyszymy, że za te wspaniałości będziemy musieli zapłacić, i to grubo. Władysław Kosiniak-Kamysz mówił, że realizujemy kontrakty z amerykańskimi firmami zbrojeniowymi na sumę 60 mld dol. Jesteśmy drugim po Arabii Saudyjskiej kupcem amerykańskiego uzbrojenia. Czy naprawdę musimy zatem skakać z radości, gdy Amerykanie fundują naszemu prezydentowi honorowy przelot myśliwców F-35? Takiemu dobremu klientowi chyba się należy?

III.

Jest jeszcze trzeci wątek wizyty. Otóż Nawrocki zobowiązał się do wielu rzeczy, choć nie miał do tego kompetencji. Zobowiązał się z rozmysłem, Amerykanie zaś to wykorzystali. W ten sposób w kłopotliwej sytuacji postawił Donalda Tuska i rząd. Bo trudno będzie Amerykanom odmówić.

Oto więc pętla. Jedni grają na swój partyjny interes – dla PiS i dla Nawrockiego wywalenie Tuska to sprawa numer jeden. Mają nadzieję, że przy pomocy Trumpa im się uda, bo go przekonają, że Tusk, Sikorski

Lecha Wałęsy – i związany z nagrodą czek na 1 mln zł. I żeby, przy okazji uroczystości, odbyć rozmowę z sekretarzem stanu Markiem Rubiem.

Śmiał się więc Mateusz Morawiecki, że Sikorski wywała 1 mln zł, aby przez parę minut porozmawiać z Rubiem i chwalić się swoimi stosunkami w Ameryce. Na co w odpowiedzi usłyszał, że rozmowa trwała długo i w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy Sikorski i Rubio spotkali się 12 razy.

Swoje trzy grosze do sprawy stosunków polsko-amerykańskich dorzucił Donald Tusk, pisząc w internecie – to przy okazji rozmowy Nawrocki-Trump – że „przyjaźń polsko-amerykańska jest

Nawrocki zobowiązał się do wielu rzeczy, choć nie miał do tego kompetencji.

ponadczasowa”. No i nie mogło w tym wszystkim zabraknąć głosu Władysława Kosiniaka-Kamysza – on też kocha Amerykę najbardziej.

Widzimy więc wyścig polskich polityków o przychylność Wielkiego Brata. Kto da więcej. I to zaczyna być dla Polski niekomfortowe. Niestety, stosunki polsko-amerykańskie stały się elementem wewnętrznych rozgrywek w Polsce. PiS i PO ścigają się, kto ma lepsze układy z amerykańską władzą. A jaki jest efekt tych kontaktów? O tym mówi się mniej, choć to my te rachunki płacimy.

Wiele lat temu, w roku 2014, ujawniona została rozmowa Radosława Sikorskiego z restauracją Amber Room, zarejestrowana w ramach tzw. afery taśmowej. Sikorski mówił: „Polsko-amerykański sojusz jest nic niewart. Jest wręcz szkodliwy, bo stwarza Polsce fałszywe poczucie bezpieczeństwa (...). Bullshit kompletny. Skonfliktujemy się z Niemcami, z Rosją i będziemy uważali, że wszystko jest super, bo zrobiliśmy laskę Amerykanom. Frajerzy. Problem w Polsce jest taki, że mamy bardzo płytką dumę i niską samoocenę. Taka murzyńskość”. Chyba niewiele się zmieniło.

r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

Solidarność

KTO UKRADŁ LEGENDĘ?

Jako sztandar sprąta się, jako związek zawodowy stoczyła do roli pisowskiej przybudówki

Robert Walenciak

Hańba bohaterom! Od lat już tak przebiega świętowanie rocznic Solidarności, z roku na rok coraz bardziej smutne i sztampowe. Od lat słyszymy, że Polska ma swoją *soft power*, towar eksportowy – Solidarność, tyle że to na żaden eksport już się nie nadaje. Ba! Solidarność ma także swoje wielkie muzeum, w którym lejtmotywnem jest opowieść, że zmieniła nie tylko Polskę, ale i całą Europę Środkową. Pięknie, ale to też coraz mniej kogokolwiek wzrusza.

Bo co ma wzruszyć? Gromada otyłych działaczy oklaskujących PiS? Czy grupka szlachetnych weteranów wzdychających, jak to było wspólnie? Neon z napisem Solidarność blaknie i przerywa. Panie i panowie, czas zgasić światło!

Jeżeli ktoś wahał się, co sądzić o tej sprawie, to po ostatnich obchodach, patrząc, co z Solidarności zostało, chyba wątpliwości się wzbudziły. Ta rocznica, 31 sierpnia, to miał być, tak mówiono kiedyś, akt założycielski współczesnej Polski. Tę współczesną Polskę i współczesną Solidarność ujrzeliśmy w pełnej krasie.

Dzisiaj Solidarność (nazwa już nie zobowiązuje) jest taka, że uroczystości podpisania Porozumień Sierpniowych organizowane są osobno. Bo odbywają się dwie, miasta Gdańsk i związku zawodowego, niechętnie jedna drugiej. Plac przed stoczną został podzielony barierkami. A sama Solidarność pomija

swojego pierwszego przewodniczącego. I choć ta Solidarność mówi tak wiele o wolności, wspólnocie, pluralizmie itd., w jej opowieści ludzie, którzy wówczas, w sierpniu, kierowali strajkami – Wałęsa, Borusewicz, Lis – zostali wymazani. W tej opowieści uczciwymi Polakami są tylko ci z PiS. Jedyłą zaś stacją dopuszczoną do transmisji uroczystości była TV Republika. Strach się bać takiej wolności i takiego pluralizmu.

Nieprzyjemnie jest wysłuchiwać wynurzeń Karola Nawrockiego, dziś prezydenta RP, a jeszcze niedawno szefa IPN, który o Lechu Wałęsie mówił łaskawie, że owszem, był przewodniczącym Solidarności i o nim „zapominać nie możemy,

wszelkich brudów, by go poniżyć. Teraz ta działalność weszła na nowy poziom, bo do grona bohaterów włączono Cenckiewicza, dyżurnego chwalcę i dyżurnego delatora.

Mamy więc do czynienia z klasyczną manipulacją: wymazywaniem jednych i wklejaniem drugich. Niby nic nowego, historia zna podobne przypadki, ale gdy widzi się coś takiego, można reagować jedynie obrzydzeniem. Zwłaszcza że to kłamstwo ma ciąg dalszy. Nawrocki w swoim wystąpieniu mówi, że rocznica Porozumień Sierpniowych to święto tych, „którzy zachowali się jak trzeba w 1980 r., a o których państwo polskie na wiele lat i na wiele dekad zapomniało”.

**Neon z napisem Solidarność blaknie i przerywa.
Panie i panowie, czas zgasić światło!**

bo poddaliśmy się historycznej amnezji”, ale zaraz dodawał: „Nikt nie zabroni nam opisywać rzetelnie i mówić prawdę o tym, kim był Lech Wałęsa. I za to dziękuję Stawomirowi Cenckiewiczowi!”.

Ta cała dzisiejsza Solidarność w dniu swojego święta ze szczęściem w oczach pluła na pierwszego przewodniczącego. A prezydent RP jej w tym sekundował. I rozwijał twórczo wszystkie jej teorie.

Już to wiemy, polska prawica od dawna mówi, że Wałęsa jest człowiekiem podejrzanym i niepewnym. A przez „rzetelne” opisywanie i „prawdę” rozumie wyciąganie

Mamy w tej opowieści, powtarzanej przez PiS w różnych wersjach, nieokreślony tłum tych, którzy byli – używając dawnego języka – klasą robotniczą. Mityczne masy, które mają rację. Przed nimi chylimy głowy. A że w gronie tych, którzy byli wtedy w stoczni, wśród tych mas, znajdowali się również Lech Wałęsa, Bogdan Borusewicz, Bogdan Lis, tramwajarka Henryka Krzywonos i doradcy, już nieżyjący, Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek? Ich się nie dostrzega, w najlepszym razie stawia gdzieś z boku. Można wnioskować, że jeśli byli, to dość przypadkowo. Owszem, można



Otwarcie historycznej bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej podczas obchodów 45. rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych. Nz. Bogdan Borusewicz, Henryka Krzywonos-Strycharska i Sławomir Rybicki. 31 sierpnia 2025 r.

o nich napomknąć, ale półgębkiem, przy okazji wypominając – w imię prawdy, a jakże – wszystkie grzechy oraz słabości sprzed lat i późniejsze. I wiadomo, jak to się skończyło. Za to ci z dalszych szeregów... Niepokalana klasa robotnicza! I niepokalani ci, którzy dziś w jej imieniu mówią. Dziękują, klaszczą, rozdają ordery, a kogo trzeba – gromią. Mali ludzie tamtych czasów, nie mogą stawać obok tych większych, ściągają ich w dół. Tak oto powracają sceny z innej epoki, z historii ruchu robotniczego. Jako farsa.

Dlatego skończmy już i z tą Solidarnością, i z tymi rocznicami. Bo naprawdę niesmaczne jest fetowanie Piotra Dudy, Sławomira Cenckiewicza i Karola Nawrockiego.

Można rzec, że ukradziono Solidarności tę rocznicę. Tylko dlaczego tak łatwo się to udało? Liderzy tamtych dni wydają się zdezorientowani. „45 lat temu tu stała cała masa ludzi przed bramą. Ludzi życzliwych. Dzisiaj jesteśmy podzieleni. Podzielił

nas jeden mały człowiek po katastrofie smoleńskiej”, mówiła Henryka Krzywonos-Strycharska.

„Byliśmy razem. I marzy mi się taka sytuacja, żeby w następnym roku ta uroczystość była wspólna. Co roku marzę o tym, żeby następna uroczystość była wspólna” – to słowa Bogdana Borusewicza, organizatora tamtych strajków.

A Bogdan Lis, ówczesny wiceprzewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, wspominał: „Gdy wracam pamięcią do tych 18 dni strajkujących robotników stoczni, to do dzisiaj nie zdarzyło się w moim życiu nic, co mogłoby zmienić mój stosunek. To były najpiękniejsze dni w moim życiu. Były trudne, bo przenikały się dwa elementy. Nadzieja na sukces, nadzieja na to, że podpiszemy porozumienie. I strach. Te dwie rzeczy były obecne w stoczni. Myśmy tam czuli, że jesteśmy wolnymi ludźmi mimo tego strachu”.

To są słowa świadków historii, którzy byli na miejscu, żyli tamtą atmosferą i wiedzą, jak wszystko

przebiegało. Zupełnie inne od partyjnych opowieści Kaczyńskiego czy Nawrockiego. Słowa, w których akcent pada na takie emocje i doświadczenia jak poczucie wspólnoty, życzliwość, nadzieja i strach.

Przy okazji każdej rocznicy Porozumień Sierpniowych przypominanych jest 21 postulatów strajkujących. Przeważnie z ironicznym komentarzem, że to dowód na ich naiwność, na brak zrozumienia mechanizmów państwa i przywiązanie do socjalistycznego postrzegania świata. Że władza ma dawać, jak rodzice dzieciom. To błędna ocena.

Gdy robotnicy pisali, że władza ma skrócić czas oczekiwania na mieszkanie czy zapewnić miejsca w żłobkach i przedszkolach, to nie była naiwność, lecz zwyczajny lewicowy postulat. Tak jak wyrównanie rent i emerytur starego i nowego portfela czy obniżenie wieku emerytalnego. I rewaloryzacja pensji, stosownie do wzrostu kosztów utrzymania.

► Owszem, można mówić, że pokazuje to socjalistyczną utopię. Ale czy rzeczywiście utopię? Na pewno pokazuje społeczne nastroje i oczekiwania. Bo to nie przypadek, że takie, a nie inne hasła ludziom się podobały i za ich realizację gotowi byli ryzykować. Jak wiele? Tego często sami nie wiedzieli. Choć, jak mówi Bogdan Lis, strach nie był im obcy.

Każdy może przeczytać 21 postulatów, znajdzie je w sieci. Mają swoją wartość, są lustrem pokazującym ówczesne marzenia i poczucie porządku społecznego. Nie były przypadkowe. Świadczą o tym wspomnienia ludzi, którzy wiedzą, jak je układano. Był to rodzaj sita. Swoje postulaty pisały najpierw wydziały, przekazywano je dalej i głosowano nad nimi. Te 21 postulatów było wspólnym dziełem, złożonym z najczęściej powtarzających się haseł.

• Karol Modzelewski, który był w stoczni, a potem we władzach Solidarności – to on zresztą wymyślił nazwę Solidarności – opowiadał, jak to wyglądało. Panowała atmosfera po części pikniku, strajku i powstania. Gdy wrócił z Gdańska do Warszawy, poszedł do Aleksandra Gieysztora, by opisać mu strajkującą stocznnię. Na co usłyszał: „Panie Karolu, jak pan to opowiada, to wygląda zupełnie jak w pierwszych dniach powstania warszawskiego”.

„Wystarczyło zobaczyć delegatów strajkowych – mówił Karol Modzelewski – żeby zrozumieć, że tu, po pierwsze, jest poczucie siły, chociaż jednocześnie jest lęk. A po drugie, że ci ludzie poczuli się w stanie rewolucji. Nikt tego tak nie nazywał, może nikt nie chciał, żeby to się spełniło, ale tak to było, kiedy zostały sformułowane postulaty polityczne – wolne związki zawodowe, złagodzenie cenzury, ale w sposób ograniczony. To Bogdan Borusewicz pilnował wtedy, żeby nie żądać zniesienia cenzury, bo będzie jak w Czechosłowacji. On dosłownie tak to tłumaczył. Bogdan był człowiekiem, który czuł, tam na miejscu, jak pulsuje tłum, i miał odwagę mówić słowa, które temperowały rozmaite pochopne żądania”.

Tak narastała fala. „Moim zdaniem to było popołudnie ruszenie ludzi,

którzy poczuli się suwerenni – analizował po latach Modzelewski. – To było wybiecie się ludzi wcześniej pozabawionych pewnego wymiaru samodzielnosci w życiu społecznym. Oni poczuli się na swoim, poczuli się w prawie”.

Ile takich momentów może być w życiu narodu? Powstanie warszawskie, Październik 1956, Solidarność 1980... A w czasach współczesnych? Rok 1989, po wyborach czerwcowych, gdy Solidarność dostawała władzę. Na pewno poczucie nadzwyczajnej chwili i potrzeby działania

Cała dzisiejsza Solidarność ze szczęściem w oczach pluła na swojego pierwszego przewodniczącego. A prezydent Nawrocki jej w tym sekundował.

niestandardowego mieliśmy również po wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej, w lutym 2022 r.

• Takie nastroje mają to do siebie, że po jakimś czasie opadają. Tak rozplynęły się nadzieje Października 1956. Nastroje czasów Solidarności też falowały. Poparcie dla związku jesienią 1981 r. spadało. Jednak, jak mówił Aleksander Matachowski, Solidarność uratowała... stan wojenny. Przeciął wątpliwości, zbudował legendę szlachetnego związku, jednoczącego Polaków.

Ale to nie Wojciech Jaruzelski pokonał Solidarność, bo przecież, choć rozwiązana, w powszechnej pamięci wciąż istniała. Był mit związku i byli jego liderzy, z którymi toczyły się rozmowy Okrągłego Stołu. Solidarność pokonało to, co stało się później. Przejęcie władzy, program prywatyzacji i liberalnej polityki gospodarczej, wreszcie likwidacja wielkich zakładów państwowych. Z tego punktu widzenia likwidacja Stoczni Gdańskiej, którą zarządził Mieczysław Rakowski, była wstępem do rządów solidarnościowych. Tak jak program Mieczysława Wilczka.

Plan Balcerowicza i wielkie zmiany w strukturze gospodarczej państwa oznaczały koniec Solidarności. III RP zlikwidowała wielkie zakłady, będące bastionami związku. Zlikwidowała wielkoprzemysłową klasę robotniczą.

Liderzy poszli do Sejmu i zajęli gabinety ministerialne. Przyszedł czas weryfikacji.

• Ale każdy z nich, niezależnie od tego, gdzie rzuciły go wichry historii, pamiętał, skąd się wziął. Jakim procesom i jakiej plakietce zawdzięcza władzę. Bo historię piszą zwycięzcy, tak żeby pięknie w niej wypaść.

I napisali. Zbudowali mit tamtej Solidarności jako organizacji nieulekłej, walecznej, która pokonała złą komunę. Co więcej, z racji tamtych wyborów i tamtej odwagi wszystko miało

się jej należeć – wszystko, czyli władza w pierwszej kolejności.

Całe to towarzystwo, które się wyłoniło z Solidarności taką czy inną drogą, uznało zatem, że ma legitymację do wiecznego rządzenia. SLD mniej wolno – pisała kiedyś dziennikarka „Gazety Wyborczej” Ewa Milewicz. Cóż, z tych słów wynikało, że post-Solidarności wolno więcej.

A jeżeli wolno więcej, to te wszystkie wspominkowe ceremonie mają swoją wartość. Ludziom trzeba wmawiać swoje prawdy, co najlepiej wychodzi poprzez różne wznieście uroczystości, takie, że nie wypada być przeciw. Z aniołami, diabłami i cudownym zakończeniem. Walką dobra ze złem. W tej sytuacji kolejne grupy, które wywodzą się z Solidarności, niekiedy wręcz jako piąta woda po kisielu, rozpoczęły walkę o to, kto jest godzien być strażnikiem tego ognia. I tak narodziło się świętowanie 31 sierpnia. Bo kto by chciał obchodzić jako rocznicę Solidarności dzień, w którym została zarejestrowana? Nie to się liczyło! Porozumienia Sierpniowe – to był ten dzień! Wałęsa z wielkim długopisem! To było święto. Także święto III RP, bo przecież nie Okrągły Stół, nie wybory 4 czerwca (one wyglądają gorzej na tle 31 sierpnia). Mamy zatem akt założycielski – i Solidarności, i III RP. Wszak liderzy III RP wywodzą się z tamtego dnia.

Było to więc święto władzy. Jej legitymacja: my wywalczyliśmy wam wolność, więc nam się należy.

A że ta nowa władza wybrała drogę twardej gospodarki liberalnej, prywatyzacji i rozwalania wielkich zakładów, to te wszystkie robotnicze hasła traktowano jako lekko wstydlivy ornament epoki. Mogliśmy się dowiedzieć, że od pierwszych dni strajków planowano walkę z komuną, z Moskwą i z murem berlińskim. I to było pierwsze fałszerstwo.

Potem przyszli inni liderzy, też wywodzący się z Solidarności. Różnymi metodami wypychali siebie na honorowe miejsca, a spychali z nich poprzedników. Religia Solidarności zmieniła swoich świętych. W ten sposób Lech Wałęsa został agentem SB, a Lech Kaczyński szefem związku, nie tyle formalnym, ile realnym. To głosił Jarosław Kaczyński, wotując: „My stoimy tam, gdzie stoczniovcy, a oni tam, gdzie ZOMO”.

Solidarność jako sztandar sprąta się i straciła znaczenie. Jako związek zawodowy stoczyła się do roli pisowskiej przybudówki. Jako mit również do mała kogo przemawia. Tego już nie ma.

Rocznicę Porozumień Sierpniowych możemy więc traktować

uczciwie albo politycznie. Uczciwie – czyli pokazać, jak było naprawdę. Pokazać robotników, ale nie tak, jak robi to PiS, lecz z ich aspiracjami i marzeniami. Socjalistycznymi. Pamiętać o przemieszaniu nadziei i obaw, o czym mówił Bogdan Lis, i tym pytaniu: wejda czy nie wejda? Przybliżyć dylematy ówczesnej władzy. Jej w tych rocznicowych opowieściach nie ma, tak jakby Lech Wałęsa podpisywał porozumienie sam ze sobą.

A przecież padły wtedy ważne słowa, pamiętane do dziś: „Dogadaliśmy się jak Polak z Polakiem”. Przez pewien czas, po Sierpniu 1980, był to jeden z najczęściej powtarzanych zwrotów, rodzaj wiary, że można. Wobec tego jeżeli ktoś chciałby budować pamięć Sierpnia, to także o tych nadziejach wśród znacznej części ludzi ówczesnej władzy powinien wspomnieć. Oni też brali w tym udział. Można mówić, że władza w Sierpniu ugięła się przed załogami robotniczymi i, nie mając wyjścia, zgodziła się na wolne związki zawodowe. Ale dla wielu ludzi z tamtego establishmentu to było atrakcyjne rozwiązanie, nadzieja na zbudowanie uczciwych mechanizmów kontroli i nowej równowagi. Wtedy jeszcze wielkich podziałów nie było. Przyrosty je dopiero kolejne miesiące,

kolejne wojny polityczne, no i nacisk Moskwy.

Ale tego też nikt nie pokaże. Przecież tamtej władzy, z PZPR, nie można pokazywać w dobrym świetle. Jeżeli mamy mit, walkę dobra ze złem, to zły musi wciąż istnieć.

Skoro nie pokazujemy prawdy, mamy politykę historyczną, fetowanie swoich i partyjne gry. Dlatego nie dziwny się, że solidarnościowe obchody znów nie wyszły, znowu się nie udało, rocznica przeszła bez wielkich treści, choć establishment III RP – ten rządu i ten Prawa i Sprawiedliwości – hucznie ją obchodził. Panowie mówili o sobie. I nikogo to już nie obchodziło ani nie obchodzi.

Solidarność dożyła swoich czasów. I tak przeżyła długo, dwa pokolenia. Miała w swojej historii piękne i wzniosłe chwile. Tworzyła III RP z jej wszystkimi błędami i rzeczami wielkimi. Ale teraz przeszkadza. Betonuje scenę i debatę polityczną, narzuca własne sądy, krępuje Polaków. Więcej w niej żółci i wojny polsko-polskiej niż spojrzenia w przyszłość. Odpycha nowe pokolenia.

Ten neon świeci coraz słabiej. Czas zgasić światło.

Robert Walenciak

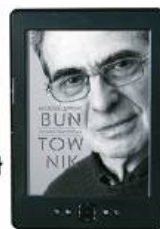
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



OPOWIEŚĆ O SOLIDARNOŚCI, KTÓRA DROGĘ NAS KOSZTOWAŁA

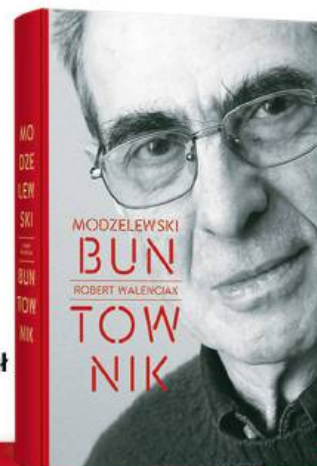
Bruno Drwęski

E-BOOK 15 zł



E-BOOK 15 zł

55 zł



Celem PiS jest władza, której nie odda

– to tytuł jego ostatniego wywiadu dla „Przeglądu”



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Piotr Duda i Jarosław Sellin na uroczystości wręczenia nominacji członkom rady Instytutu Dziedzictwa Solidarności w historycznej Sali BHP w Gdańsku, 5 listopada 2019 r.



Solidarność à la PiS

Rząd PiS wydał ponad 30 mln zł na marginalny Instytut Dziedzictwa Solidarności

Andrzej Sikorski

Europejskie Centrum Solidarności (ECS) powstało w listopadzie 2007 r. z inicjatywy prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, przy współudziale Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, samorządów województwa pomorskiego i Gdańska oraz NSZZ Solidarność.

Głównym celem ECS – jak zapisano w statucie – jest „upamiętnianie, zachowywanie i upowszechnianie dziedzictwa i przesłania idei Solidarności oraz antykomunistycznej opozycji demokratycznej w Polsce i w innych krajach, inspirowanie w oparciu

o te wartości nowych inicjatyw kulturalnych, obywatelskich, związkowych, samorządowych, narodowych i europejskich o wymiarze uniwersalnym, dzielenie się dorobkiem pokojowej walki o wolność, sprawiedliwość, demokrację i prawa człowieka z tymi, którzy są ich pozbawieni, czynne uczestnictwo w budowie tożsamości europejskiej i nowego porządku międzynarodowego”.

ECS szybko zyskało renomę i stało się jedną z najbardziej rozpoznawalnych polskich placówek edukacyjno-historycznych na świecie, zdobywając m.in. prestiżową Nagrodę Muzealną Rady Europy i Nagrodę Dziedzictwa Europejskiego.

Oprócz wystaw dotyczących historii i dziedzictwa pierwszej Solidarności w centrum organizowane są wydarzenia kulturalne, konferencje, sympozja, spotkania i koncerty.

Nadzór nad ECS sprawuje prezydent Gdańska, ale każdy współzałożyciel „zachowuje prawo do samodzielnego nadzoru i kontroli w zakresie gospodarowania środkami, które przekazał na rzecz ECS”. Roczny budżet placówki to kilkanaście milionów złotych, a składają się na niego dotacje z kasy miejskiej Gdańska, Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Zamach na ECS

W 2018 r. rząd PiS w ramach pacyfikowania i podporządkowywania placówek kulturalnych i muzealnych postanowił przejąć kontrolę nad ECS. Autorytarnej władzy nie podobało się, że ECS przedstawia niepoprawną politycznie historię Solidarności, nie dość eksponując rolę Lecha Kaczyńskiego i Anny Walentynowicz, przemilcza zaś agenturalną działalność Lecha Wałęsy.

„Moje zdanie jest krytyczne wobec działań ECS przez ostatnie 10 lat. Uważam, że ECS promuje w dużym stopniu fałszywy obraz Solidarności. Większość tej rady reprezentuje tylko część polskiej Solidarności, brak mi wielkiej polskiej Solidarności. Stąd ten konflikt. Uważam, że nie powinno być tak, że minister w większości finansuje działalność, a nie ma wpływu na tę działalność w takim sensie, że jest ona bardzo jednostronnie przedstawiana i nawet nieprawdziwie. (...) Fałszywe przedstawianie polskiej Solidarności w opinii Europy to jest

rzecz zasadnicza dla Polski. Tu fałszu jest na tyle dużo, że minister może mieć poważne zastrzeżenia”, powiedział Kornel Morawiecki, którego PiS ulokowało w radzie ECS.

Dla ksenofobów i nacjonalistów z PiS nie do zaakceptowania był także dyrektor ECS Basil Kerski, urodzony w 1969 r. w Gdańsku w polsko-irackiej rodzinie. Kerski został zlustrowany przez pisowskie media jako niemiecki agent wpływu (w rzeczywistości Niemiec, który „polsko brzmiące nazwisko sam sobie wymyślił”), działający pod patronatem gdańskich liberałów Jana Krzysztofa Bieleckiego, Donalda Tuska i Janusza Lewandowskiego, którzy odpowiadają za „neokolonizację Polski”. Według spiskowej narracji to właśnie w nagrodę za antypolską postawę Kerski został dyrektorem ECS.

Minister kultury Piotr Gliński zażądał od samorządowców z Gdańska większego wpływu na ECS, m.in. możliwości mianowania wicedyrektora (odpowiedzialnego za dział edukacji oraz organizację wystaw),

a także obsady większości miejsc w jednym z ciał statutowych – Kolegium Historyczno-Programowym lub Radzie ECS. W razie niespełnienia postawionych warunków dygnitarz zapowiedział, że ograniczy finansowanie placówki. Samorządowcy nie ulegli szantażowi, a Gliński obciął dotację dla ECS do 4 mln zł, choć resort przekazywał wcześniej 7 mln zł. Jednocześnie PiS rozpętało nagonkę na prezydenta Pawła Adamowicza, co, jak wiadomo, miało tragiczny finał.

Muzeum prawdziwej Solidarności

Ponieważ rząd PiS nie mógł siłą przejąć ECS, ówczesna władza wraz ze sfraternizowaną Solidarnością postanowiły stworzyć konkurencyjną instytucję. 31 sierpnia 2019 r., w 39. rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych, szef Solidarności Piotr Duda i wiceminister kultury Jarosław Sellin ogłosili powstanie Instytutu Dziedzictwa Solidarności (IDS). Deal był następujący: rząd ▶



**QUIET CITIES
– WARSAW**
WYSTAWA FOTOGRAFII
RADKA JAWORSKIEGO

Wystawa czasowa
19.08.2025 – 28.09.2025


G A L E R I A
B R A M A B I E L A Ń S K A

Galeria Brama Bielańska
Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej
oddział Muzeum Niepodległości
ul. Czujna, 01-532 Warszawa



► miał dać pieniądze, a Solidarność zobowiązała się udostępnić historyczną Halę BHP i zbiory archiwalne. Związek miał mieć też decydujący wpływ na wybór dyrektora, treść statutu i większość w Radzie Instytutu.

„Instytut Dziedzictwa Solidarności będzie pokazywał prawdziwe ideaty Solidarności, będzie pokazywał historię, nie gumkując z tej historii nikogo. Ani Lecha Wałęsy, ani Anny Walentynowicz. Bo to jest historia i historię trzeba przedstawiać taką, jaka ona jest. (...) Mieliśmy wielkie nadzieje z powołaniem Europejskiego Centrum Solidarności, ale przez lata jako Solidarność widzimy, że

kapelana Solidarności, po tym, jak oskarżano go o pedofilię.

„Prawowici” spadkobiercy Solidarności szybko zabrali się do pracy. Przygotowano kilka wystaw, m.in. o Lechu Kaczyńskim, którego (na kilkunastu planszach) pokazano jako wybitnego prawnika, oddanego patriotę, odważnego działacza opozycji antykomunistycznej i nieformalnego przywódcę Solidarności. Nie miało to wiele wspólnego z prawdą, ale przecież dla PiS zakłamywanie historii to chleb powszedni. W podobny sposób ukazany został Kornel Morawiecki, założyciel awanturkiej Solidarności Walczącej, której władze PRL

na głowie. Zdaniem Najwyższej Izby Kontroli minister kultury Piotr Gliński podjął decyzję ad hoc, bez jakiegokolwiek przygotowania, rozeznania i planów, kierując się interesem politycznym. W latach 2019-2024 na IDS wydano ze środków publicznych ponad 30 mln zł. Pieniądze te wyrzucono w błoto.

Na pytanie kontrolerów NIK, po co utworzono IDS, skoro z powodzeniem działało ECS, które miało te same zadania i cele, minister Gliński odpowiedział arogancko w swoim stylu: „Jako uczestnik wydarzeń historycznych, w tym ruchu solidarnościowego i opozycji demokratycznej oraz pracownik naukowy, m.in. zajmujący się zawodowo tymi zagadnieniami, dysponowałem samodzielną wiedzą co do oczywistej potrzeby powołania instytutu wobec niespełniania swej roli przez ECS,

co w połączeniu z demokratycznym mandatem do prowadzenia polskiej polityki historycznej na stanowisku ministra ds. kultury i dziedzictwa narodowego predestynowało mnie do podejmowania samodzielných decyzji w omawianej kwestii, zgodnie z kompetencjami, prawem i dla dobra publicznego”.

Gliński (który przecenia swoją rolę w Solidarności) powinien wiedzieć, że jako konstytucyjny minister, który dysponuje pieniędzmi podatników ma dbać o to, jak je wydaje, a demokratyczny mandat do prowadzenia polityki historycznej nie zwalnia go z obowiązku troski o finanse państwa. Tymczasem utworzenie IDS, dublującego statutowe zadania ECS nie tylko było irracjonalne, ale naruszało zasady gospodarowania środkami publicznymi, określone w Ustawie o finansach publicznych.

We wrześniu 2024 r. ministra kultury Hanna Wróblewska wypowiedziała NSZZ Solidarność umowę o utworzeniu IDS ze skutkiem na 31 grudnia 2025 r. Zgodnie z deklaracjami instytut ma nadal działać, ale już tylko pod auspicjami ministerstwa, co byłoby kolejnym absurdem.

W 2018 r. rząd PiS w ramach pacyfikowania placówek kulturalnych i muzealnych postanowił przejąć kontrolę nad ECS.

byliśmy tam traktowani w sposób nie taki, jaki byśmy chcieli. Postanowiliśmy, że nie będziemy kwiatkiem do kozucha, bo chcemy mieć realny wpływ, a w tamtej instytucji tego wpływu mieć nie będziemy. Dlatego Związek Zawodowy »S« wspólnie z ministerstwem powołuje tę instytucję. Jako związkowcy nie chcemy mieć nic wspólnego z tym miejskim centrum BEZ Solidarności! Bo to trzeba w taki sposób określić”, powiedział Piotr Duda, który na odchodne zabronił ECS wykorzystywania historycznego logotypu Solidarności (poza wystawą stałą).

Zanim IDS zaczęła pokazywać światu jedynie słuszną historię Solidarności, najpierw trzeba było zapewnić odpowiednie kadry. Na czele instytutu w randze dyrektora stanął Mateusz Smolana, historyk związany z Solidarnością. Natomiast w 21-osobowej radzie IDS zasiadły takie „osobistości” jak pisowscy ideolodzy i propagandyści, m.in. Sławomir Cenckiewicz, Piotr Semka, Michał Karnowski, Adam Chmielecki (pisowski prezes Radia Gdańsk i były członek Komisji Likwidacyjnej WSI), skłócony z Lechem Wałęsą Andrzej Gwiazda, a nawet ks. Ludwik Kowalski, następca ks. Henryka Jankowskiego w parafii św. Brygidy. Kowalski zastąpił z zażartej obrony

nie uznawały za partnera do rozmów. Oczywiście nie mogło też zabraknąć wystawy o niezłomnych kapłanach, w tym o papieżu Janie Pawle II, kard. Stefanie Wyszyńskim, prałacie Henryku Jankowskim, ks. Jerzym Popiełuszcze czy ks. Stanisławie Małkowskim. „Recenzentem naukowym” tej ostatniej był ks. Jarosław Wąsowicz, kapelan stadionowych chuliganów, a teraz prezydenta RP.

Dopiero w 2022 r. IDS doczekał się swojej siedziby (wcześniej miał prowizoryczne biura w centrali NSZZ Solidarność w Gdańsku). Na pięciokondygnacyjną kamienicę przy Targu Drzewnym 8 (w samym centrum Gdańska) resort kultury wyłożył 9 mln zł. Sprzedającym był... Region Gdański NSZZ Solidarność. W kamienicy mieszczą się biura postów PiS, w tym Jarosława Sellina, który podpisywał umowę z Piotrem Dudą o utworzeniu IDS.

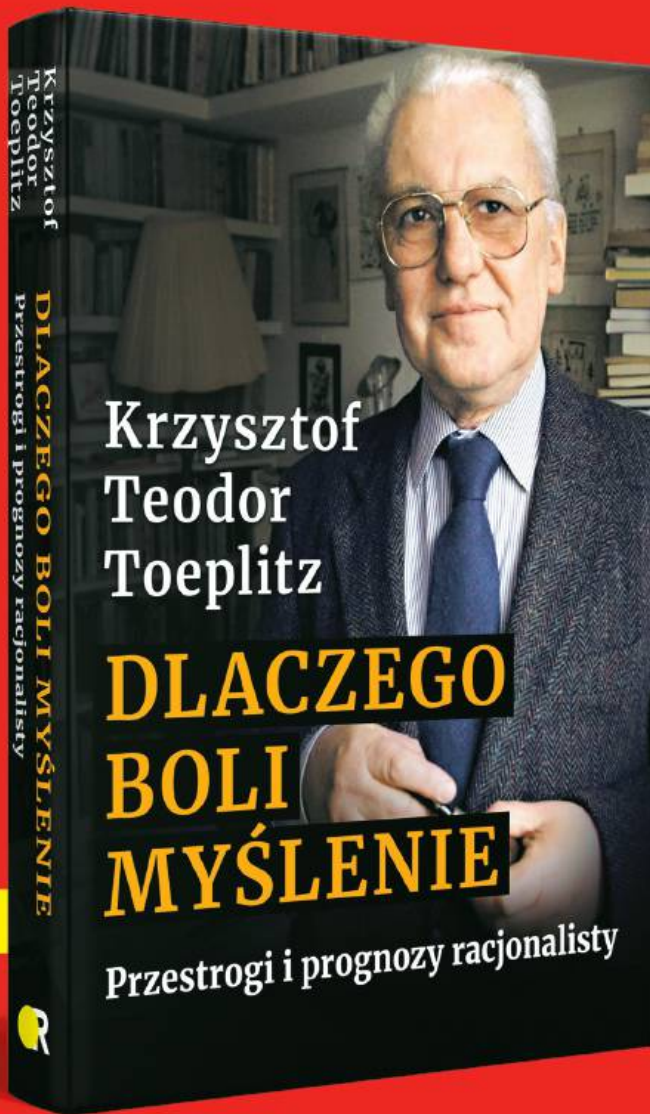
Warto dodać, że około kilometra dalej siedzibę ma konkurencyjne Europejskie Centrum Solidarności. Po drodze są jeszcze słynna Brama nr 2, Sala BHP i plac Solidarności.

Na wariackich papierach

Okazuje się, że utworzenie IDS było kompletnie pozbawione sensu, a na dodatek cała operacja stała

PREMIERA

NOWA KSIĄŻKA „PRZEGLĄDU”



59 zł

Inteligencja milczy w Polsce, bo zapomniała o swoim obowiązku nie tylko protestu, ale i twórczości opartej na wiedzy, tolerancji, tradycji rozumu i oświecenia.

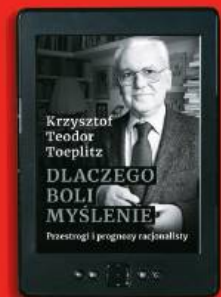
KTT

Pokazał, że ironia stać się może najwyższą formą odwagi i źródłem siły pozwalającej przewracać świat do góry nogami.

Prof. Stanisław Filipowicz

KTT to fenomen. Byt odrębny. Człowiek kultury najwyższej próby. Modelowy wręcz inteligent.

Jerzy Domański



E-BOOK 29,90 zł



Zamów na sklep.tygodnikprzeгляд.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Kto rządzi szkołą?

Sprzeczne interesy polityczne i zlepek eksperymentów



Kornel Wawrzyniak

Odpowiedź na pytanie, kto gdzie rządzi, zazwyczaj nie jest zbyt trudna. Jako konsumenci jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że w przypadku grubszej awantury prosimy kierownika. Na rozmowie o pracę zdarza nam się spotkać z dyrektorem. W polskiej szkole jednak nic nie jest takie łatwe. A szczególnie ustalenie, kto realnie sprawuje w niej władzę. Szkołą publiczną może trząść zarówno niepokorny łobuz z wysoko postawionymi rodzicami, jak i dyrekcja o folwarcznych zapędach. Dlaczego tak się dzieje, zapytaliśmy edukatorów. Odpowiedź nie jest wcale jednoznaczna.

Bałagan i struktury

Na pytanie, kto rządzi w polskiej szkole, uzyskamy mniej więcej tyle odpowiedzi, ile jest placówek szkolnych. Mogłoby to nawet wydawać się jakimś przejawem demokracji – oto szkolne społeczności funkcjonują na takich zasadach, jakie sobie ustalą. Przy czym powodem tego jest mentalny i administracyjny chaos.

Szkoły społeczne i prywatne rządzą się oczywiście swoimi prawami. Te drugie działają w dużej mierze według zasady: płacę i wymagam. Z danych Głównego Urzędu Statystycznego za rok szkolny 2024/2025 wynika jednak, że szkół podstawowych prowadzonych przez

jednostki z sektora niepublicznego było w Polsce tylko 11,6%. Szkoły podstawowe prowadzone przez organy sektora publicznego stanowiły zaś 88,4% wszystkich placówek. Temat szkół prywatnych można więc potraktować jako osobną kwestię.

Specjaliści i praktycy związani z edukacją wskazują, że szkoła publiczna ma pewną strukturę, według której powinna działać na co dzień. Nie wynika ona jednak z tego, kto w szkole rządzi.

– Tak naprawdę nie ma jednego zarządzającego szkołą. Można nawet powiedzieć, że w niektórych przypadkach najważniejszą postacią w szkole jest pani woźna lub pan woźny. Patrząc zaś na sytuację

z formalnego punktu widzenia, mamy pewną kolejność. Jest dyrektor, następnie gmina, potem kurator i wreszcie minister. Nawet formalnie nie ma więc jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, kto rządzi w szkole. Ta złożoność pokazuje również, w jak skomplikowanej sytuacji znajduje się nauczyciel. Zwłaszcza że czasami dochodzą do tego różne oddziaływania formalne i nieformalne stosowane przez rodziców czy mających jakiś interes w oddziaływaniu na szkołę radnych – mówi „Przeładowi” prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego Sławomir Broniarz.

Hans-Georg Gadamer, niemiecki filozof i współtwórca XX-wiecznej hermeneutyki filozoficznej, wskazywał, że ten, kto ma szkołę – ma władzę. W polskiej edukacji widać, że kolejni ministrowie cały czas tej myśli się trzymają. Pozornie władzę nad szkołą ma przewidziane dla niej ministerstwo. W praktyce oddziaływanie polityków jest znacznie szersze. O edukacji decyduje cały rządzący w danej chwili obóz. Pokazały to działania ministra Czarnka, takie jak wprowadzenie przedmiotu historia i teraźniejszość, który był jedynie szerzeniem wygodnej politycznie narracji. Nie lepiej jest przez ostatnie dwa lata z ministrami Nowacką. Niemytoreczne decyzje jej resortu mówią same za siebie – na ich czele mamy oczywiście wycofanie się z zadań domowych, co było stricte politycznym działaniem wykonanym na zlecenie premiera Tuska.

O edukacji decyduje cały rządzący w danej chwili obóz.

– Na pytanie, kto rządzi w polskich szkołach, trudno odpowiedzieć jednoznacznie, bo to zawsze zależy od poziomu, na który spojrzymy. Formalnie – rządzi prawo oświatowe i kolejne rozporządzenia ministra. To system decyduje, jakie egzaminy przeprowadzamy, jakie są podstawy programowe, jak wyglądają ramowe plany nauczania. A ponieważ każda kolejna partia polityczna chce się odznaczyć w systemie edukacji i zostawić po sobie ślad, szkoła staje się

areną nieustannych eksperymentów i chaotycznych decyzji. Widać to dobrze w dyskusjach wokół prac domowych – ich całkowity zakaz brzmi efektownie, ale w praktyce jest dużo bardziej skomplikowany. Zadania mechaniczne czy odtworcze faktycznie są zbędne, natomiast trudno sobie wyobrazić rozwój umiejętności matematycznych albo pisarskich bez ćwiczeń i powtarzania

Szkołą publiczną może trząść zarówno niepokorny łobuz z wysoko postawionymi rodzicami, jak i dyrekcja o folwarcznych zapędach.

poza szkołą. Jak w życiu – żeby coś osiągnąć, trzeba się spocić. To dotyczy zarówno treningu na siłowni, jak i nauki – komentuje nauczycielka Aneta Korycińska, znana jako „Baba od polskiego”.

Szkoła nie rządzi jednak tylko politycy na szczeblu centralnym. Ci przede wszystkim robią bałagan. Im dalej od gabinetów znajdujących się w budynku przy alei Szucha, a bliżej szkolnych korytarzy – tym wyraźniej widać tego konsekwencje.

– Obecnie polską szkołą rządzi PRZYPADEK. Ma ona dwóch głównych władców – organ prowadzący (samorząd) i kuratorium podległe wojewodzie – często związanych z różnymi opcjami politycznymi. Nie tak miało być – kuratorium od „reformy” Handkego (wcześniej kuratorium było jedynym zwierzchnikiem szkoły i jej „sponsorem”) miało być wsparciem dla szkół. Nawet w tej

„reformie” zniknęła z kuratoriów postać MERYTORYCZNEGO wizytatora przedmiotowego i do dziś nie wróciła, więc kuratorijni urzędnicy kontrolują w placówkach wyłącznie perfekcyjność produkcji papierów. Od czasów ministery łybackiej kuratoryjna biurokracja zyskuje stopniowo coraz większą władzę nad szkołami – wskazuje Małgorzata Żuber-Zielicz, była dyrektorka warszawskich liceów im. Mikołaja Kopernika oraz im. Stefana Batorygo, w latach 2014-2018

przewodnicząca Komisji Edukacji i Rodziny w Radzie Warszawy.

Kuratorium stało się dziś poniekąd straszakiem dla nauczycieli i dyrektorów. Każde działanie, które nie spodoba się władzy lub bardziej zorientowanym rodzicom, może się skończyć wizytą przedstawiciela kuratorium i sprawdzaniem porządku w papierach. A jak wiadomo, przy natłoku dokumentów zawsze znajdzie

się jakiś błąd, za który można zostać pociągniętym do odpowiedzialności. Przez taki stan rzeczy szkoła zamienia się w arenę pokazów siły i przepychanek między dyrekcją, nauczycielami, rodzicami i uczniami.

Łobuz kontra dyrektor

– To dyrekcja decyduje, jak interpretować przepisy i jakie rozwiązania przyjąć w praktyce. To właśnie dyrektor może wprowadzić odwołanie kształtujące albo utrzymać tradycyjny system stopniowy. Od tego, jaką wizję edukacji przyjmie kierownictwo szkoły, zależy klimat pracy całej rady pedagogicznej i uczniów – zwraca uwagę Aneta Korycińska.

Dyrektorzy zaś zdarzają się różni. Często słyszy się o takich, którzy traktują szkołę jak prywatny folwark. W takim układzie najczęściej tracą nauczyciele, których dyrekcja zostawia po kątach.

Przypomnijmy sytuację z X Liceum Ogólnokształcącego w Gdyni. Pod koniec roku szkolnego 2022/2023 społeczność szkolna dowiedziała się, że odejście planuje 10 nauczycieli. O powodach decyzji poinformowali w liście otwartym: „Aktualny system zarządzania powoduje, że dla wielu z nas od lat panuje fatalna atmosfera pracy. Powoduje ona nadmierne zmęczenie, również emocjonalne, wręcz wypalenie zawodowe. Wprowadzenie atmosfery lęku, motywowanie i nagradzanie lojalnych, spolegliwych nauczycieli, działania o znamionach mobbingu, utrudnianie pracy w innych szkołach, łamanie

► RODO, nieszanowanie naszego życia prywatnego, brak dbałości o doświadczonych pedagogów, którzy reprezentują swój własny system wartości, powoduje, że nie jesteśmy w stanie dłużej pracować w X LO. Czujemy się ludźmi wartościowymi, których obraża motywowanie do pracy takie jak wskazanie różnic między nauczycielem dyplomowanym a »papierem toaletowym, który się chociaż rozwija« oraz odsyłanie tych, którym się praca pod tym zarządem nie podoba, »na kasę do Biedronki«. To

innych czynników tego rodzaju – tłumaczy Małgorzata Żuber-Zielicz.

W szkolnym krajobrazie mamy też nietykalnych łobuzów, których rodzice potrafią skorzystać ze straszaka, jakim jest kuratorium.

– Córka chodziła do klasy z łobuzem, który rozwałił każdą lekcję. Takie zachowania nie biorą się jednak z powietrza. Dziecko było ewidentnie zaniedbane przez rodziców, jeśli chodzi o neuroatypowość (ma odpowiednie zaświadczenie z poradni). Różne próby wpływania na sytuację

które nadużywają swojej pozycji, potrafią poniżyć uczniów, zamiast ich motywować, a dzięki wieloletniemu stażowi i wysokim stopniom awansu zawodowego pozostają praktycznie nietykalne. Zgłoszenia rodziców czy interwencje dyrekcji niewiele dają.

Roszczeniowi czy świadomi?

Osobną potęgą na szkolnej arenie są rodzice. To siła, której czasami nie ma jak zatrzymać.

– Jedna z mam w naszej szkole tak dobrze porusza się we wszystkim, co związane z oświatą, że jest w stanie skruszyć nawet beton dyrektorki, która z zachwyty nad samą sobą podejmuje bezsensowne i na nieszczęście dla szkolnej społeczności bezpodstawne decyzje. Z problemami zgłaszają się do wspomnianej mamy nawet nauczyciele – opowiada Maria, matka piątoklasisty z Warszawy.

To jedna strona medalu, lecz jest i druga: wielu rodziców domaga się od nauczycieli rzeczy niemożliwych i ich obraża.

„Z duszą na ramieniu zaglądam do dziennika elektronicznego. Prawie codziennie otrzymuję wiadomości od jednej z mam. Czy zapowiem kartkówkę, czy wpiszę spóźnienie na lekcję, wstawię minus czy – nie daj Boże – jedynkę. Z każdego ruchu muszę się dokładnie tłumaczyć i uzasadniać swoją decyzję. Nie wiem, czy chcę

Wycofanie się z zadań domowych było stricte politycznym działaniem wykonanym na zlecenie premiera Tuska.

nie jest prywatna »moja szkoła«, jak twierdzi dyrekcja, ale nasza wspólna placówka, czujemy się jej częścią od wielu lat”.

Ale nawet dyrekcja z piekła rodem traci niekiedy kontrolę nad placówką.

– O wielu sprawach w szkole decydują jednak i inne podmioty. Na przykład czasem nauczycieli w okresie maturalnym czy egzaminu E8 rządzi w znacznym stopniu OKE, decydując o powołaniu licznych zespołów nadzorujących egzaminy pisemne według swojego uznania, a że za ich czas nie płaci, robi to często wyjątkowo rozrzutnie. Tracą na tym uczniowie młodszych roczników. Inną instytucją mogącą różne rzeczy narzucać szkole – np. sposób ustawienia ławek w klasach – jest sanepid. Wreszcie szkoła, która de facto nie ma swoich funduszy, np. na wyposażenie czy zajęcia pozalekcyjne, musi je zdobywać, a kto płaci, ten zamawia muzykę, czyli stawia swoje warunki. No i synteza tych różnych zmiennych czynników zwierzchnich rządzi szkołą – czasem „efekt motyla” potrafi czynić tu cuda, częściej jednak może szkołę zniszczyć. Niestety, nasze państwo po roku 1989 nie ustaliło, po co mu/spółeczeństwu szkoła (zgodnie ze znaną a zgonną zasadą Tadeusza Syryjczyka, że „najlepszą polityką jest brak polityki”), więc wszystkie instytucje, od których szkoła zależy, działają według przypadkowych kombinacji, guścików, układzików, sympatii i antypatii, cięć budżetowych oraz

nic nie dawały. Napisałiśmy więc z innymi rodzicami pismo do dyrekcji z prośbą o przynajmniej nauczyciela wspomagającego dla chłopaka. Dyrektorka obiecała, że zajmie się sprawą. Została jednak zaszantażowana przez matkę łobuza wezwaniem do szkoły przedstawicieli kuratorium. I na całą historię nagle spuszczone zastone milczenia – mówi ojciec Oli, uczennicy siódmej klasy.

– Nauczyciel musi być dziś bardzo elastyczny w działaniu. Konflikt z rodzicem czy uczniem niemal automatycznie włącza w sytuację komisję dyscyplinarną i wojewodę. Gdy nauczyciel toczy jakiś spór i do sprawy

Instytucją mogącą różne rzeczy narzucać szkole – np. sposób ustawienia ławek w klasach – jest sanepid.

dołącza gmina – zazwyczaj kończy to karierę takiego nauczyciela. Rzadko kiedy pod uwagę brany jest interes czy oczekiwania edukatora – podkreśla Sławomir Broniarz.

Taki stan rzeczy może oczywiście budzić wiele frustracji w nauczycielach. Świat jednak po raz kolejny okazuje się nie czarno-biały, lecz w odcieniach szarości, o czym przypomina „Baba od polskiego”: – Realną władzę mają także nauczyciele. I to bywa najtrudniejszy element, bo obok wielu entuzjastów i ludzi oddanych pracy z młodzieżą mamy też przypadki tzw. świętych krów – osób,

dłużej pracować w szkole. Boję się zaglądać do maili”, przyznaje w rozmowie z portalem Strefa Edukacji pani Joanna, nauczycielka biologii.

Głośno było pod koniec lipca br. o wyroku w sprawie ukarania rodzica za wystanie obelżywej wiadomości do nauczycielki przez dziennik elektroniczny. Mężczyznę skazano na prace społeczne w wymiarze 30 godzin miesięcznie przez trzy miesiące.

Mamy też sytuację odwrotną – rodzic został oskarżony przez trzy nauczycielki o złośliwe niepokojenie. Chciał za pośrednictwem e-dziennika dowiedzieć się o okoliczności

potencjalnego naruszenia nietykalności cielesnej ucznia. Wystął nie więcej niż po trzy wiadomości do każdej z nauczycielek. Sąd uniewinnił rodzica.

– Zjawisko, które nazywa się roszczeniowością rodziców, jest w jakiś sposób coraz bardziej dla nauczycieli odczuwalne. Do tego stopnia,

pod dywan. Należy przemyśleć regulację, w której nauczyciel jest traktowany podobnie jak funkcjonariusz publiczny. Wiemy, że się da, przykładem są lekarze i art. 44 Ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentystry – wskazuje Sławomir Broniarz.

Inne zdanie na temat rodziców ma przedstawicielka Stowarzyszenia

Stąd często sytuacje, w których rodzic czegoś od szkoły lub nauczyciela się domaga, dopytuje. Takie zaangażowanie jest, co do zasady, bardzo pozytywne.

Jak widać, nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, kto dziś rządzi w polskiej szkole. Ministerstwo Edukacji musi się liczyć z innymi resortami i wolą polityczną swojego ugrupowania. Każda opcja polityczna prowadzi zaś swoje eksperymenty na uczniach, wdrażając kolejne rozwiązania, często prowadzące donikąd. Ta niespójność wywołuje zaś chaos, przez który najbardziej cierpi edukacja dzieci. Najlepszym dowodem są wyniki testu PISA 2022, w którym udział brały już roczniki po likwidacji gimnazjów. Uczniowie uzyskali najniższy wynik od 22 lat. Dziś mimo zmiany władzy nikt nie rozmawia o powrocie do gimnazjów. Podstawa programowa jest okrajana, a poprzeczka idzie w dół. Wszystko to w imię kilku głosów więcej przy urnach.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Każda partia chce zostawić po sobie ślad, więc szkoła staje się areną nieustannych eksperymentów i chaotycznych decyzji.

że nauczyciele nie mają poczucia, by państwo rzeczywiście stawało w ich obronie. Stąd oczekiwanie Związku Nauczycielstwa Polskiego, aby wzmocnić art. 63 Karty nauczyciela mówiący o ochronie prawnej nauczyciela. W wypadku, kiedy nauczyciel padnie ofiarą przemocy czy innych działań mających go szkolić, dyrektor musiałby z urzędu zawiadamiać odpowiednie instytucje. To zaś mogłoby ograniczyć wszystkie strategie zmiatania takich spraw

Umarłych Statutów Magdalena Bereda: – Słowo roszczeniowy ma obecnie wydźwięk pejoratywny. Roszczenie oznacza zaś, że ktoś jest uprawniony do egzekwowania od danej osoby określonego zachowania. W tym nie ma zaś nic złego. Jednak roszczeniowy rodzic kojarzy się z osobą, która domaga się czegoś bezpodstawnie. Tymczasem większość zgłaszających się do nas rodziców jest coraz bardziej świadoma i zaangażowana w szkolne życie.



Filharmonia
Narodowa

INAUGURACJA SEZONU ARTYSTYCZNEGO 2025/2026

19/20.09

Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej, *Voci di Bambini* – chór POSM
im. *Emila Młynarskiego* w Warszawie, *Krzysztof Urbański* – dyrygent,
Jan Lisiecki – fortepian, *Judith Spiesser* – sopran, *Heikki Hattunen* – tenor,
Daniel Ochoa – baryton, *Bartosz Michałowski* – dyrektor chóru,
Anna Perzanowska-Tarasiuk – przygotowanie chóru *Voci di Bambini*

Brahms, Orff

Na koncerty zaprasza
Strategiczny Mecenas Roku
Filharmonii Narodowej



Bank Polski

filharmonia.pl

Organizator

MKiDN

Strategiczny
Mecenas



Bank Polski

Mecenas



Polska Grupa Energetyczna

Biznes musi toczyć się dalej

Nie będzie nowej Norymbergi za Gazę,
możemy o tym zapomnieć

Rozmawia Mateusz Demski

Kilka tygodni temu nagrałeś odcinek swojego podcastu (Inny Świat) o raporcie Franceski Albanese na temat ekonomii ludobójstwa. Jesteś autorem książki „Gaza. Rzecz o kulturze eksterminacji”. Jak te dwie rzeczy wiążą się ze sobą?

– Do kultury eksterminacji jak najbardziej należy ekonomia. Raport specjalnej sprawozdawczynie ONZ Franceski Albanese pokazuje, że za mechanizmami zniszczenia Gazy stoją działania banków i koncernów technologicznych, które wspierają Izrael. Sieć wzajemnych powiązań, interesów, zależności i preferencji okazuje się tak gęsta, że nic nie jest w stanie przeciąć tych nitek. Nawet coś tak spektakularnego jak ludobójstwo. I co gorsza, nasze codzienne funkcjonowanie w społeczeństwie jest w dużej mierze uwarunkowane dostępem do usług firm, które w tym biorą udział. Biznes musi toczyć się dalej.

Według raportów jeden z banków udzielił pożyczek i gwarancji na miliardy euro.

– Albanese pokazuje, że otwiera to przed tymi firmami nowe przestrzenie ekspansji, zarobku i zamówień. To kluczowe w zrozumieniu, czym w ogóle jest kultura eksterminacji. A ma ona wpływ na wiele kwestii: na to, jak będziemy się zachowywać, jak będziemy budować mniej lub bardziej uświadomione lojalności, jak będziemy postrzegać pewne sprawy za pomocą takich, a nie innych hierarchii. Te wszystkie raporty nie są w stanie niestety niczego w tej kwestii zmienić. Może nam się wydawać, że mamy jakąś sprawczość, że to przed nami ktoś odpowiada i wystarczy presja. Ale presję wywierają właśnie lobbysci i figuranci. Amerykański politolog Sheldon Wolin pisze, że partnerem dzisiejszych władz nie są obywatele. Natomiast dobrze, żeby ci obywatele mieli takie przekonanie.

Co rozumiesz przez pojęcie kultury eksterminacji?

– Nie mam tu na myśli instytucji kulturalnych, ale kulturę w szerokim sensie: symboli, praktyk, mentalności. Trzeba było



PAWEŁ MOŚCICKI

– filozof i eseista, pracuje w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Autor książki „Gaza. Rzecz o kulturze eksterminacji” (Wydawnictwo Karakter) oraz takich publikacji jak „Migawki z tradycji uciśnionych”, „Lekcje futbolu” czy „Wyższa aktualność. Studia o współczesności Dantego”. Gospodarz podcastu Inny Świat, autor wizualnego atlasu poświęconego migracjom (refugee-atlas.vnlab.org).

wytworzyć o wiele wcześniej system przekonań, które są w ścisłym związku ze wspomnianymi interesami. Wychodzi na to, że za kulturą eksterminacji stoi daleko nieprzepracowana mentalność kolonialna. Wynika ona ze struktury świata, w jakim żyjemy: sojuszy politycznych i zależności ekonomicznych. Funkcjonujemy w kulturze, w której taka sytuacja jak z góry zaplanowana, masowa czystka etniczna staje się możliwa, a nawet akceptowalna. Ludobójstwo nie tylko może się w niej odbyć, ale też w żaden sposób nie zaburza jej funkcjonowania. Stanowi integralną część świata.

„Nie ma ludobójstwa bez uprzedniego przyzwolenia, bez stworzenia warunków sprzyjających nie tylko jego fizycznej realizacji, ale też społecznej akceptacji albo przynajmniej biernej obserwacji”, piszesz. W książce wyliczasz strategie, które służą do nadawania kulturze eksterminacji pozorów moralności. Paradoks polega na tym, że to Zachód od wieków zajmuje pozycję strażnika porządku etycznego.

– Jeżeli dzisiaj ktoś ma jeszcze przeświadczenie, że kraje tzw. liberalnych demokracji reprezentują jakiś etyczny biegun, naraża się na śmieszność. Bardzo wiele osób z naszego, powiedzmy, kulturalnego środowiska, patrząc na Gazę, przeżywa aktualnie wstrząs. Choć umówmy się, że podobne rzeczy działy się tyle razy, że trzeba było się bardzo starać, by tego nie widzieć. Co to przyniesie? Są różne możliwości. Pytanie, czy kontestacja całej tej struktury jest możliwa, a tym bardziej przez kogośkolwiek pożądana.

Zadajesz sobie także pytanie, jak w przyszłości będziemy rozliczać się z tego, co się dzieje w Gazie. I stwierdzasz wprost: „Gaza to laboratorium przyszłości”.

– Zależy, co chcemy rozumieć przez to rozliczenie. Nie będzie z Gazą nowej Norymbergi, o tym możemy zapomnieć. Nie będzie żadnego międzynarodowego procesu. Norymberga była raz i dlatego, że Niemcy przegrały wojnę w sposób rzadki, a więc całkowitą kapitulacją. Kto miałby pokonać cały Zachód, z Izraelem na czele, żeby móc

zorganizować taki trybunał? Zresztą nie wiem, czy życzyłbym sobie takiego dosłownego rozliczenia. Nasze poczucie sprawiedliwości to jedna rzecz, ale w realnym świecie musiałoby się dokonać zapewne coś strasznego. A to nie jest jedyne nierozliczone przewinienie świata zachodniego.

Życzyłbym sobie, by rozliczenie przybrało formę polityczną. By odrodziło ruchy, które będą szukały alternatywy dla dzisiejszego układu sił. A mamy konwulsyjny, coraz bardziej rozpadający się kapitalistyczny zamordyzm, który nie da innych efektów. Jego kontynuacja będzie przynosiła już tylko takie erupcje jak Gaza i Ukraina. Tyle że kultura nie zmienia się na zawołanie, bo ktoś tego chce. Nie istnieje gotowy model jej transformacji.

Słyszmy, że Palestyńczycy stoją na drodze Izraelowi. Ale nie jesteśmy uczeni, że od 1967 r. trwa tam bezprawny proces osadniczy.

Wybiegnijmy myślami w przyszłość: co się stanie z Palestyną i Palestyńczykami? Nawołujesz, żeby porzucić rojenia o „rozwiązaniu dwupaństwowym”.

– Rozwiązania, które leżą na stole, pokazują tylko degrengoladę tych, którzy je proponują. „Rozwiązanie dwupaństwowe” można było wprowadzać w latach 90., a najlepiej było się go trzymać w roku 1967. Nie wiem, co dzisiaj miałyby ono znaczyć w Gazie. Czy mamy się spodziewać, że Stany Zjednoczone z Izraelem odbudują miejsce, które właśnie zrównali z ziemią? I uznają jego autonomię polityczną? Sam w trakcie pracy nad książką przeszedłem pewną ewolucję polityczną i „odprzekonałem” się od pomysłu rozwiązania dwupaństwowego.

Wcześniej miałem poczucie, że może jest ono bliższe realiów niż utopii. Dziś widzę, że jest to wizja, której nas nauczono i która była elementem pewnej strategii. W Gazie realizuje się de facto „rozwiązanie jednopaństwowe” oraz wizja „wielkiego Izraela”, do czego Netanjahu ostatnio się przyznał, mówiąc, że to jego misja

duchowa i historyczna. A to oznacza ni mniej, ni więcej ekspansję terytorialną na cały Liban, Jordanię, część Syrii i Arabii Saudyjskiej. Nie lubię tej analogii, jest dosyć wyświechtana, ale jest to wizja Rzeszy. Nawiasem mówiąc, nie będę zdziwiony, jeżeli się okaże, że nagłe zabiegi o pokój w Ukrainie ze strony Stanów Zjednoczonych są po to, żeby móc przekierować środki na Bliski Wschód.

Informacje te nie pojawiają się w mediach głównego nurtu, czemu poświęcasz sporo miejsca. Na własnej skórze odczułem to rok temu, kiedy pewna redakcja zablokowała mój materiał o Gazie, bo „nie był po jej linii”.

– Właśnie tak wygląda sieć wpływów i udziałów, o której rozmawiamy. Dla mnie to jest problem fundamentalny, a mianowicie działania

struktury budowania naszego wyobrażenia o świecie. Niby czujemy, że media masowe nie działają tak, jak powinny, ale są narracje, które mają amortyzować to poczucie. Na przykład, że wynika to z pośpiechu, z pogoni za skandalem, za krzykliwym tytułem i nagłówkiem. Jednak to nie jest problem. Trzeba raczej zastanowić się nad tym, że media należą do struktur władzy – nie są odrębne, nie stoją z boku, nie są obserwatorami i kontrolerami w rozumieniu „czwartej władzy”. Korporacyjne media są częścią systemu kształtowania opinii publicznej, który współgra z decyzjami podejmowanymi na najwyższych szczeblach władzy. W przypadku Gazy dzieje się to w sposób wręcz ostentacyjny. Produkują emocje i opinie, które mają być zgodne z konkretnymi interesami.

Tak odbywa się systematyczne „fabrykowanie przyzwolenia”, idące za słowami Noama Chomskiego i Edwarda S. Hermana.

– Totalne. Prawda jest taka, że w Polsce też działają organy propagandy syjonistycznej, które mają nas flarami w stylu: „Jesteśmy ▶

► liberalni, dostrzegamy cierpienia Palestyńczyków”. Tymczasem w Gazie odbywa się bezwzględna militarna okupacja, nielegalna, nawiasem mówiąc. Ludzie są rozstrzeliwani, działają tam systemy więzienne z masowymi pobiciami, torturami i gwałtami. Zamiast żyć w przerażeniu tym, co się dzieje na naszych oczach, umacniamy narrację o cierpieniu Żydów z czasów II wojny światowej. Jakby jedno cierpienie sprzed lat miało dawać licencję na zadawanie cierpienia dzisiaj.

Za mechanizmami zniszczenia Gazy stoją działania banków i koncernów technologicznych, które wspierają Izrael.

Zwracasz uwagę na cenzurę algorytmiczną w portalach należących do koncernu Meta, takich jak Facebook i Instagram. Parametry dobrane są tak, żeby blokować treści wspierające Palestynę.

– Już same wyszukiwarki internetowe są barierą. Jeżeli chcesz znaleźć krytyczne komentarze na temat NATO, jesteś odsyłany na oficjalną stronę albo sfinansowany przez NATO portal na temat NATO. W wynikach nie znajdziesz niczego innego. Media stosują różną hierarchię weryfikowania informacji w zależności od tematu. Jeśli piszesz w polskich mediach o Polsce, to ten wskaźnik jest dość wysoki, bo każdy może taką informację sprawdzić. Ale np. o Korei Północnej możesz napisać rzeczy najbardziej szalone i większość ludzi przyjmie to jako prawdę.

Żeby z tego wyjść, trzeba wykonać katorżniczą robotę: znaleźć inne źródła i wiedzieć, jak je traktować. Ludzie nie mają czasu, żeby odkrywać alternatywne źródła wiedzy. Żeby gdzieś dotrzeć, coś sprawdzić, znać zależności kapitałowe, trzeba wykonać robotę na pełen etat. Natomiast to, co znajduje się na powierzchni, można traktować jako permanentną operację psychologiczną, która jest wyrafinowana, świetnie gra na emocjach, używa podtekstu i komunikatów podprogowych, żeby nami sterować. Być może jest to najważniejszy element kultury eksterminacji, bo

pośredniczy między nami a realną władzą.

Gaza mimo wszystko przeniknęła do dyskursu. Niedawno byłem na koncercie zespołu Kneecap znanego z poparcia dla Palestyny. Na sali 600 młodych osób skandowało: „Free Palestine!”.

– Weźmy jednak pod uwagę, w jakim tonie pisze się o Palestyńczykach. Stali się figurą zagrożenia, zbrodniarzy i terrorystów. Słowo terrorizm jest wykorzystywane w zależności od potrzeb

politycznych. W tym przypadku służy temu, by odczłowieczać jakiegokolwiek próby politycznej reprezentacji Palestyńczyków. Nie pisze się, że Hamas początkowo został wybrany w wyborach, Zachód zaś w odpowiedzi zaczął finansować Al-Fatah, żeby destabilizować rządy Hamasu w Gazie. Ostatecznie Hamas objął tę władzę siłą, ale weźmy pod uwagę, że jest to również efekt zewnętrznych ingerencji oraz rozwiązywania problemów na Bliskim Wschodzie. W dominującej narracji słyszymy, że Palestyńczycy stoją na drodze państwu Izrael.

Przejdziemy nad Gazą do porządku dziennego. Jeszcze będziemy jeździć do tej riwiery, którą obiecywał Trump.

Ale nie jesteśmy uczeni tego, że od 1967 r. trwa tam bezprawny proces osadniczy. To jest wypreparowana, odwrócona wizja świata.

Relatywne wychylenie naszego zainteresowania w stronę Gazy być może zależy również od tego, że Izrael jest przedstawiany jako reprezentant naszego zachodniego świata. Ma być manifestacją przepracowania pamięci Zagłady. A Zagłada była, i wciąż pozostaje, dla Zachodu figurą największej hańby. Gaza jest więc w pewnym sensie ściśle związana z naszą historią, wspólnotową traumą i pamięcią o zbrodniach II wojny światowej. Inna sprawa, że istniejący w dzisiejszym kształcie

syjonizm, czyli marginalna na dobrą sprawę koncepcja polityczna, stał się nieodróżnialny od takich pojęć jak „tożsamość żydowska”, „pamięć o ofiarach” czy „nasza moralność”. I, co ciekawe, złą się z domyślną doktryną zachodniej cywilizacji. Syjonizm można dzisiaj uznać za ustalenia fabryczne naszego „prawidłowego” myślenia.

W rozdziale o praktykach współudziału przywołujesz Miłosza: „I ci ginący, samotni, / Już zapomniani od świata, / Język ich stał się nam obcy / Jak język dawnej planety”.

Świat zapomni o ofiarach w Gazie?

– Nie mam złudzeń, przejdziemy nad Gazą do porządku dziennego. Zobaczysz, że jeszcze będziemy jeździć do tej riwiery, którą obiecywał Trump. Nie był zresztą pierwszy. To samo stało się w Indonezji. Gdy obalono Sukarno, a w kraju zabito od 500 tys. do 1,5 mln ludzi z powodu oskarżeń o działalność komunistyczną, to pierwszą rzeczą, jaką zrobiono, była budowa hoteli. Kto dziś rozmawia o rzezi w Indonezji? Kto to rozlicza?

Kiedy patrzę dziś na wydarzenia w Gazie, nabieram przekonania, że nie ma żadnych granic. Jedyne, na co liczę, ze względu na fakt, że nasze poczucie bezpieczeństwa jest mocno zachwiane, to na większy

rodzaj podejrzliwości wobec świata, który manifestuje się w rodzimej propagandzie. Pytanie, jak to zostanie skanalizowane. Bo jeżeli w taki sposób, by ten bunt mógł się wyrazić, ale jednocześnie nie naruszył najważniejszych interesów, to mówimy o faszyzmie. Faszyzm zawsze tak działał – kierował nienawiść w taką stronę, by strategiczne interesy ekonomiczne nie tylko nie zostały naruszone, ale wręcz mogły się rozwijać. W społeczeństwach tak zdemoralizowanych i zdemobilizowanych jak nasze będzie to może nawet łatwiejsze do osiągnięcia.

Mateusz Demski

Z Galicji



Jan Widacki

Grudziądz semper fidelis

Pewnie nie mam znów racji, ale wydaje mi się, że mądry patriotyzm wymaga minimum znajomości historii. A z tą znajomością historii, nawet na zupełnie podstawowym poziomie, nie jest u nas dobrze. W dodatku na nieznanym historii żerują różni politycy, u których na ogół też ze znajomością historii nie jest najlepiej. Bo czymże jak nie żerowaniem na nieznanym historii jest uprawianie polityki zwanej historyczną?

Ale to nie wszystko. Ta historia, znana społeczeństwu w stopniu tak znikomym, jest w dodatku często historią zakłamaną i zmitologizowaną. Wbrew zaleceniom Cycerona nie tylko nieuczącą niczego, ale w dodatku ogłupiającą, rozdymającą narodowe ego, dającą pożywkę narodowej megalomanii, ksenofobii i nacjonalizmowi.

Ostatnio patriotyzm typu stadionowego, taki bezmózgowy, ryczący, każący uznać za zdrajcę i wroga każdego, kto myśli inaczej albo w ogóle myśli, stał się nieomal doktryną państwową. Jak kibol albo jakiś inny narodowiec spod znaku Brauna czy Bąkiewicza się wykrzyczy: „Polska dla Polaków”, „Śmierć wrogom ojczyzny”, a nie trafi na nikogo, kogo można by dzielić bejsbolem albo pociąć maczetą, idzie z reguły na piwo, by odświeżyć zachryptę od patriotycznych ryków gardło. Nienawidzi z założenia wszystkiego, co obce, niepolskie. Ale piwo lubi czeskie.

Najgorsze jest to, że ten stadionowy model patriotyzmu stał się wzorem dla znacznej części polskiego „suwerena”. Nawet dla osób starszych, które na mecze chyba nie chodzą, a także dla znaczącej części młodego pokolenia, uwiedzionego przez Konfederację. Społeczeństwo taki patriotyzm pochwała i akceptuje, a nawet czynnie uprawia. Jak pokazują kolejne wybory, robi to niemal połowa elektoratu. Dziś więc prawie połowa wyborców nie cierpi imigrantów, którzy są dla nich z definicji nielegalni, a już najbardziej nienawidzi tych o odmiennym odcieniu skóry. Bo oni to przeważnie muzułmanie, a muzułmanie to wiadomo! Chcą wyprzeć kulturę chrześcijańską, której Polska jest od zawsze przedmurzem, poza tym gwałcą i mordują! Trzeba zatem bronić przed nimi polskich kobiet i dzieci!

Czyż to nie piękne postawy? Obrona polskich granic! Ochrona kobiet i dzieci przed zgwałceniem! A przy tym jeszcze obrona chrześcijaństwa! Jak już samozwańczy obrońca granic, obrońca wiary i polskości popije piwa

(czeskiego, ale może też być Carlsberg lub Heineken albo pohabsburski Żywiec), to najchętniej przegryzie kebabem, który w ostatnich latach stał się naszym narodowym daniem, wypierając tradycyjne polskie przystawki do piwa, takie jak fasolka po bretońsku czy ślędz po japońsku. Z polskich dań bronią się jeszcze jako ostatnia reduta: pierogi ruskie, barszcz ukraiński, gulasz węgierski, włoska pizza, sznyceł wiedeński...

Typowe dla prawicy zamiętowanie do haseł patriotycznych, zwłaszcza o wydźwięku militarnym, ma czasem kształt i wymowę nieco karykaturalną. Tu właśnie brak znajomości historii daje się odczuć najbardziej. Na przykład na manifestacji poparcia dla nowo wybranego prezydenta Nawrockiego, którą widziałem w telewizji, wśród licznych biało-czerwonych chorągwi i transparentów dostrzegłem i taki: „Grudziądz semper fidelis” („Grudziądz zawsze wierny”). Ci, którzy ten transparent wyprodukowali, a później z dumą wznosili nad swoimi przepętnionymi miłośnią do nowego prezydenta głowami, chcieli zapewne nawiązać do hasła „Leopolis semper fidelis”.

Ostatnio patriotyzm typu stadionowego stał się nieomal doktryną państwową.

W okresie międzywojennym w Grudziądzu znajdowało się Centrum Wyszkozenia Kawalerii (żurawiejka: „Dupy mają jak z mosiądza, to ułani są z Grudziądza!”), Centrum Wyszkozenia Żandarmerii i cała masa innego jeszcze wojska. Odprawiano tu liczne uroczystości patriotyczne z jego udziałem, a mimo to po 1939 r. ponad 80% mieszkańców miasta podpisało volkslistę. Chyba ten Grudziądz taki „semper” wierny to nie był. Nie bardzo jest jasne, co autorzy i wystawiacze transparentu mieli na myśli. Serio to czy cynicznie? Czy deklarowali taką wierność mieszkańców swojego grodu jak dotąd? A może po prostu o tym masowym podpisywaniu volkslisty nie wiedzieli? Jeśli tak, nieznanym historii znów się kłania. Tak czy inaczej, to „Grudziądz semper fidelis” zabrzmiało nieco dwuznacznie, żeby nie powiedzieć złowieszczo. Nie wiem też, czy pan prezydent z owej deklaracji wierności się ucieszył.

Kto uzna państwo palestyńskie

USA wycofują Palestyńczykom wizy na Zgromadzenie ONZ



W pomoc Palestyńczykom w Gazie zaangażował się aktor Liam Cunningham.

Jakub Katulski

Internet i zachodnie media hu- czą od informacji o „Cebulowym Rycerzu”, który zmierza do Ga- zy, by przełamać blokadę morską. Chodzi o irlandzkiego aktora Liama Cunninghama, znanego z roli sir Davosa Seawortha, byłego przemytnika w serialu „Gra o tron”. Grana przez niego postać również przełamywała morskie oblężenie, by dostarczyć żywność, w tym cebulę. Cunningham znany jest z propalestyńskich poglądów i od dwóch lat chętnie zabiera głos w obronie Gazy. Tym razem postanowił działać i dołączył do flotyli Sumud. To kolejna w ostatnich latach

próba przełamania blokady morskiej Gazy i dostarczenia jej mieszkańcom pomocy humanitarnej.

Poprzednie starania, w tym głośny rejs z czerwca tego roku, zostały zablokowane przez izraelskie wojsko. Wcześniejsze akcje nie zawsze jednak kończyły się pokojowo. W 2010 r. na pokład statku Mv Mavi Marmara wtargnął oddział izraelskich komandosów; doszło do walki, w której zranionych zostało 10 izraelskich żołnierzy, ale śmierć poniosło też 10 aktywistów (Rada Praw Człowieka ONZ podała w raporcie, że stan przynajmniej sześciu ciał wskazywał na to, że ofiary zostały poddane egzekucji). Wszystkich pasażerów i załogę statku deportowano.

Tym razem rejs flotyli Sumud ma szansę zyskać o wiele większy rozgłos. 31 sierpnia z Barcelony wyruszyło ok. 100 jednostek, co stanowi największą próbę przełamania blokady morskiej Gazy w historii. Na ich pokładach znaleźli się aktywiści i dziennikarze z 40 państw świata.

Choć deklarowanym celem jest dostarczenie pomocy humanitarnej, można się spodziewać, że i ta flotylla zostanie zatrzymana przez izraelskich wojskowych, a jej uczestnicy deportowani. Mimo wszystko akcja i tak odegra swoją rolę – będzie wyrazem protestu przeciwko sytuacji w Strefie Gazy oraz izraelskim działaniom zbrojnym, które doprowadziły do śmierci 60 tys.

Palestyńczyków (według wspólnego śledztwa izraelskich magazynów internetowych +972 Mag i Sicha Mekomit oraz brytyjskiego „Guardiana” same dane Sił Obrony Izraela pokazują, że 83% ofiar ich działań to osoby cywilne). A także przeciwko katastrofie humanitarnej, która jest skutkiem blokowania dostępu ciężarówek z pomocą, uniemożliwienia działania ONZ czy utworzenia nieefektywnej Gaza Humanitarian Foundation, której akcje naraziły życie wielu osób udających się do punktów dystrybucji żywności.

Waszyngton zawłaszcza ONZ?

Choć z perspektywy Palestyńczyków sprawy dzieją się być może zbyt wolno i świat nieskutecznie zapobiega ich tragedii, trudno nie zauważyć zmian, przynajmniej symbolicznych. Już kilka państw europejskich – wśród nich Francja i Wielka Brytania – zapowiedziało, że lada chwila uzna państwo palestyńskie. Do tej listy dołączyła Belgia, stawiając jednak twarde warunki. Była to trudna decyzja, wypracowana w drodze kompromisu między socjaldemokratami, chadekami, centrystami i flamandzkimi nacjonalistami. Belgia ma zamiar uznać palestyńską państwowość jeszcze w tym miesiącu. Nałoży także na Izrael sankcje uniemożliwiające import produktów z nielegalnych żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu, o ile z Gazy zostaną wypuszczeni izraelscy zakładnicy, a Hamas odda władzę.

Tego rodzaju warunki zdają się trudne do spełnienia; może nawet chodzi o to, aby belgijski rząd nie musiał wywiązywać się z obietnic. Zdaje sobie bowiem sprawę z tego, że Hamas uważa się za legalną palestyńską władzę, po tym jak w 2006 r. zwyciężył w wyborach parlamentarnych, a prezydent Mahmud Abbas nigdy nie rozpisal kolejnych.

Niezależnie od tego, czy belgijski rząd wyda oświadczenie o uznaniu Palestyny, czy nie, z tego zamiaru nie wycofali się inni europejczy gracze. Tymczasem rosnąca presja na Izrael sprawiła, że do akcji włączył się Waszyngton. Do uznania Palestyny miało dojść na 80. sesji

Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych, podczas szczytu, który zacznie się 9 września. 29 sierpnia na stronie Departamentu Stanu USA pojawił się artykuł stwierdzający, że „Administracja Trumpa potwierdza swoje zobowiązanie, by nie nagradzać terroryzmu, i wycofuje wizy palestyńskich urzędników przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ”.

Czy zatem Stany Zjednoczone uznają teraz również Fatah i Autonomię Palestyńską za organizacje terrorystyczne? Być może to nadinterpretacja, ale Waszyngton zaburza neutralność forum ONZ, w którym z założenia mogą brać udział państwa członkowskie i członkowie obserwatorzy, a taki status ma w ONZ Palestyna.

Europejscy ministrowie podzieleni

Po spotkaniu unijnych ministrów spraw zagranicznych w Kopenhadze (29-30 sierpnia) szefowa europejskiej dyplomacji Kaja Kallas wezwała Waszyngton do odwołania jego decyzji, która łamie porozumienia między ONZ a Stanami Zjednoczonymi. Zgodnie z nimi bowiem Amerykanie nie mają prawa wycofywać wydanych wiz. Tego samego zdania jest minister spraw zagranicznych

Kilka państw europejskich, w tym Francja i Wielka Brytania, zapowiedziało, że lada chwila uzna państwo palestyńskie.

Francji Jean-Noël Barrot, który podczas konferencji prasowej zaprotestował przeciwko ograniczeniom możliwości dostępu do Zgromadzenia Ogólnego. Barrot udzielił tego komentarza w przeddzień spotkania ministrów, które w agendzie miało przede wszystkim omówienie wspólnych reakcji na wojnę w Ukrainie i potencjalnego zawieszenia broni między Kijowem a Moskwą. Ale także kwestii wojny w Strefie Gazy i katastrofy humanitarnej, jaka dotyka Palestyńczyków.

Rozmowy, co nie było zaskoczeniem, zakończyły się bez wypracowania wspólnego stanowiska. Już przed spotkaniem Kaja Kallas

przyznała, że ministrowie „na pewno nie podejmą dzisiaj decyzji” o nałożeniu sankcji na Izrael, czego zdaje się oczekiwać duża część społeczeństw państw europejskich. Tym samym Europa wysłała wyraźny sygnał, że jest podzielona.

Ministrowie dyskutowali jednak o wstępnym etapie kar, które w ramach wywierania presji mogliby nałożyć na Izrael. Mowa chociażby o zawieszeniu unijnego finansowania dostępnego dla izraelskich start-upów. To z ich działalności Tel Awiw uczynił element swojej silnej dyplomacji publicznej, prezentując się skutecznie jako przedsiębiorczy naród i państwo zapewniające dobre warunki do rozwoju innowacyjnych rozwiązań biznesowych i technologicznych.

Po spotkaniu na konferencji prasowej Kallas słowem nie wspomniła o Gazie, a jej profile w mediach społecznościowych odnoszą się przede wszystkim do wojny w Ukrainie.

Choć spotkanie określa się jako nieformalne, stanowi ono barometr nastrojów europejskich. Przede wszystkim Niemcy i Czechy sprzeciwiają się wszelkim inicjatywom, które doprowadziłyby do zamrożenia wolnego handlu między Izraelem a Unią Europejską, będącą największym partnerem handlowym Izraela.

Niemiecki minister spraw zagranicznych sprzeciwił się też zawieszeniu izraelskiego udziału w programie „Horyzont Europa”, kluczowym w kwestii przyznawania grantów badawczych i rozwojowych.

Według Izraelskiej Agencji Innowacji izraelscy badacze i przedsiębiorstwa w latach 2021 i 2024 otrzymali ponad 1,1 mld euro w grantach. Przeważająca część funduszy trafiła do ośrodków akademickich (592 mln euro), a aż 386 przedsiębiorstw otrzymało 228 mln euro. 626 izraelskich badaczy i firm wzięło w tym czasie udział w projektach, w których współpracowali z innymi ośrodkami czy naukowcami z krajów ▶

► europejskich. Środki te przeznaczono na różne gałęzie nauki i gospodarki. Niemiecki minister Johann Wadepuhl argumentuje więc, że zamrożenie udziału Izraela w programie „Horyzont Europa” uderza w obszary cywilne, niezwiązane jego zdaniem z izraelskim wojskiem.

Włosi i Austriacy również sprzeciwili się nakładaniu sankcji na Izrael, przekonując, że ich rządy mogą się zgodzić na umieszczanie osadników ekstremistów na czarnych listach, uniemożliwiając im przyjazd do Europy. Z kolei tutejsza ministra spraw zagranicznych Baiba Braže wyraźnie zaznaczyła, że z perspektywy jej rządu izraelskie działania mieszczą się w granicach legalnej odpowiedzi na agresję ze strony Hamasu 7 października 2023 r.

Wobec tak podzielonych stanowisk trudno być optymistą. Większość omawianych projektów sankcji jako część wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa wymagałaby jednomyślności, a należy się spodziewać, że Berlin, Praga czy Ryga zawetują tego rodzaju pomysły. Natomiast zawieszenie izraelskiego udziału w programie „Horyzont Europa” to kwestia większości kwalifikowanej, wymagałoby zatwierdzenia przez 15 państw reprezentujących

65% populacji Unii Europejskiej. Rola Niemiec może zatem okazać się kluczowa w obu przypadkach i zawienna dla Izraela, którego gospodarka dotkliwie odczułaby europejskie sankcje.

Bliski Wschód traci cierpliwość

W gruncie rzeczy podobnie wygląda sytuacja na Bliskim Wschodzie, gdzie także kończy się cierpliwość bliskich partnerów Tel Awiwu, choć każdy ma inną koncepcję przyszłości regionu. Lana Nusseibeh, specjalna wysłanniczka ministerstwa spraw zagranicznych Zjednoczonych Emiratów Arabskich, wystosowała ostrzeżenie, że zapowiadana przez Izrael aneksja części Zachodniego Brzegu jest dla Abu Zabi czerwoną linią.

Niemcy i Czechy sprzeciwiają się zamrożeniu wolnego handlu między Izraelem a UE.

Ostatnie lata, po podpisaniu 15 września 2020 r. w Waszyngtonie tzw. porozumień Abrahama, które normalizowały relacje polityczne Izraela z ZEA i Bahrajnem, były dla Emiratczyków i Izraelczyków jak miesiąc miodowy. Przyniosły ocieplenie relacji nie tylko politycznych, ale i kulturalnych oraz wyraźny wzrost turystyki. Lana Nusseibeh w wywiadzie dla portalu Times of Israel w przededniu piątej rocznicy porozumień stawia sprawę jasno: dla jej rządu aneksja oznaczałaby, że nie może być trwałym pokojem, i byłaby końcem marzeń o regionalnej integracji.

Dla innych państw w regionie działania Izraela też okazują się podstawą do ruchów wyprzedzających. W lipcu pojawiły się doniesienia, że Egipt szkoli setki palestyńskich policjantów, którzy mieliby zadbać o porządek w powojennej Gazie i przejąć kontrolę nad obszarem. W tym celu egipcscy żołnierze szkolą policjantów Autonomii Palestyńskiej z działań z zakresu antyterrorystycznego, ale i współdziałania z partnerami w Izraelu. Plan jest częścią kontrproponycji Kairu wobec planu Trumpa z początku roku. Waszyngton

naciskał wówczas na Egipt i Jordanię, by przyjęły dużą część populacji Strefy Gazy na czas odbudowy. Koncepcja ta spotkała się z oporem ze strony Ammanu i Kairu. Obie stolice uważają, że populacja Gazy powinna pozostać na zamieszkiwanym przez siebie obszarze, który objęty będzie 10-letnim programem odbudowy. Autonomia Palestyńska zaś powinna przejąć władzę w Strefie Gazy po zakończeniu działań wojennych.

Obecne działania, które Egipcjanie już zaczęli wdrażać, stoją w opozycji do izraelskiego stanowiska co do roli Autonomii Palestyńskiej. Tel Awiw wolałby współpracować z partnerami w Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Rijad i Abu Zabi nie wspierają egipskiego planu odbudowy, bo ich zdaniem

przyszłość Strefy Gazy musi być oparta na rozbrojeniu Hamasu i wygnaniu jego przywódców. W grę wchodzi także kwestia wpływów w Gazie i wśród urzędników Autonomii Palestyńskiej, które wzmocniłyby regionalną pozycję Egiptu.

Podczas gdy politycy dyskutują, jak rozwiązać konflikt ciągnący się przynajmniej od 1948 r., głos zabierają kolejni naukowcy. 31 sierpnia Międzynarodowe Stowarzyszenie Badaczy Ludobójstwa (IAGS) prze głosowało rezolucję (86% głosów członków), według której „polityka i działania Izraela w Strefie Gazy spełniają prawną definicję ludobójstwa zawartą w art. 2 Konwencji ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa”. Stowarzyszenie wezwało społeczność międzynarodową do powstrzymania tych działań i zapobieżenia dalszej tragedii, jednocześnie uznając, że atak Hamasu z 7 października stanowił zbrodnię wojenną.

Kolejne głosy protestu i krytyki pokazują przede wszystkim, jak podzielony jest świat w kwestii konfliktu, który oglądamy na żywo, 24 godziny na dobę.

Jakub Katulski





Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Byłem w Kielcach podczas 33. Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego, czyli targów zbrojeniowych. Ale nie na targi skierowałem kroki – udałem się do Komendy Wojewódzkiej Policji w Kielcach, by zgłosić oficjalnie zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez obecnych na targach przedstawicieli izraelskich firm zbrojeniowych. Wsparcia udzielili mi Polsko-Palestyńska Inicjatywa na rzecz Sprawiedliwości Kaktus i niezależni informatorzy obecni na targach.

O jakie przestępstwo chodzi? Dwa główne ewentualne zarzuty to pomocnictwo w ludobójstwie oraz pochwała ludobójstwa. Opierając się na stanowisku takich instytucji jak Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości (działający przy ONZ od 1945 r.) czy Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze (Polska ratyfikowała statut rzymski powołujący tę instytucję), mamy uzasadnione podejrzenie, że w Strefie Gazy odbywa się ludobójstwo, armia izraelska popełnia dzień w dzień zbrodnie wojenne. W sferze publicystycznej

zebrane przez Fundację im. Hind Rajab zostały przekazane do Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze.

W Polsce echem odbiły się wydarzenia z nocy z 1 na 2 kwietnia 2024 r., kiedy izraelscy żołnierze przy użyciu drona Hermes 450 wyprodukowanego przez Elbit Systems zaatakowali konwój humanitarny World Central Kitchen w Dajr al-Balah w Strefie Gazy, zabijając siedmiu wolontariuszy, w tym 35-letniego Polaka, Damiana Sobola z Przemyśla. Soból, doświadczony wolontariusz, od października 2023 r. organizował dostawy żywności dla ludzi w Strefie Gazy, działając w ramach misji WCK. Konwój, składający się z dwóch opancerzonych pojazdów i jednego dodatkowego, był wyraźnie oznakowany logo WCK i skoordynowany z Siłami Obronnymi Izraela, co potwierdzają oświadczenia WCK i relacje medialne. Śledztwo w sprawie śmierci polskiego wolontariusza zostało umorzone, gdy Izrael nie zareagował na próbę uzyskania przez polskich prokuratorów jakichkolwiek informacji.

Interes robiony na ludobójstwie

od lat przedstawiałem tezę, że to, jak Izrael traktuje Gazę, można opisać słowem poligon.

W przygotowaniu do wojen przyszłości, które będą się rozgrywać w miastach, bo tam już dzisiaj mieszka większość globalnej populacji, Izraelczycy, obudowując się usprawiedliwieniami propagandowymi, od lat testują najrozmaitsze rodzaje broni, urządzeń i rozwiązań wojskowo-policyjnych. Testują, czyli, mówiąc wprost, używają ich do zabijania, mordowania, mieszkańców Gazy, wśród których większość to kobiety, dzieci i młodzież. Kieleckie targi unaocznily, jak przekłada się to na biznes militarny, sprzedawcy expressis verbis zachwalają sprzęt jako „wypróbowany w walce, w boju”, używany w operacji „Swords of Iron” (Żelazne Miecze), czyli w obecnych ludobójczych działaniach militarnych w Gazie.

W Kielcach było 10 izraelskich firm zbrojeniowych, zarówno państwowych, jak Rafael czy IAI (Israel Aerospace Industries Ltd.), jak i prywatnych. Wśród producentów broni znalazły się także firmy, których drony i pociski przeciwpancerne zostały wedle ustaleń organizacji międzynarodowych i śledztw dziennikarskich użyte w niedawnej masakrze po ostrzeleniu szpitala Nasser w Chan Junis na południu Strefy Gazy (25 sierpnia – ostrzał, dwa tygodnie później – targi). Żołnierze użyli dwóch przeciwpancernych, laserowo naprowadzanych pocisków Lahat. Zabili 22 osoby, w tym pięciu dziennikarzy, trzech pracowników szpitala, w tym jednego lekarza, pracownika obrony cywilnej oraz dziecko – 14-letniego chłopca. Dowody w tej sprawie

Skandalicznym tłem obecności firm zbrojeniowych z Izraela na targach w Kielcach jest wsparcie polityczne udzielane temu państwu przez polski rząd. Dyrektor targów Andrzej Mochoń na pytanie dziennikarza o problematyczność tej obecności (z podobnej imprezy we Francji Izraelczycy zostali wykluczeni) z rozbrajającą szczerością odpowiedział: „Ze strony MON, rządu nie było rozmów dotyczących niezapraszania izraelskich wystawców. Najmniejszych. Co więcej, spodziewamy się delegacji z Izraela, która przyjeżdża na zaproszenie ministra obrony narodowej”.

Kiedy składałem zawiadomienie na kieleckiej komendzie, na terenie targów doszło do protestu aktywistów, którzy oblali czerwoną farbą stoisko jednej z izraelskich firm zbrojeniowych. Aktywiści trafili do aresztu. Ja czekam na decyzje policji i prokuratury, co zrobią ze złożonym zawiadomieniem. A ludobójstwo w Gazie trwa w najlepsze.

Tymczasem polski Kodeks karny w art. 118 par. 3 mówi: „Odpowiada za pomocnictwo, kto w zamiarze, aby inna osoba dokonała czynu zabronionego, swoim zachowaniem ułatwia jego popełnienie, w szczególności dostarczając narzędzie, środek przewozu, udzielając rady lub informacji; odpowiada za pomocnictwo także ten, kto wbrew prawnemu, szczególnemu obowiązкови niedopuszczenia do popełnienia czynu zabronionego swoim zaniechaniem ułatwia innej osobie jego popełnienie”.

Pierwszemu w historii ludobójstwu transmitowanemu na żywo towarzyszy na polskich tragach niezakończony proces biznesowego monetyzowania zbrodni. ■

Lewica się reorganizuje

Nowa socjaldemokratyczna premierka Litwy w ogniu krytyki

Tomasz Otoki

Jeszcze jesienią zeszłego roku Litewska Partia Socjaldemokratyczna (LSDP) triumfowała, zdobywając w wyborach do Sejmu jedną piątą głosów oraz 52 ze 141 mandatów w parlamencie. Po rezygnacji przewodniczącej Viliji Blinkevičiūtė z przyjęcia funkcji premierki, co eurodeputowana tłumaczyła swoim wiekiem i stanem zdrowia, udało się dość sprawnie utworzyć nową koalicję. Na jej czele stanął były wicemercer Wilna, 46-letni Gintautas Paluckas, przedstawiciel młodszego, bardziej ideowego pokolenia partyjnego.

Koalicja wokół Paluckasa

W skład rządu weszły trzy partie: oprócz socjaldemokratów także Związek Demokratów „W imię Litwy” Sauliusa Skvernelisa, premiera w latach 2016-2020, który w nowym rozdaniu został przewodniczącym Sejmu, a także antysystemowy Świt Niemna, założony przez Remigijusa Žemaitaitisa, młodego polityka, który w 2023 r. zastąpił wypowiedziami wymierzonymi w Izrael. Zwłaszcza wejście do koalicji rządzącej tej ostatniej partii, porównywanej z niemiecką AfD, budziło kontrowersje. Socjaldemokraci tłumaczyli jednak wyborcom, że „nie mieli wyjścia”.

Litwa nie zna bowiem, inaczej niż Niemcy czy Holandia, tradycji „wielkich koalicji” między lewicą a prawicą. Zresztą wejściu w sojusz z socjaldemokratami sprzeciwiał się ówczesny lider konserwatywnego Związku Ojczyzny, partii rządzącej w latach 2020-2024, Gabrielius Landsbergis.

Rząd Paluckasa przetrwał kilka miesięcy bez większych kontrowersji, pomijając sprawę koalicji z Žemaitaitisem. Tymczasem już w lipcu premier był zmuszony podać się do dymisji. Co się stało?

Pierwsze kontrowersje, ujawnione przez Laisvės TV Andriusa Tapiņas oraz Centrum Dziennikarstwa Śledczego Siena, pojawiły się pod koniec czerwca tego roku. Chodziło m.in. o niejasne związki Paluckasa z biznesmenem Darijusem Vilčinskasem, w tym sprzedaż mieszkania w Wilnie za 230 tys. euro oraz przejęcie zniszczonego pałacu w stolicy Litwy, którego wartość szacowano na 6 mln euro.

Później głównym zarzutem wobec lidera socjaldemokratów stała się sprawa preferencyjnej pożyczki udzielonej przez Narodowy Bank Rozwoju ILTE spółce Garnis, której Paluckas był udziałowcem. Podczas śledztwa wykazano również, że były szef rządu otrzymał w 2024 r. pożyczkę w wysokości 200 tys. euro od własnej firmy Emus. Jak podkreśla analityczka ds. krajów bałtyckich Kinga Dudzińska w analizie dla Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych: „Funkcjonariusze Litewskiej Służby Dochodzeń Finansowych (FNTT) przeprowadzili też przeszukania w należącej do bratowej premiera firmie Dankora, która za pieniądze unijne zamierzała kupić od Garnis akumulatorowe systemy magazynowania energii”.

Firma Dankora zapewniła publicznie, że przetarg był przeprowadzony zgodnie z prawem, a szef socjaldemokratów nie uczestniczył w jej działalności, jednak była zmuszona oddać otrzymane środki europejskie. Jak pod koniec lipca podawał do wiadomości portal zw.lt,

sprawą Paluckasa zajęły się służby śledcze, poddając prześwietleniu wcześniejszą działalność i transakcje premiera.

Jeszcze w drugiej połowie lipca władze LSDP wyraziły zaufanie wobec swojego szefa, koncentrując się na jesiennej sesji Sejmu oraz pracach nad budżetem na kolejny rok. Później nastroje w partii stały się minorowe, prezydent zaś dał premierowi dwa tygodnie na wyjaśnienie zarzutów. „Jeśli to nie poskutkuje, powinien podać się dymisji”, powiedział Gitanas Nausėda. Ostatecznie stało się to 31 lipca, premier ustąpił także z funkcji prezesa partii.

Kandydatury na szefa rządu

Po dymisji Paluckasa socjaldemokraci przedstawili cztery kandydatury na stanowisko nowego premiera. Wśród nich znaleźli się pełniący obowiązki nowego przewodniczącego LSDP Mindaugas Sinkevičius, mer rejonu janowskiego, Juozas Olekas, wiceprzewodniczący Sejmu i były minister obrony Inga Ruginienė, minister pracy i opieki społecznej oraz Robert Duchniewicz – Polak z Wileńszczyzny, wiceprzewodniczący LSDP, mer rejonu wileńskiego.

Zainteresowanie wzbudziło nazwisko tego ostatniego. Duchniewicz, podobnie jak Sinkevičius i Ruginienė, a inaczej niż Olekas, jest bowiem „młodą nadzieją lewicy”, zwłaszcza od czasu, gdy w 2023 r. wygrał wybory na mera rejonu wileńskiego, pozbawiając tego stanowiska Akcję Wyborczą Polaków na Litwie-Związek Chrześcijańskich Rodzin (AWPL-ZChR), rządzącą rejonem od połowy lat 90. Jest także – podobnie jak była minister sprawiedliwości w rządzie centroprawicy



Ewelina Dobrowolska czy obecny minister spraw wewnętrznych w rządzie Paluckasa Władysław Kondratowicz – przedstawicielem tej części polskiej społeczności, która nie chce robić kariery u boku Waldemara Tomaszewskiego konserwatywnego, autorytarnego lidera AWPL-ZChR, obecnego europośta, a także lidera Związku Polaków na Litwie.

Ostatecznie Duchniewicz zrezygnował, podobnie jak wcześniej Sinkvičius i Olekas. Na nową premierkę wyznaczono Ruginienė. Będzie już trzecią w historii kobietą szefową rządu.

Najbardziej lewicowa premier?

Ruginienė, która weszła do polityki dopiero w 2024 r., zostając posłanką na Sejm, spotkała się już z dość poważnym hejtem. A to za „lewackie” poglądy na sprawy gospodarcze, a to za podróże rodzinne do Rosji, a to za rosyjski akcent, gdy mówi po litewsku (sama pochodzi z rejonu trockiego na polsko-litewskim pograniczu etnicznym). Wytyka się jej

także brak doświadczenia politycznego, co zbliża ją do premierki Łotwy Eviki Siliņi, piastującej to stanowisko od 2023 r., a odróżnia od byłej szefowej rządu Estonii Kai Kallas.

Zanim Inga Ruginienė (44 l.) została posłanką, pełniła funkcję przewodniczącej Litewskiej Konfederacji

Indze Ruginienė wytyka się „lewackie” poglądy na sprawy gospodarcze, rosyjski akcent i brak doświadczenia politycznego.

Związków Zawodowych. Wcześniej była związana z branżowymi związkami pracowników leśnictwa i przemysłu leśnego.

– Ruginienė będzie najstarszym premierem w całej historii współczesnej Litwy, jednocześnie najbardziej lewicową, w najgorszym tego słowa znaczeniu, bez żadnego doświadczenia politycznego. Nie ma żadnych idei, poza zabieraniem jednym i daniem drugiem. Prezentuje myśli bardzo niespójnie. W dodatku mówi z wyraźnym rosyjskim

Premier Inga Ruginienė, która weszła do polityki dopiero w 2024 r., spotkała się już z dość poważnym hejtem.

akcentem – dowód na to, że w dzieciństwie mówiła po rosyjsku w domu – narzeka w rozmowie z „Przeглядem” prawnik publiczny Rimvydas Valatka.

Katarzyna Bogdziewicz, wykładowczyni z Uniwersytetu Michała Römera, widzi to w sposób bardziej zniuansowany: – Rzeczywiście Ruginienė nie ma dużego doświadczenia w polityce, nie wiadomo też, jak mocne jest jej stanowisko w samej partii. Premierka ma jednak doświadczenie w zarządzaniu, więc może się okazać niespodzianką również dla samych socjaldemokratów. Jako minister zasłynęła z reformy emerytalnej. Wiadomo, że ma poglądy lewicowe, więc będzie prawdopodobnie koncentrowała się na opiece społecznej oraz na obronności, ważnej w kontekście tego, co się dzieje na Ukrainie.

Bardziej optymistycznie patrzy na sprawę dr hab. Aleksandra Kuczyńska-Zonik z Instytutu Europy Środkowej w Lublinie: – Za kandydaturą Ruginienė przemawia świeżość, nowość, niepowiązanie z wcześniejszymi aferami oraz doświadczenie jako ministra opieki społecznej. Idee takie jak równość, pomoc społeczna, wyrównywanie

szans są bardzo ważne dla lewicy. Dlatego Ruginienė może symbolizować pewien powrót do podstawowych wartości tego ugrupowania i koncentrację na polityce wewnętrznej oraz aspekcie socjalnym.

Analitycy nie wskazują bowiem na jakiegokolwiek zmiany w polityce zagranicznej, które miałyby się dokonać pod rządami premierki. Litwa nadal będzie aktywnym członkiem Unii Europejskiej i NATO, będzie wspierać Ukrainę. Być może poprawią się stosunki z Chinami, ▶

► nadwyřęzone w okresie rządów konserwatystów.

Polska partia wraca do gry

Ostatecznie Inga Ruginienė została zatwierdzona na stanowisko premiera 26 sierpnia, teraz czekamy na przedstawienie składu nowego rządu i pierwsze decyzje personalne. W koalicji, którą tworzą teraz Partia Socjaldemokratyczna, Świt Niemna oraz Związek Chłopów i Zielonych (zastąpił w tej roli partię Skvernelisa), znajdzie się także miejsce dla AWPL-ZChR.

Partia ma już nawet pretendenta do teki ministra sprawiedliwości. Choć kandydatów na nowego ministra miało być czterech, Waldemar

Ukrainę z 2022 r. Tomaszewski stara się jednak mitygować. Nie paraduje już we wstążeczce georgijewskiej, by pozyskać rosyjski elektorat na Litwie. Partia polityczna Alians Rosjan, sojusznik Tomaszewskiego, przestała już zresztą istnieć i AWPL-ZChR od kilku lat odwołuje się w zasadzie tylko do polskiego elektoratu.

Aleksander Radczenko, doradca rządowy, który w rozmowie z „Przełgłdem” – jak podkreśla – prezentuje czysto prywatne stanowisko, inaczej niż Litwini głosujący na centroprawicę widzi plusy wejścia AWPL-ZChR do nowej koalicji.

– Wejście do rządu AWPL-ZChR jest rękomią, że przynajmniej nie będzie prób pogarszania sytuacji mniejszości narodowych. A może

m.in. udział polskiej partii w rządzie. „Są także normalni Polacy”, taki transparent trzymała miejska przewodniczka po Wilnie Alina Obolewicz, od lat krytykująca Tomaszewskiego. „Nienormalni” to ci, którzy przypinają wstążeczkę georgijewską i nie są w stanie jednoznacznie powiedzieć, kto jest winien wojny w Ukrainie. W wileńskiej demonstracji uczestniczył także... Robert Duchniewicz.

Czy uczestnictwo w akcji organizowanej przez osoby kojarzone raczej z prawicą jest w porządku?

– Wziąłem udział w demonstracji, bo byli tam także wyborcy naszej partii – mówi Robert Duchniewicz.

– W przyszłych wyborach mogą oni zrezygnować z głosowania na Partię Socjaldemokratyczną, dlatego warto tam było być i przekonywać – dodaje, podkreślając, że obecność na demonstracji organizowanej m.in. przez Tapinasa, to „wyjście ze strefy komfortu”. Duchniewicz przy-

pomina, że już w zeszłym roku był krytyczny i wstrzymał się od głosu podczas głosowania nad kształtem ówczesnej koalicji rządzącej, w skład której weszła skrajnie prawicowa partia Świt Niemna. Teraz także do końca nie jest zadowolony z rządowego sojuszu, choć w partyjnym głosowaniu opowiedział się za kandydaturą Ingi Ruginienė na premierkę. Nazywa ją zresztą osobą o konsekwentnie lewicowych poglądach. – Jest członkinią mojego oddziału rejonowego, znam ją, uważam, że jest dobrą kandydatką, da radę „ideologicznie” – zapewnia Duchniewicz.

Pytany o plany na przyszłość i o to czy rzeczywiście zobaczymy go w roli premiera w 2028 r., jeśli socjaldemokraci ponownie wygrają wybory, mówi: – Nie mam intencji bycia szefem rządu, na razie zostaję w samorządzie. Powiem więcej, nawet nie podjąłem jeszcze decyzji o kandydowaniu na kolejną kadencję w rejonie wileńskim.

Czy to kokieteria, czy lekkie wypalenie polityczne? Przekonamy się niedługo. Być może mało doświadczona premierka Inga Ruginienė na tyle namiesza w polityce, że pojawią się nowe pytania i nowe scenariusze.

Tomasz Otock

Premierka ma doświadczenie w zarządzaniu, więc może się okazać niespodzianką również dla samych socjaldemokratów.

Tomaszewski zagrał tym razem bezpiecznie i nominował na tę funkcję Ritę Tamašunienė, posłankę na Sejm, w latach 2019-2020 minister spraw wewnętrznych w centrolewicowym rządzie Skvernelisa. Tamašunienė jest od lat osobą zaufaną w partii, lojalną wobec Tomaszewskiego.

– To kandydatka last minute – naśmiewał się w rozmowie ze mną w 2019 r. założyciel i szef Laisvės TV Andrius Tapinas, ten sam, który teraz organizował demonstrację przeciwko nowemu rządowi. Miał bardzo krytyczny stosunek do kompetencji Tamašunienė. Tak się jednak składa, że obecny prezydent Nausėda o kandydatce Tomaszewskiego wypowiedział się w mediach dobrze.

„Poglądy pana Tomaszewskiego są takie, jakie są, i szczerze mówiąc, w pełni się z nimi nie zgadzam. Ale, prawdę mówiąc, jego partia – jeśli dobrze pamiętam – uczestniczyła w rządzie Skvernelisa i była uważana za dość wiarygodnego partnera”, powiedział prezydent w jednym z ostatnich wywiadów dla „Žinių Radijas”. Wątpliwości Nausėdy co do Tomaszewskiego wynikają z dość promoskiewskiego stanowiska tego ostatniego. W ostatnich latach, zwłaszcza po bezpośredniej agresji Rosji na

da się przeforsować jakieś pozytywne zmiany, które dotychczas często hamował lider demokratów Skvernelis – twierdzi prawnik i były bloger.

Nowy rząd się nie podoba prawicy

Pisarka Kristina Sabaliauskaitė, autorka powieści „Cesarzowa Piotra”, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” z początku września mówi bez ogródek: „Nasz nowy rząd prezentuje prorosyjskie osoby. Pod koniec sierpnia brałem udział w proteście w Wilnie. Więc nastroje są raczej średnie. Niestety, wciąż w rządzie są starzy komuniści pamiętający czasy Algirdasa Brazauskasa, byłego prezydenta Litwy, ale wcześniej I sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Litwy. I jest też, wychowane przez tych ludzi, młode pokolenie, które często postępuje zgodnie z kremłowska agendą”.

Zarzuty o „prorosyjskość” Ingi Ruginienė i jej nowej koalicji pojawiają się często, są jednak wyszane z palca. Mimo to wiele osób o poglądach prawicowych uczestniczyło we wspomnianym proteście w Wilnie. Pod koniec sierpnia pod Sejmem zebrało się 8 tys. ludzi. Kontrowersje wzbudził

Okno w oko



Tomasz Jastrun

Powrót

Z niemieckiego Dinkelsbühl do Bolesławca. Niemieckie miasteczko nas oczarowało, hotel też niezwykle, dekorowany lokalnymi wzorami ludowymi. Spacerujemy starymi uliczkami i placami. Gotycki kościół jakby żywcem wyjęty z dawnego czasu. Jest duża księgarnia, nawet sporo książek po angielsku, plus dwie małe. Miasto liczy 11 tys. mieszkańców. W Polsce wszystkie księgarnie w małych miasteczkach umarły. Dinkelsbühl nigdy nie doświadczyło wojny, dlatego takie piękne. I znowu bolesne uczucie, że dzisiaj nie potrafimy budować przytulnie, że nasza architektura utraciła duszę i poczucie harmonii. Niemcy ociekają bogactwem, jeśli mają teraz gospodarczy kryzys, to daj nam Panie Boże taki kryzys.

W samochodzie polska stacja radiowa, Nawrocki celebrytuje w Szczecinie rocznicę powstania Solidarności, cały czas mówi głosem podniosłym. Dudzie zajęło kilka lat, zanim zaczął krzyżeć, Nawrockiego nawiedziło to do razu.

Bolesławiec ma piękny rynek, oświetlony w nocy wygląda olśniewająco. Rano do Warszawy, ale żona najpierw chce jechać do manufaktury ze słynną już w świecie ceramiką. Mamy w kuchni kubki, miski i talerze z Bolesławca. Uważam, że w nadmiarze, ale Ewa, jak mała dziewczynka, która ma wybierać sukienki dla lalki, jedzie tam kierowana wielką namiętnością. Droga do Warszawy luksusowa, w Polsce na autostradach nie ma korków, w Niemczech są co chwilę, bo autostrady tam stare, więc nieustannie naprawiane, a to blokuje ruch.

W domu jak zawsze – najpierw witają mnie obrazy, choćby prostytutka na dużym płótnie, cała w czerwieniach i zieleniach – dzieło Piotra Krosnego. Piotr jak na zawołanie dzwoni ze Sztokholmu, przyszła do niego policja i zabrała mu broń, strzelał kiedyś sportowo. Państwo boi się, że zabije sam siebie, ma silne stany lękowe. I państwo ma rację.

Mój 14-latek z kolei ma końskie siły, długa podróż, ściemnia się, a on umawia się z kolegami i ruszają na wyprawę rowerową. Kilka dni temu, jeszcze w Szwajcarii, Franek wszedł do naszego pokoju rozpromieniony. Odkrył, że chce być pilotem cywilnym, ułożył już dokładny plan, jak ma się to stać. Co kilka miesięcy wpada na nowy pomysł co do swojej przyszłości. Rzecz jest ważna – zawsze powtarzam młodemu – mieć pomysł na swoje życie to kluczowa sprawa.

Spotkanie z Grzegorzem, mieszka w Aszkelonie, blisko Gazy, wcześniej w kibucu, odwiedzałem go tu i tam. Bardzo przybity sytuacją w Izraelu. Nie ma żadnego

wyjścia. Ale życie nas uczy, że sytuacje bez wyjścia prawie zawsze mają wyjście. I jedno tylko jest pewne wobec przyszłości: że będzie inaczej, niż myślimy, że będzie. To nadzieja dla sytuacji beznadziejnych.

Wewnątrz Izraela też wielki konflikt. „Zagryzamy się nawzajem. Wśród moich znajomych nie ma nikogo, kto myśli prawicowo”, mówi Grzegorz. „Wśród moich też nie”, odpowiadam. Podział tam i tu podobny, tylko tam sprawa gardłowa. My kopiemy się na razie po kosztach, do gardła niby daleko, ale nie aż tak bardzo.

Grzegorz opowiada o swoich dzieciach i wnukach. Też nie czytają książek, nie interesuje ich przeszłość, karmią się papką z sieci. Mówi: „Gdy obserwuję młodych w Polsce, mam wrażenie, że są identyczni jak młodzi w Izraelu, tak samo ubrani, tak samo się zachowują, mają takie same pasje”. Ale przecież ja to wszystko świetnie wiem i czuję. Obaj wiemy, że Hamas wygrał to propagandowo. Oraz że nic terrorystów nie obchodzą ofiary.

Jedno tylko jest pewne wobec przyszłości – będzie inaczej, niż myślimy, że będzie.

Nie zaprzeczam zbrodniom wojennym w Gazie, ale też widzę że propalestyńskość, nawet wśród moich znajomych, którzy byli filosemitami, zaczyna przybierać formę fanatyzmu. I zupełnie zapomniano, kto i jak to wszystko zaczął. Państwo palestyńskie powinno powstać, ale jak ma powstać – przecież musiałyby uznać istnienie Izraela – a uznać nie może. Nieszczęściem Izraela były wygrane wojny. Ocaliły ten kraj, ale też skłoniły go do okupacji palestyńskich ziem. To zawsze demoralizuje. Teraz Izrael traci argument Holokaustu i szczególne prawo do istnienia.

Oglądam mecz Polska-Izrael w koszykówce. Wygrywamy jednym punktem, ledwo. Publiczność wyje i gwizdże na izraelskim hymnie, podobnie w czasie gry. Paradoks – Polska wygrała ten mecz dzięki genialnemu Jordanowi Loydowi, który jakimś cudem stał się nagle Polakiem. „Czarnuch”, „uchodźca” z USA – ale to nasz „czarnuch”. Po meczu nie setki, ale tysiące komentarzy w sieci, zionących nienawiścią, złowrogo antysemickich, ale też hitlerowskich, powtarza się hasło: „Do gazu”. Polski antysemityzm był jak strup na ciągle żywej ranie, teraz się oderwał.

Miasto Boga, ulica człowieka



W przedsionku Panteonu.

Między jednym selfie a drugim nikt nie widzi tych, którzy leżą na kartonach. To też jest Rzym, ale nie ten z pamiątkowych magnesów

Przemysław Krajewski
Korespondencja z Włoch

Dworzec Termini, lato 2025. Wagon zatrzymuje się z sykiem. Ludzie wysiadają nieśpiesznie. Klimatyzacja zostaje za plecami. Powietrze jest gorące i pachnie papierosami. Tu można palić. Tłum rusza do wyjścia. Nie można przystanąć, zaraz ktoś cię potrąci. Trzeba wejść w nurt, który prowadzi do hali głównej dworca.

Ci z walizkami na kółkach zmierzają do wyjścia, sprawdzając jednocześnie w telefonie rezerwację, przekładając dziecko z ramienia na ramię, poprawiając czapkę przeciwsłoneczną. Twarze mają już lekko zmienione. Południowe słońce działo szybko.

Ale są też inni. Ze starymi, wielkimi torbami sportowymi, przerzuconymi niedbale przez ramię, lub spłowiałymi plecakami. Nie idą w stronę Koloseum. Skręcają w bok, gdzie mniej ludzi. Przechodzą przez skwer pod starymi drzewami. Idą w kierunku Piazza Vittorio Emanuele.

Jeszcze niedawno Włosi tańczyli tam tango pod arkadami. Dziś przechodzą pośpiesznie między ciałami o zapachu trudnym do nazwania: mieszanina rozkładu potu i alkoholu. Mefedron krąży w żyłach. To też jest Rzym. Ale nie ten z pamiątkowych magnesów.

Wystarczy przejść kilka przecznic dalej i odbić w prawo, by wrócić na trasę turystyczną. Do tłumu, który odbija się w świetle w szybach piętrowych autobusów dla zwiedzających. Gdzie z głośników płyną opowieści o imperatorach, niewolnikach i marmurze. I wszystko jest na swoim miejscu.

Krzyki drobnych handlarzy: po angielsku, niemiecku, polsku. Rzemyki wiązane błyskawicznie na nadgarstkach. Spróbuj nie zapłacić za nie kilku euro. Mężczyzna z koszem czapek. Kolejny z plecakiem pełnym czapek. Nagle wszyscy wokół chcą ci sprzedać czapkę.

Ale jest coś, czego kupować nie trzeba. Zaraz obok, w małym parku z widokiem na amfiteatr. Kamień, ławka, cień i nasone – źródło z wodą.

Wystarczy zatkać otwór palcem, a strumień wybiją łukiem do ust. Czyśta, chłodna. Zbawienie w upale.

Dalej jest Łuk Konstantyna. Jeszcze dalej Circo Massimo, spaliny i kurz. Poźniej Palatyn. Tu ludzi jest mniej. Cień pinii, cisza. Rozgrzane marmury. Fragmenty kolumn, ślady domów. W dole Forum Romanum. W górze taras widokowy. Aparaty łapią ostrość na twarzy, kapeluszu, dłoni. Koloseum, łuk i forum stają się tłem do kolejnych selfie. Nikt nie pyta, co to za kolumna. Liczy się kadr. I dalej, do Vittoriano. Po kilku krokach przerwa. Gelato al pistacchio. Może będzie trochę chłodniej?

Ulica zaczyna lekko opadać. Szesroka arteria prowadzi w dół, w stronę Watykanu. Jakby miasto samo schodziło do swojej świątyni.

Plac Świętego Piotra. Znowu selfie.

Pod kolumnadą Berniniego bezdomni leżą na kartonach albo podpierają plecami kolumny. Powietrze stoi. Cień przesuwa się wolno, okalając tylko fragment posadzki. Co jakiś czas leżący są zmuszeni wstać. Zmieniając miejsce, przesuwiają się o kilka

metrów, zgodnie z ruchem słońca – jak żywe wskazówki zegara słonecznego. Ich ruch jest zegarem, a plac Świętego Piotra staje się tarczą.

Rano składają namioty i powoli szukają wolnego miejsca i chłodu po lewej stronie – tej, która w kulturze biblijnej symbolizowała mniejszy zaszczyt, odrzucenie lub słabość, w kontraście do „silnej” prawej. Po południu podpierają plecami inne kolumny. Wieczorem wracają na swoją stronę placu i rozkładają to, co rano zwinęli.

Tomasz

Leży na kawałku kartonu jak bohater dawnego obrazu – swobodny, ale pełen apatycznego spokoju, jak Diogenes w scenie z obrazu Gaspare Dizianiego, kiedy rozmawia z Aleksandrem Wielkim, półodwrócony, pogrążony w swoim świecie. Obok zielony, nowy plecak w stylu survivalowym, z przypiętym karabińczykiem i frędzlami sznurka. Porządek jego rzeczy – gazetka, starannie złożony ręcznik, butelka San Pellegrino – tworzy misternie ułożony mikroświat, jakby każdy z tych drobiazgów miał swoje wyznaczone miejsce i własną opowieść. Jest w średnim wieku, przystojny. Smukła sylwetka, kosmyki czarnych włosów opadające na wysokie czoło, cień zarostu podkreślający rysy. W gęstych brwiach i nieruchomym spojrzeniu jest spokój, ciężar i dystans. Mówi powoli.

– Jestem uchodźcą politycznym z Polski – mówi coś, co już wiele razy próbował wyjaśnić różnym ludziom. Dłonie trzyma splecione na brzuchu. Porusza nimi tylko wtedy, gdy coś poprawia.

– Studiowałem filologię polską – to jedyna informacja, jaką podaje bez oporu. Poza tym cisza. O rodzinie nie chce opowiedzieć. O dzieciństwie nic. Tylko, że jest kawalerem. O Polsce mówi bardzo chętnie, wpada w słowotok, ale spytany o osobiste przekonania, np. o wiarę – milknie.

– Nie biorę tego intelektualnie – odpowiada po chwili. Patrzy w stronę kopuły bazyliki. – Po prostu tu jestem. Jem w Watykanie, śpię, żyję w Watykanie. To miejsce specjalne. Stąd wszystko się rozchodzi.

Nie prosi o pomoc. Nikogo nie nagabuje. Siostry zakonne przynoszą mu jedzenie. Korzysta z watykańskiej łaźni dla bezdomnych. Zna rytm dnia i godziny nabożeństw. Wie, kiedy plac pustoszeje, a kiedy gęstnieje tłum. Czuje się częścią tego miejsca. Jego obecność jest cicha. Czasem wręcz dostojna.

– Oni są tu na chwilę – wskazuje głową pielgrzymów.

Unika kontaktów, rozmów. Zwłaszcza z Polakami.

– Tu jest bardzo bezpiecznie – mówi. – Carabinieri pilnują. Jak ktoś krzyczy, jak kogoś zaczepia, to interweniuje. Jestem tu spokojny.

Massimiliano

Bywa tu często. Wygląda, jakby właśnie wracał z biblioteki, ale skreślił na plac Świętego Piotra, bo był tu z kimś umówiony. Drobnny, szczupły, w czystej koszuli z podwiniętymi rękawami. Gładko ogolona twarz. W ręce torba z kanapkami i wodą.

– We Włoszech 6 mln ludzi żyje dziś poniżej granicy ubóstwa. To znaczy, że nie mają wystarczających środków na mieszkanie, jedzenie, leczenie, edukację dzieci. Pomyśl: 6 mln. To jedna dziesiąta społeczeństwa.

Robi pauzę. – Rzym nie jest wyjątkiem. Ale ma jedną przewagę: tu są możliwości. To duże, złożone miasto. Można coś zbudować. Ubodzy z całego kraju ściągają tutaj. Wsiadają na dworcze Termini i... nie wiedzą, co dalej.

Massimiliano opowiada o ludziach, którzy się rozpadli. Mówi o nich prosto, bez osądu. – Ktoś traci pracę. Ktoś zawodzi rodzinę. Ktoś choruje. Popada w nałóg. Kończy na ulicy. A latem bywa tu 40 st. Doba za dobą w gorącym powietrzu. Jak tu nie oszaleć? Niektórzy naprawdę odchodzą od zmysłów.

Wskazuje kolumny: – One nie są tylko symbolem. Powstały w Roku Świętym 1675. Bernini zaprojektował je jako ramiona otaczające plac Świętego Piotra. Ale też jako schronienie. Miały dać dach nad głową zmęczonym i ubogim pielgrzymom. To miała być przestrzeń odpoczynku, nie tylko modlitwy.

Dziś, kiedy pod kolumnadą śpią bezdomni, nie widzi w tym żadnej profanacji. – To nie jest sprzeczne z ideą tego miejsca. Przeciwnie. To właśnie ma sens.

Nie wszyscy to rozumieją. – Mieszkańcy pobliskiej dzielnicy Prati i niektórzy świeccy urzędnicy uważają, że to psuje wizerunek. Jakby świętość musiała być odseparowana od biedy, a sacrum trzeba było utrzymywać w czystości i pustce.

Centrolewicowe władze miasta mówią dużo o inkluzywności, zrównoważonym rozwoju, aktywizacji. A jednocześnie chcą oczyścić przestrzeń publiczną z tych, którzy nie pasują do folderu czy zdjęcia.

– Zatracając się różnice między lewicą a prawicą. Wszystko się wymieszało. Puste slogany – Massimiliano nie mówi tego z gniewem. Raczej z cichym zawodem. Ale zaraz jego głos nabiera stanowczości. – Potrzebna jest struktura opieki, nie PR. Trzeba budować sieć nie cyfrową, ale społeczną. Prawdziwa transformacja to danie komuś łóżka, ciepłego posiłku, możliwości pracy. Miejsca, w którym może wrócić do siebie.

Zna ludzi, którym to się udało. Na przykład mężczyznę, który przez lata mieszkał na ulicy, a dziś pisze do „L'Osservatore di Strada”.

Massimiliano miał 16 lat, kiedy po raz pierwszy usłyszał o wspólnocie Sant'Egidio. Mieszkał na obrzeżach Rzymu, w dzielnicy robotniczej. Uczył się w liceum. Był inteligentny, wrażliwy, trochę zbuntowany. Interesował się polityką – myślał o niej poważnie. Chciał zmieniać świat. – Szukałem sprawiedliwości. Czegoś większego.

Koledzy z klasy zaprosili go na spotkanie Sant'Egidio. – Zrozumiałem, że nie trzeba mieć programu politycznego, żeby zmienić czyjeś życie.

Dziś Massimiliano Signifredi wykłada historię współczesną na Uniwersytecie Roma Tre. Jest ekspertem w dziedzinie historii Polski i autorem kilku książek, m.in. o Janie Pawle II i końcu komunizmu. Ale interesuje się również wykluczeniem społecznym i migracją. Nadal przychodzi tu z żywnością. W kamizelce z napisem Sant'Egidio i z torbą w ręku, skręca w boczną uliczkę, tuż za kolumnadą. To skrót do dzielnicy Trastevere. ▶

► Po kilku minutach staje przed budynkiem, który kiedyś był kościołem. Dziś są tam łóżka lepsze niż w niejednym okolicznym hostelu i świetnie wyposażona kuchnia z jadalnią. To schronisko Dobrego Pasterza przy Via della Lungara na Zatybrzu. Mieszka tu jego dobry znajomy. Kompan od piłkarskich wieczorów przed telewizorem, wierny kibic włoskiej ligi.

Angelo

Urodził się w Bari – mieście, które dzięki tanim lotom dla wielu turystów stało się bramą otwartą na włoskie południe. Dalej czekają pocztówkowe miasteczka: Monopoli, Polignano a Mare, Gallipoli, Vieste. Błękit wody tak czysty, że aż nierealny, i domy białe jak świeżo przesiana mąka. Pod tym obrazkiem kryje się jednak inna Apulia – ziemia spalona słońcem, twarda jak kamień. Przez dziesięciolecia była marginesem: mafia, bezrobocie, korupcja. Miejscowi wiedzieli, że jeśli chcą lepszego życia, muszą szukać go gdzie indziej.

– Mój ojciec pracował w fabryce – wspomina Angelo. – Musiał zrezygnować, kiedy po śmierci matki został z nami sam. Zmarła młodo. Zostaliśmy sami – pięcioro dzieci i on. Nie radził sobie. Był porywczy. Robił awantury: „Znajdź pracę! Nie możemy żyć bez pracy!”. No to znalazłem. W Niemczech, na zmywaku.

Mieszkanie miał za darmo, ale zarabiał grosze. Po dziewięciu latach ciężkiej pracy nie dorobił się niczego. Wrócił do Włoch. Chciał zobaczyć Florencję. Znalazł tam kolejną kiepsko płatną pracę i skromne lokum przy parafii. Kiedy nie dostał wypłaty, poprosił księdza o pomoc. Ten nie pomógł. – Nie miał jak – Angelo mówi cicho, bez żalu.

Znów plecak. Dworzec. Wysiadł w Rzymie, na Termini. Skręcił w lewo. Nie został jednak na ulicy. Otarł się o nią, zna jej zapach, gwar i mrok, ale wybrał inną drogę.

Twarz ma nieco surową, jakby wyrzeźbioną przez ciężką pracę i czas. Nie narzuca się nikomu, a wszyscy go lubią. W jadalni schroniska dziewczyna w obcistej mini macha do niego. – Chodź! Zagrzasz w karty?



Pod kolumnadą Berniego.

Angelo lubi karty. Zapytany z kolei, co powiedziałby komuś w środku życiowego kryzysu, pochyła głowę, a jego spojrzenie na moment błędzi gdzieś daleko. Odpowiada cicho, prawie szeptem: – Trzeba być czujnym. Nie przyzwyczajając się do niczego, ale też łatwo nie rezygnować. A kiedy jest naprawdę źle, nie bać się poprosić o pomoc. Czasem samemu się nie da.

Andrzej

Trastevere to dzielnica senna i pocztówkowa. Między balkonami suszy się pranie, w powietrzu pachnie kawa, a zielone papugi skrzeczą na palmach Orto Botanico. Nieco na uboczu znajduje się plac, którego nie znajdziesz w przewodnikach. Mały, z wysłizgany brukiem, dwiema ławkami i betonową donicą z wyschniętą roślinnością.

Tu czasem „parkuje” Andrzej. Twarz ma poszarpaną blizną przecinającą policzek, nos krzywy po złamaniu, usta w zaciętym grymasie. Czapka z daszkiem, rozpięta, brudna koszula odstania tors.

– Zostawiłem wszystko – mówi chropowato, jakby w gardle miał papier ścierny. – Żonę, dzieci, dom z wygodami. I teściową. To ona mnie wykończyła. Bardziej niż wódka

i policja razem wzięte. Zawsze coś miała do powiedzenia: „Andrzej, nie tak”, „Andrzej, w lewo”, „Andrzej, w prawo”. A ja mam swój honor. Trzasnąłem drzwiami, wróciłem do matki. Potem areszt i więzienie. Za niewinność.

– A Polacy we Włoszech? Byli i są mile widziani. Efekt Jana Pawła II, wiadomo. Wjechałem na tej fali. Brałem każdą robotę: przynieś, podaj, pozamiataj. Ale niedawno spuchł mi palec, potem cała stopa. Teraz chodzę jak gołąb – unosi stopę przesadnie wysoko, stawia ją ostrożnie na bruk, z grymasem bólu jak z teatru. Skręć biodra, lekkie zatoczenie w ruchu, w którym choroba potyka się o kolejnego drinka. Poprawia czapkę, przeciąga się jak aktor przed monologiem.

– Miałem tu niedaleko apartament pod Watykanem – patrzy, czy zrobił wrażenie. – W tunelu. Tajne przejście do stacji transformatorowej. Co tam się działo! Rumuni, Sycylijczycy, Afrykanie. Pół świata. Piło się, spało się, żyło się. Każdy miał coś do powiedzenia. A jak nie miał, to i tak mówił. Butelki latały nad głową. Aż przyjechała ekipa. Stalowe drzwi. Zamknęli jak tajne archiwum. I ch...

Milknie. Po chwili, jakby wymyślił nowy tytuł do autobiografii, rzuca: – Jestem obywatelem Wiecznego



Via della Conciliazione – Droga Pojednania.

Miasta. Tu siedzę, tam zarabiam, a tam – pokazuje brodą za róg – tam piję. Trójkąt bermudzki.

Zaciąga się znowu, spluwa teatralnie, po czym dodaje: – I żebyś nie myślał, że piję jak żul, żeby się narębać i leżeć jak worek. Piję z klasą. Dwa łyki filozofa. Aperitivo mam już na śniadanie.

Wie, gdzie rozdają kanapki, gdzie ciepły makaron, gdzie coś na słodko. Wie, komu się pokazać, a komu nie. – Trzeba się tylko uśmiechnąć. Zrobić oczy jak u psa po deszczu. I mówię ci, dadzą nawet dwie porcje. Ja nie powiem „dawaj”, tylko „buongiorno, signora”. I to działa.

Plac cichnie. Powietrze stoi, tylko światło pełźnie po kamieniach. I wtedy wchodzi para. On cały na biało: koszula, spodnie, sneakersy, okulary z ciemnymi szklami, a ona w kolorowym kombinezonie, z dużą, płócienną torbą i jaskrawym zegarkiem na nadgarstku. Włosy spięte, skóra lekko opalona, ruchy nerwowe.

Słyszę polski dialog.

– Może byśmy gdzieś usiedli? Ciastko, kawa, cokolwiek?

– Ale to niedaleko. Jeszcze kawatek i będziemy pod Watykanem.

Podchodzę i pytam, czy spotkali tu jakichś bezdomnych Polaków. Co o tym myślą? Mówię, że piszę reportaży.

Nie odpowiadają. Ona przez ułamek sekundy patrzy z pogardą, po czym odwraca wzrok. On udaje, że szuka czegoś w telefonie. Milczą. Wycinają mnie z rzeczywistości, jakbym poprosił o pieniądze na alkohol.

Dla starożytnych „po drugiej stronie Tybru” znaczyło: poza światem porządku. Trans Tiberim było dzielnicą hałasu, taniego wina i ludzi, których nie chciano w marmurowym centrum. Wzgórze watykańskie to była ziemia niczyja: mokradła, miejsce, gdzie grzebano niewolników i cudzoziemców – do czasu aż Konstantyn postawił bazylikę na tej zbiorowej mogile.

Andrzej wpasowałby się tu bez jednej korekty: z twarzą, życiorysem i swoim „trójkątem bermudzkiem”.

Wystarczy przejść przez rzekę, skrócić w prawo i wejść w Via dei Coronari, dawną ulicę rzemieślników w dzielnicy Parione, by poczuć zapach garbnicy z rzemieślniczych sklepów. Tutaj tłum gęstnieje i jest wciąż gany coraz głębiej w centrum miasta.

Di Trevi

Im bliżej słynnej fontanny, tym ciaśniej. Na końcu drogi stoją stalowe barierki, za nimi ludzie – upchnięci, powoli przesuwni w stronę lazurowej tafli wody. Ratusz obiecał limit:

400 osób na 30 minut. W praktyce postawili barierki i dwóch ospałych funkcjonariuszy.

Każdy chce wrzucić monetę. Każdy chce zrobić zdjęcie.

Arcydzieło Niccola Salviego jest barokową opowieścią o wielkości. Ale tu nikt nie słucha opowieści. Tutaj trzeba zrobić zdjęcie, zanim ktoś cię szturchnie, nadeptnie lub wciśnie ci w bok kij do selfie.

Nagle krzyk. W bocznej uliczce ktoś dał się ograć w trzy kubki. Jeden ucieka. Jest niski i zwinny. Przemyka jak cień. Drugi rzuca się za nim, ale zbyt wolno, za późno. Okoliczni sprzedawcy wrzeszczą, gestykują, machają rękami. Tłum cofa się na moment, jakby brał głęboki oddech, po czym znów rusza naprzód. Kilka metrów dalej znudzeni carabinieri opierają się o barierkę. Nie drgnęli. Może w myślach odliczyli kolejne minuty do końca służby.

Przeciskam się w drogę powrotną. Wieczne Miasto wieczorem przypomina człowieka po upale. Jest nie tyle uspokojone, ile znużone. Kroki zwalniają. Czas zwalnia.

Panteon

Stoi jak stary, zapomniany bóg. Od 2 tys. lat patrzy, jak ludzie gonią za cieniem. Wokół niego tylko garstka turystów.

W głębi placu rozbłyska bursztynowe światło hotelu Minerva – pięciogwiazdkowy luksus w sercu starej dzielnicy Pigna. Goście nowego Orient Expressu siadają do kolacji degustacyjnej. Menu jak partytura, a przez okna widok na Panteon – wpisany w rachunek. Wszystko obliczone na wyjątkowe doświadczenie.

Czy można wejść w obraz jeszcze głębiej?

Na wyszlifowanym stopami pokoleń marmurze w pronaosie Panteonu leży mężczyzna. Śpi samowolnie w środku historii, stając się przypisem do jej ostatniego rozdziału. Twarz ukryta i zgaszona w cieniu. Bose stopy lekko zgięte, podciągnięte ku sobie. Skulony przy samej ścianie. Za nią otwiera się krąg przestrzeni, która powstała po to, by człowiek mógł poczuć się częścią nieskończoności.

Przemysław Krajewski

Dwie dekady przepychanek w Chorzowie

Brakuje pomysłu na to, co zrobić z potokiem komunikacyjnym w centrum miasta

Jan Kazimierz Czubak

Z zainteresowaniem przeczytałem tekst red. Mateusza Cieślaka „Chorzowska estakada zamknięta” („Przeгляд” nr 35/2025) dotyczący wiaduktu drogowego w centrum Chorzowa na trasie Bytom-Chorzów-Katowice. Tym oddanym do użytku w 1976 r. wiaduktem lub pod nim przemieszczały się codziennie do pracy i z pracy samochodami, tramwajami, autobusami lub pociągami tysiące mieszkańców północnej części aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej. Artykuł przypomniał mi wydarzenia, w których bezpośrednio lub pośrednio uczestniczyłem.

Problem stanu technicznego chorzowskiego wiaduktu i przywrócenia pierwotnego kształtu rynku w Chorzowie (wraz z budową estakady wyburzono jego całą północną pierzeję)

W 2006 r. prezydenci Bytomia Krzysztof Wójcik, Chorzowa Marek Kopel i Katowic Piotr Uszok podpisali list intencyjny, który zapowiadał wybudowanie obwodnicy.

nie pojawił się dziś. Już w 2006 r. prezydenci Bytomia Krzysztof Wójcik, Chorzowa Marek Kopel i Katowic Piotr Uszok podpisali list intencyjny, który zapowiadał wybudowanie obwodnicy od al. Jana Pawła II w Bytomiu, przez północną część Chorzowa do Katowic, w okolicach Stadionu Śląskiego. W konsekwencji w odciążonym od ruchu centrum Chorzowa miał być rozebrany wspomniany wiadukt. Liderem inwestycji najbardziej miało być zainteresowane miasto Chorzów. Podpisując list,

prezydenci trzech śląskich miast mieli świadomość braku możliwości sfinansowania budowy z miejskich budżetów. Uznali jednak, że podpisany przez nich dokument będzie pierwszym elementem nacisku, próbą przekonania rządowych decydentów i pozyskania funduszy spoza budżetów miejskich. Pod koniec 2006 r. zmienił się jednak prezydent Bytomia. Nowy nie był już tym

projektem zbyt mało zainteresowany. Prezydent Chorzowa przez kilka następnych lat, wspomagany przez regionalnych parlamentarzystów, podejmował nieskuteczne próby pozyskania rządowych lub europejskich funduszy.

W 2011 r. do pomysłu obwodnicy powrócił kolejny nowy prezydent Chorzowa Andrzej Kotala. Podczas spotkania z udziałem mediów prezydenta Kotali, ówczesnego marszałka województwa śląskiego Adama Matusiewicza i nieżyjącego już szefa



śląskiej PO, posła Tomasza Tomczykewicza, zaprezentowano przebieg obwodnicy, łącznie z 400-metrowym tunelem. I zapowiedziano szybką realizację inwestycji.

Na tych zapowiedziach jednak się skończyło. W 2012 r. marszałek Matusiewicz – jeden z uczestników spotkania – wywrócił się na chaosie spowodowanym nieudolnym przejęciem transportu kolejowego przez wojewódzką spółkę Koleje Śląskie. Natomiast prezydent Chorzowa uzyskał fundusze europejskie na remont estakady, który zrealizował, i... stracił zainteresowanie budową obwodnicy. Przy okazji przeprowadził rewitalizację chorzowskiego rynku, wpisując w nią estakadę, oraz wyraził zgodę na budowę nowego osiedla mieszkaniowego w rejonie projektowanego przebiegu obwodnicy.

Zainteresowanie budową obwodnicy, rozbiórka estakady i odtworzeniem pierwotnego kształtu chorzowskiego rynku zmarło śmiercią naturalną. Jeśli oczywiście nie liczyć nieco karkołomnego pomysłu ówczesnego prezydenta Bytomia Damiana Bartyli, który przed wyborami samorządowymi w 2014 r. przypomniał sobie

o obwodnicy i zapowiedział jej budowę, co – biorąc pod uwagę brak zainteresowania Chorzowa – było nieco oderwane od rzeczywistości. W sumie zastosowano starą polską zasadę „jakoś to będzie”.

Tego „jakoś to będzie” wystarczyło do 2025 r., kiedy wygasła 10-letnia gwarancja na wyremontowaną estakadę. Nowy, od 2024 r., prezydent Chorzowa Szymon Michałek, po uzyskaniu opinii biegłego, postanowił z dnia na dzień ją zamknąć. Zrobił to, jak uważam, w sposób nieodpowiedzialny, nie informując wcześniej władz wojewódzkich ani władarzy miast sąsiednich. Nie znam treści zamówionej przez niego ekspertyzy, nie będę więc jej kwestionować, ale do załamania jednej z kluczowych osi komunikacyjnych aglomeracji należy się wcześniej przygotować. Tymczasem prezydent Chorzowa, niemal w konspiracji, podłożył pod estakadę „bombę” i bez namysłu ją detonował.

Władze Chorzowa chcą rozebrać estakadę. Zdają się jednak nie mieć żadnego pomysłu na to, co ma się

stać z potokiem komunikacyjnym przebiegającym przez centrum miasta. A ten nie zniknie – nawet jeśli użyjemy magicznych zaklęć. Rada Miejska w Chorzowie uchwaliła apel do samorządu województwa o sfinansowanie rozbiórki estakady i przywrócenia pierwotnego zagospodarowania chorzowskiego rynku, wyceniając to przedsięwzięcie

aktywności, którzy sprzeciwiają się powrotowi do projektu budowy obwodnicy. Martwią ich konsekwencje dla terenów zielonych. Nie martwią ich natomiast konsekwencje dla mieszkańców Chorzowa Starego i południowej części centrum miasta, gdzie przez wąskie, spokojne dotychczas uliczki, przebiega ruch samochodowy wyprowadzony z estakady.

Prezydent Chorzowa Andrzej Kotala wyraził zgodę na budowę nowego osiedla mieszkaniowego w rejonie projektowanego przebiegu obwodnicy.

na 30 mln zł. Miasto ma zabezpieczone na ten cel jedynie 3,5 mln zł. Nawet jeśli założymy, że zorganizowana zostanie w trybie nagłym jakaś ogólnopolska zbiórka na to zadanie, i tak oprócz pieniędzy potrzebny jest czas, którego już nie ma.

Tymczasem chorzowską ekspertyzę kwestionuje wojewoda śląski Marek Wójcik. Protestuje też prezydent Katowic Marcin Krupa. Co raz głośniejsi są również miejscy

Dwie dekady przepychanek doprowadziły do katastrofy i – co gorsza – nie wiadomo, co dalej. Okazało się, jak dalekowzroczni byli 19 lat temu byli ówczesni prezydenci trzech śląskich miast – Marek Koppel, Piotr Uszok i Krzysztof Wójcik. Tylko na co im ta satysfakcja?

Jan Kazimierz Czubak – przewodniczący Rady Miejskiej w Bytomiu w latach 1998-2006, radny Miasta Bytomia w latach 1994-2010.

LIST

Wszystko, co mam, zawdzięczam PRL

Przyszedłem na świat, nie prosząc się, wraz z PRL, choć zapewne poczęty w czasie wojny, której skutków, dobrych i złych, doświadczałem później.

Wszystko, co posiadam, zawdzięczam PRL, jako potomek „dworusów”, parobków, wyrobników Lubomirskich. W odradzającej się Polsce na wiele nie mogłem liczyć z żadnej ze stron społecznych. Ojciec zostawił mamę z pięciorgiem dzieci i walczył o ojczyznę w szeregach AK, za co dośłużył się skazania w marcu 1946 r. przez władzę ludową na karę śmierci, wykonaną 30 marca, i tytułu „żołnierza wyklętego”. Zostałem najmłodszym sierotą z niewiele starszym rodzeństwem w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Mimo trudności zdobyłem wyższe wykształcenie i założyłem rodzinę. Przez całe życie nic złego nie zrobiłem ojczyźnie. Przez 30 lat uczestniczyłem w szkoleniu wielu roczników żołnierzy Wojska Polskiego oraz przez wszystkie lata w pracy społecznej, za co zostałem haniebnie oceniony i pozbawiony patriotyzmu przez obecnie rządzących jako obcy, zły, skażony komunizmem, niepatriota.

Tym samym – jak setki innych – zostałem „żołnierzem przeklętym”. Nazywam więc siebie „sierotą po PRL” i „żołnierzem przeklętym, synem żołnierza wyklętego”. Wspomnienia te nachodzą mnie zawsze, gdy politycy zaczynają chocholi taniec nad niektórymi rocznicami

wydarzeń, interpretowanych przez nich według swojego upodobania, bez znajomości faktów i wręcz z hipokryzją. Chociażby brak szacunku dla polskiego żołnierza, który szedł ze Wschodu, pomijanie jego wpływu na zwycięstwo. To jest zbrodnia na historii naszej ojczyzny. Jeszcze większą „zbrodnią lub szalbierstwem” jest to, gdy obecny premier niby wycofuje obniżenie uposażeń emerytów mundurowym – a pierwszy je obniżył, potem PiS obniżyło bardziej. Deklarując więc wycofanie, nie mówił, którą obniżkę wycofuje. Ponadto chwali się swoim mentorem, który niszczył dorobek i opluwał PRL, stwierdził nawet przed całym światem, że „45 lat komunizmu wyrządziło Polsce więcej szkód niż okupacja hitlerowska”! Ręce opadają. Nie mogę się z tym pogodzić.

Gdy patrzę na obecne działania polityków i rządzących oraz atmosferę polityczną, dziwnie się czuję, bo wszystko już było, wszystko widziałem i słyszałem, tylko twarze postarzałe. Pocieszam się, że dopadło mnie zjawisko déjà vu, ale jestem po udarze śródmózgowym, to może jest oczywista rzeczywistość.

Pozdrawiam i życzę „Przeглядowi” powodzenia
Zbigniew Olszewski

PS Do napisania zmobilizowała mnie prawnuczka (idzie do zerówki); w styczniu tego roku, gdy się ze mną przekomarzała, zapytała mnie: Dziadku, czy ty umiesz czytać?!

Paweł Siergiejczyk

W sierpniu 1944 r. Jarosław Iwaszkiewicz pisał w dzienniku: „Nie lubię dawniej Warszawy. Ale przez te parę lat, kiedy ją widzę taką upartą i taką mocną, pokochałem ją zupełnie inaczej i zupełnie na nowo. Wszystko to pali się i ginie – a ja stoję pod niebieską pogodną kopułą i widzę tylko obłoki. Nic nie mogę poradzić, bezsilnie chodzę naokoło domu. Przychodzą ludzie, opowiadają wciąż to samo w bezbrzeżnie przerażający i monotony sposób. I nic nie można im pomóc, trzeba tylko słuchać tych słów bezradnych, bezkształtnych, podawać rękę, cieszyć się, że są, że wracają stamtąd. Iluż im podobnych już nigdy nie przyjdzie. Najbliższych, najukochańszych, najpełniejszych życia”.

A w listopadzie 1944 r. dodawał: „Nie mogę myśleć o tym, że Warszawa już nie ma. Taki olbrzymi rozdział odchodzi z nią razem, taka masa przeżyć!”.

Iwaszkiewicz miał dużo szczęścia. Co prawda, jako jedyny ze skamandrytów wojnę i okupację przeżył w kraju (pozostali – Tuwim, Stonimski, Lechoń i Wierzyński – znaleźli się na emigracji), ale cały czas mieszkał w bezpiecznej odległości od Warszawy, w rodzinnym majątku Stawisko koło Podkowy Leśnej. Dało mu to wyjątkową perspektywę obserwatora blisko związanego ze stolicą i zarazem znajdującego się w znacznie bardziej komfortowej sytuacji niż jego koledzy po piórze, którzy przeżywali okupację, a potem powstanie w samej Warszawie.

I oto rok później, w październiku 1945 r., ten sam Iwaszkiewicz notuje: „Warszawa obecnie kipi życiem. Trotuary zastawione kwiatami i książkami, w zawalonych domach powstają raz po raz nowe sklepy i nowe knajpy. Ruch na ulicach bardzo duży, tłumy przechodzą Marszałkowską i Alejami. Ale jest taki moment, kiedy przed samym wieczorem sklepy zamykają się, handlarze chowają się do swoich nor, a na miejscach targowisk pozostają tylko nigdy niesprzątane śmietniska. Wtedy grobowa cisza panująca w zawalonych

Warszawa 1944, Warszawa 1945

Wycofujący się hitlerowcy z wyjątkową precyzją niszczyli obiekty o wartości kulturalnej i historycznej

domach poczyna rozciągać się na ulicę i dopiero w tej ciszy, zalewającej powoli miasto jak wznosząca się trupia woda, widzi się całe straszliwe zniszczenie. (...) Wśród ruin najbardziej ruiną są resztki pałaców i kościołów, które dawniej nadawały Warszawie śmiejącą się fizjognomię miasta na pół stołecznego, a na pół prowincjonalnego”.

Żywych wołam

Dalej Iwaszkiewicz opisuje kościół św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży, z którego pozostały tylko ruiny. Ale z tych ruin pisarz usłyszał nagle dzwon wzywający na Anioł Pański, co skłoniło go do jeszcze jednej refleksji: „Oto jest głos życia. *Vivos voco* – żywych wołam

Nikt nie głosił haseł, że „jedną okupację zastąpiła druga”. W pierwszych latach po wojnie mówiono o „odzyskaniu niepodległości”.

– jak powiada łacińskie przysłowie. Ten głos zdał mi się głosem odradzającej się Warszawy. Gwarancją jej regeneracji”.

Warto zauważyć, że w tych refleksjach Iwaszkiewicza nie ma żadnych ocen politycznych. Powstania warszawskiego ani nie potępia, ani nie usprawiedliwia, lecz patrzy na nie jak na wielką tragedię, której skutki odczuwają tak bliskie mu miasto i jego mieszkańcy. Ale tak samo patrzy na cud odrodzenia Warszawy już rok po tej tragedii.

Iwaszkiewicz – przedwojenny dyplomata, zaprzyjaźniony z sanacyjną elitą i wżeniony w rodzinę bogatej burżuazji – był chyba ostatnim spośród pisarzy, którzy cieszyliby się z wyzwolenia Polski przez Armię Czerwoną i przejęcia władzy przez komunistów. A jednak nigdy nie zdecydował się na emigrację czy inną formę ucieczki (także na emigrację wewnętrzną), gdyż uznawał, że jego zadaniem jest czynne włączenie się w odrodzenie polskiej kultury po największej katastrofie w naszych dziejach.

Jego nieskrywanej radości z przywróconej do życia Warszawy trudno się dziwić. W drugiej połowie 1944 r. stolica padła ofiarą bezprecedensowego w nowożytnych dziejach barbarzyństwa: w gruzy obrócono 85%

jej zabudowy, w tym 90% świątyń i budowli zabytkowych, tyle samo muzeów, teatrów, archiwów i bibliotek oraz sal teatralnych i kinowych.

Symbolem zagłady dawnej Warszawy stało się zniszczenie kolumny Zygmunta w nocy z 1 na 2 września 1944 r., a więc jeszcze w czasie powstania. W tym samym miesiącu na Rynku Starego Miasta spłonęła kamienica Baryczków z unikatowymi zbiorami varsavianów. W połowie października ogień strawił setki inkunabułów, tysiące rękopisów



Niemiecki żołnierz podpala kamienicę. Warszawa, 11 września 1944 r.

i dziesiątki tysięcy starodruków zdeponowanych przez biblioteki: Żafuskich, Narodową, Raperswilską i Uniwersytecką w gmachu Biblioteki Ordynacji Krasińskich na ulicy Okólnik. 25 października uległo zagładzie Archiwum Miejskie, potem Archiwum Akt Nowych, Akt Dawnych, Skarbowe. Ograbiono Muzeum Narodowe, porozrywano mumie, zniszczono sarkofagi, postrzelano obrazy i pocięto makaty.

Na początku grudnia wysadzono w powietrze Zamek Królewski, kościół Jezuitów i pałac Ossolińskich. Spalono pałac w Łazienkach, zaminowano Belweder, Teatr Wielki, pałac Pod Blachą, kościoły Bernardynów, Karmelitów i Wizytek. Zabrano na złom pomniki księcia Józefa Poniatowskiego, Mickiewicza, Bogusławskiego, Lotnika i Saperów. Jeszcze 16 stycznia 1945 r. podłożono ogień w gmachu Biblioteki Publicznej przy ulicy Koszykowej, gdzie mieściło się niemal pół miliona książek – wycofujący się i już przegrywający wojnę hitlerowcy z wyjątkową precyzją niszczyli obiekty o wartości kulturalnej i historycznej.

Ale to niejedyny skutek klęski powstania warszawskiego dla polskiej kultury. Konsekwentnie prowadzona

przez okupanta zagłada polskich elit po 1 sierpnia 1944 r. nabrała przyspieszenia. W powstaniu ginęli zarówno twórcy najstarsi, jak i najmłodszy. Wśród tych pierwszych znaleźli się świetny pisarz Juliusz Kaden-Bandrowski (rocznik 1885) czy znana aktorka Maria Przybyłko-Potocka (rocznik 1873). Wśród tych drugich – 23-letni Krzysztof Kamil Baczyński i 22-letni Tadeusz Gajcy, największe talenty polskiej poezji w pokoleniu wchodzącym w dorosłość już podczas wojny. Dziś w podręcznikach historii literatury wymienia się ich nazwiska jednym tchem, ale przecież za życia dzieliła ich polityka.

Gajcy, absolwent gimnazjum księży Marianów na Bielanych (gdzie chodził do klasy z Wojciechem Jaruzelskim), związany był ze środowiskiem narodowo-radykalnej Falangi, które w czasie wojny utworzyło konspiracyjną Konfederację Narodu i wydawało pismo „Sztuka i Naród”. Baczyński pochodził natomiast z rodziny o przekonaniach lewicowych (w dodatku po matce miał żydowskie korzenie) i jeszcze jako uczeń gimnazjum im. Batorego podjął działalność w Organizacji Młodzieży Socjalistycznej „Spartakus” (która dążyła do stworzenia jednolitego

frontu socjalistów z komunistami), brał też udział w zbiórkach pieniędzy na rzecz Polaków wyjeżdżających do Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii. Obaj polegli jako żołnierze Armii Krajowej: Baczyński już 4 sierpnia 1944 r., Gajcy 12 dni później.

Koszmar się skończył

Jarostaw Iwaszkiewicz doskonale wiedział, jakie talenty straciła polska literatura, przez całą bowiem wojnę aktywnie uczestniczył w podziemnym życiu kulturalnym i śledził twórczość młodych poetów, a z Baczyńskim zdążył nawet się zaprzyjaźnić i w 1942 r. zostać świadkiem na jego ślubie z Barbarą Drapczyńską, która również zginęła w powstaniu. Dlatego przedwojenny skamandryta nie miał wątpliwości, że odrodzenie kultury w nowej Polsce to zadanie podstawowe, do którego powinni się włączyć wszyscy, którzy przeżyli, bez względu na zaszczyty społeczne i polityczne. I gdy tylko skończyła się niemiecka okupacja, bez wahania zaangażował się w odbudowę środowiska literackiego.

Tę jego aktywność odnotowała w dziennikach Zofia Nałkowska, która okres powstania warszawskiego ▶

► i następne miesiące przeżyła we wsi Adamowizna koło Grodziska Mazowieckiego. Już 10 lutego 1945 r. pisała: „Ta nowa rzeczywistość podpyływa ku mnie i z wolna mię zagarnia. Naprzód zjawienie się z Iwaszkiewiczem – Rafałowskiego i Kozikowskiego, ostatnio redaktor Putrament i znany przed wojną Borejsza – obaj w polskich mundurach. Egzotyzm, poplątanie elementów ideologicznych i narodowych, stąpa się po terenie pełnym najdziwniejszych niespodzianek. Prasa tu nie dochodzi, ale dostałam parę numerów tych pism. Ta łagodna metoda jednak się utrzymuje z wyraźną konsekwencją. Te początki przypominają tamte z roku osiemnastego – budzą tyleż zadziwień, zastrzeżeń, niepokojów. Pewno, że i to ulegnie zmianie – ale gdy wówczas było to stopniowe zwijanie chorągiewek, tu

liderzy PSL ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele. Nałkowska nie była więc odosobniona, gdy pierwsze dni po wyzwoleniu porównywała z 1918 r.

Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie jest to taka niepodległość, o jaką chodziło dowódcom AK, którzy podjęli decyzję o wybuchu powstania warszawskiego. Powstanie bowiem i cała akcja „Burza”, której było ono kulminacyjnym momentem, miały na celu niedopuszczenie do wyzwolenia ziem polskich wyłącznie przez Armię Czerwoną. Polskie Państwo Podziemne za wszelką cenę chciało pokazać, że jest gospodarzem tych ziem, i powitać Sowieców jako gości. Tyle że na to nie było szans. Nie po to Stalin już wiosną 1943 r. zrywał stosunki dyplomatyczne z rządem RP w Londynie (wykorzystując

Z tego wszystkiego zdawali sobie sprawę ludzie, którzy wracali do Warszawy wyzwolonej przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie 17 stycznia 1945 r. Wyzwolonej – właśnie tak wtedy mówiono i tak należy mówić dzisiaj, wbrew idiotycznej „poprawności politycznej” narzucanej przez zawodowych antykomunistów z IPN. Bo dla Warszawy skończyła się wtedy czarna noc okupacji, terroru, niszczenia miasta i mordowania jego mieszkańców. To prawda, że w stolicy Polski nie zainstalował się rząd RP z Londynu, ale jakim cudem miałoby to się stać, skoro Stalin miał już własny rząd dla nowej Polski, urzędujący od lipca 1944 r. w Lublinie, a potem przeniesiony na warszawską Pragę?

A jednak to był rząd polski, który stawiał sobie polskie cele. Na pierwszym miejscu odbudowę: gospodarki, kultury i oświaty, a nade wszystko samej Warszawy. Nowa władza potrafiła skupić cały naród wokół tego celu, nie żałując środków, by go jak najszybciej zrealizować. I oczywiście – z roku na rok stolica podnosiła się z gruzów, stawiano nowe budynki mieszkaniowe i użyteczności publicznej, ale największą wagę przykładano do rekonstrukcji zabytków – kamienic, pałaców i kościołów, choć na pierwszy rzut oka nie powinny one się mieścić w założeniach ideologicznych władzy promoskiewskich komunistów.

A jednak się mieściły, tak samo jak odrodzenie narodowej kultury o bardzo różnych barwach. Także katolickich – o czym warto pamiętać szczególnie dziś, gdy IPN-owska propaganda tak eksponuje rzekomą martyrologię Kościoła w Polsce Ludowej. Powojenna władza umożliwiła ukazywanie się katolickiej prasy (w 1945 r. powstały krakowski „Tygodnik Powszechny”, stołeczne „Dziś i Jutro” oraz „Tygodnik Warszawski”) i wydawnictw, dzięki którym autorzy ideowo dalecy od tej władzy mogli nadal wzbogacać skarbiec narodowej kultury.

Był wśród nich Jan Dobraczyński, przedwojenny pisarz katolicki i działacz Stronnictwa Narodowego, podczas powstania warszawskiego oficer AK kierujący Biurem Informacji i Propagandy na Starym Mieście

Ludzie wracali do Warszawy wyzwolonej przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie 17 stycznia 1945 r. Tak wtedy mówiono i należy mówić dziś.

rozwój pójdzie po linii ich rozwijania. Uczucie ulgi niezmiernie trwa, radość, że coś się robi, że ludzie są potrzebni. (...) Wezwanie do architektów, by odbudowywali Warszawę, obiecana w tym pomoc Sowieców. Szkoły już otwierają, organizują wydawnictwa. To, co nadciąga, będzie naturalnie bardzo burzliwe, bardzo w tutejszych warunkach oporne i trudne. Ale to, co było, minęło naprawdę, ten koszmar jednak się skończył”.

Pod tym ostatnim zdaniem Nałkowskiej mogliby się podpisać chyba wszyscy Polacy w 1945 r. Oczywiście ci, którzy umieli pisać, gdyż masowy analfabetyzm obywateli II RP był jednym z jej smutnych spadków, z którym dopiero po wielu latach powojennej Polsce udało się uporać. Jednak świadomość, że koszmar się skończył, była powszechna. Nikt wtedy nie głosił haseł rodem z IPN-owskiej propagandy, że „jedną okupację zastąpiła druga”. Wręcz przeciwnie, w pierwszych latach po wojnie powszechnie mówiono o „odzyskaniu niepodległości” – takiego określenia używały również środowiska antykomunistyczne, np.

jako pretekst ujawnienie przez Niemców zbrodni katyńskiej), by rok później traktować delegaturę tego rządu i podległą mu armię podziemną jak równoprawnych partnerów.

Przeciw komu?

W tym kontekście rację miał Paweł Jasienica, gdy w 1949 r. pisał: „Powstanie było wymierzone militarnie przeciwko Niemcom, politycznie przeciw Sowiecom, demonstracyjnie przeciw Anglosasom, a faktycznie przeciw Polsce”. Próba wyzwolenia polskiej stolicy własnymi siłami, podjęta bez uzgodnienia z którymkolwiek z uczestników antyhitlerowskiej koalicji, nie miała bowiem szans powodzenia. Było to jasne już po kilku dniach skrajnie nierównej walki oraz bezwzględного traktowania ludności cywilnej przez hitlerowców. A jednak na kapitulację lewobrzeżnej Warszawy zdecydowano się dopiero na początku października, gdy nie tylko nie było już czym walczyć, ale nawet co jeść i pić. Potem zaś przyszła opisana wyżej zemsta III Rzeszy na wyludnionym mieście i jego zabytkach...

i Mokotowie (za co został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami). Do Warszawy wrócił od razu po uwolnieniu z niemieckiej niewoli. We wspomnieniach tak opisywał warunki, w jakich przyszło mu żyć: „Myślę o tych pierwszych latach po powrocie. Byli ludzie, którzy opuścili w tym czasie Warszawę, przenieśli się do innych, mniej zniszczonych miast. Ale ja, warszawiak z drugiego już pokolenia, urodzony i wychowany w Warszawie, ja który tyle razy »wydziwiałem« i narzekałem na lekkomyślność Warszawy, na jej »pustotę«, na jej utracuszość – nagle zrozumiałem,

Jesteśmy winni twórcom dozągoną wdzięczność i szacunek, bo dzięki nim nadal jesteśmy Polakami.

że teraz tego miasta nie zamieniłbym na żadne inne. Dom na Ogrodowej był spalony. Na Ochotę nie wróciłem. Zamieszkaliśmy na Grochowiu, gdzie mój ojciec posiadał mały domek o przeznaczeniu wypoczynkowym. Domek był częściowo zburzony, w jego ruinach gnieździł się »dzicy« lokatorzy. Zaczęliśmy od spłacenia tych »dzikich« lokatorów. W ten sposób zdobyliśmy dwie prymitywne izby, pozbawione wody i kanalizacji. Mając w rękę domek, zaczęliśmy odbudowę i nadbudowę. Z pierwszych moich honorariów autorskich zbudowałem pierwsze piętro i doprowadziłem wodę. Ale to stało się dopiero w 1947 r., gdy już zacząłem wydawać. Przedtem mieszkaliśmy kątem to tu, to tam, odgruzowywaliśmy Warszawę i wciąż rozglądaliśmy się za ludźmi, których w czasie wojny straciliśmy z oczu” („Tylko w jednym życiu”, Warszawa 1977, s. 352).

Nienawiść zamiast szacunku

Dobraczyński należał do tej większości przedwojennych twórców kultury, którzy poszli w ślady lwaskiewiczza i Nałkowskiej. Tak samo postąpiła Maria Dąbrowska, która przeżyła całą okupację i powstanie w swoim warszawskim mieszkaniu przy ulicy Polnej 40. Trafiła następnie – jak większość ocalałej ludności cywilnej – do obozu w Pruszkowie, by wrócić do wyzwolonej już stolicy na

początku lutego 1945 r. Jej kamienica szczęśliwie ocalała (choć mieszkanie zostało splądrowane), przedwojenna twórczość zaś umożliwiła Dąbrowskiej powrót na literackie szczyty. Nie odmawiała współpracy z prasą i nowymi wydawnictwami, spotkań z czytelnikami ani wystąpień publicznych, choć nigdy nie zaangażowała się politycznie. Należała bowiem do tej formacji lewicowo-liberalnej inteligencji, której trudno było się pogodzić z nowym podporządkowaniem Polski Moskwie. Dawała temu wyraz w dziennikach opublikowanych wiele lat po jej śmierci.

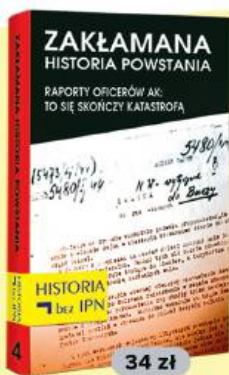
W dziennikach tych znajdziemy jednak refleksję zanotowaną przez pisarkę w listopadzie 1948 r., a więc gdy coraz intensywniej narzucano stalinowskie porządki: „A mimo to – nie trzeba tracić ducha, ani o Polsce rozpaczać. Trzeba zrozumieć i uznać, że mimo wszystko niewola obecna ma pewne cechy odróżniające ją od innych systemów niewoli i okupacji. I że wiele rzeczy przez agencje rosyjskie przeprowadzonych wyjdzie w ostatecznym rachunku Polsce na

dobrze. Trzeba przypomnieć sobie, że w dziedzinie kultury duchowej zarówno Grecja, jak Włochy tworzyły w niewoli wielkie rzeczy. I nie trzeba mówić, że wtedy w niewoli wolność była większa niż teraz. To nieprawda. Inne były tylko czynniki niewole aplikujące albo ją cierpiące. Wiek XIX był zupełnym wyjątkiem pod względem ogromnego rozluźnienia i niejako dobrowolności więzi społecznej. W innych wiekach tworzono nieprzemijające wartości pod olbrzymim ciśnieniem. I my musimy się nauczyć tworzyć je pod ciśnieniem”.

Maria Dąbrowska, podobnie jak wielu ludzi pióra, teatru, filmu, muzyki czy sztuk pięknych, nie zmarnowała powojennego czasu. Twórcy polskiej kultury, którzy wyszli z wojennej pożogi, robili wszystko, by odwrócić skutki hitlerowskiej polityki pozbawienia naszego narodu tożsamości i jego faktycznej likwidacji. Jesteśmy winni tym twórcom dozągoną wdzięczność i bezmierny szacunek, bo dzięki nim nadal jesteśmy Polakami. Tymczasem III RP zamiast wdzięczności i szacunku ma dla nich głównie lustracyjne seanse nienawiści, zarzuty „kolaboracji z komunistami” i usuwanie nazw ulic.

Paweł Sergiejczyk

Prawdziwa historia powstania warszawskiego BEZ FAŁSZERSTW, ZMYŚLEŃ I MITÓW



e-book 15 zł



e-book 29 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Był pomysł i plan na mecz

Znakomity debiut Jana Urbana

Wojciech Kuczek

W Rotterdamie reprezentacja Polski pod wodzą nowego trenera nie oszukała przeznaczenia – po prostu wreszcie zagrała solidny mecz, co przy odrobinie szczęścia pozwoliło jej urwać punkt faworytom. Tak udanego debiutu nie miał żaden z naszych selekcjonerów: od razu pod ścianą w meczu eliminacyjnym z jedną z najlepszych drużyn na świecie drużyna Jana Urbana nie pękła. Mieli jechać do Rotterdamu, aby nie przynieść wstydu, tymczasem dali powody do dumy. Brawo!

Już przed meczem coś mi się w duszy zatliło, że z Oranje możemy wyjść na remis. Najpierw w tunelu olbrzym van Dijk stał obok o głowę niższego Roberta Lewandowskiego i można było się poczuć nieswojo, ale zaraz zobaczyliśmy rodzimego olbrzyma, którego wystawił w pierwszym składzie Jan Urban – Przemysław Wiśniewski też ma 195 cm wzrostu. Rychło także się okazało, że ten ruch trenera nie był poczyniony wyłącznie gwoli symetrii – debiutujący Wiśniewski zagrał na stoperze tak pewnie, jakby to był jego setny mecz w kadrze. Wiadomo było, że defensywa reprezentacyjna wymaga poważnego remontu, że gamoniowatego Dawidowicza i podobnych mu patałachów już oglądać nie chcemy, z drugiej strony trudno było obstawiać, że strzałem w dziesiątkę okaże się stoper z drugiej ligi włoskiej.

Tymczasem Urban pamiętał Wiśniewskiego z Górnika Zabrze, w którym ten potężny obrońca zagrał ponad setkę meczów, nie sięgał więc po sporych rozmiarów kocisko w worku, musiał wiedzieć, że ten gość nie pęknie. My wiedzieć nie musieliśmy – po ogłoszeniu składów kibice zadrżeli, że przez ryzykowną fanaberię nowego trenera możemy

mieć luki w obronie, bo w starciu z takim rywalem Wiśniewski może nie unieść presji, a tu defensor Spezzii z marszu stał się najpewniejszym elementem defensywy. I kiedy ponownie zadrżeliśmy, to już w drugiej połowie, gdy usiadł na murawie z bólem tydki. Na szczęście okazało się, że to nic groźnego.

Ojciec Przemysława, Jacek, był postrachem Ekstraklasy na przełomie stuleci – syn odziedziczył po nim warunki fizyczne i waleczność, ale przerasta go motorycznie i sportowo, aż żal, że musi się tułać po włoskich prowincjach w Serie B.

W Rotterdamie reprezentacja wreszcie zagrała solidny mecz.

Holendrzy wyszli pewni swego, wyluzowani, prawdopodobnie oprócz Lewandowskiego nie byłiby w stanie wymienić z nazwiska żadnego polskiego piłkarza, chyba że akurat z nim grają w klubie – jak Dumfries z Zielińskim. Wymieniali za to podania z pierwszej piłki, popisywali się sztuczkami technicznymi, z uśmiechem na ustach – dla nich to miał być mecz do łatwego wygrania ze słabakami z Europy Wschodniej.

I w pierwszej połowie byli świetni – gra z tak dysponowaną Holandią jest jak przemarsz przez pole minowe, tu nie ma miejsca na niedokładność, minimalna pomyłka grozi taką samą katastrofą jak wielki kiks, bo rywale wykorzystują wszystko z zimną krwią. Nie tracą głowy w ofensywie jak Jakub Kamiński, któremu kilka razy zdarzył się odbiór i pęd na bramkę rywala po to, żeby bez sensu podać albo słabo strzelić. Każde uderzenie Holendrów było niebezpieczne i kąśliwe. Po jednym z nich (bomba Reijndersa) uratował nas słupek. Tylko dyscyplina i uważność Polaków

spowodowały, żeśmy schodzili na przerwę, przegrywając minimalnie.

Jak zauważył Urban, przy stracie gola przytrafiła się obronie „lekką drzemka”, no a przede wszystkim Skorupski nie pierwszy raz w tym meczu wykonał paradę w złym timingu i po prostu minął się z piłką; na szczęście jedyny raz ponieśliśmy tego konsekwencje. Skorupski nie jest pewny – na przedpolu nie miał wyczucia, na linii też bronił jakoś pokracznie, a kiedy już miał w swoim stylu świetną obronę na linii, to się okazało, że strzał był ze spalonego, więc do statystyk się nie liczył.

Wystawienie w bramce golkipera Bologny to jedyna decyzja Urbana, z którą bym polemizował – po katastrofalnym występie w Finlandii, który zdewastował morale drużyny, powinien jednak zostać odsunięty od składu.

Mieliśmy w Rotterdamie słabe punkty, na szczęście trener uważnie czytał grę i perfekcyjnie korygował skład. Po pierwszej połowie wydawało się, że to Matty Cash będzie pierwszy do zmiany – miał sporo głupich i niebezpiecznych strat, gubił piłkę także w ofensywie. Urban go zostawił, dzięki czemu Cash zdobył jedną z najpiękniejszych bramek w historii polskiej reprezentacji.

Za najstarsze ogniwo trzeba natomiast uznać Lewandowskiego – nieobecnego, odciętego od podań, niby skupiającego na sobie uwagę obrońców, ale wyglądającego znowu jak uparty klient, który nie rozumie, że przyszedł do baru samoobsługowego, i przez godzinę czeka przy stoliku na kelnera. Dopiero po meczu Lewy oddał jedyne celne strzały, ba, zaliczył hat tricka, posyłając trzy piłki na sektor polski w podziękowaniu za doping polskich kibiców.

Zasadnicza różnica między kadrami Urbana i Proberza była widoczna gołym okiem – ta reprezentacja



Jan Urban i Matty Cash. Mecz eliminacyjny do mistrzostw świata 2026, Polska-Holandia. Rotterdam, 4 września 2025 r.

wiedziała, co ma grać! Urban miał pomysł, plan na mecz, a piłkarze go lepiej czy gorzej realizowali. Za Probiezra był chaos i wzajemne pretensje, chociaż nie od początku. Stanowisko selekcjonera polskiej reprezentacji to bagno, które nie zatapia od razu: najpierw człowiek wygodnie mości się na miękkim podłożu, może nawet przysypia, a dopiero potem odkrywa, że grząski teren go pogrąża, krępuje ruchy, aż wreszcie pochłania. Na razie jesteśmy w niebie.

Urban ten mecz wygrał nie tylko odkryciem Wiśniewskiego, ale i odważnymi zmianami, które zrobiły robotę – to po zejściu naszych największych gwiazd (Lewandowskiego, Zalewskiego, Zielińskiego, Szymańskiego) i wprowadzeniu obok Karola Świdzkiego tercetu z Ekstraklasy (Grosickiego, Wszółka, Kapustki) Polacy zdołali wyrównać.

Oto być może najlepszy dowód na to, że nasza liga urosła w siłę. To zmiennicy rozegrali akcję – nie bez odrobiny szczęścia – po której Cash uderzył. Ten gol przejdzie do historii jako obezwładniającej urody bomba w kluczowym momencie, decydująca o wyniku, na podobieństwo wyrównującego trafienia Błaszczykowskiego z Rosją na Euro 2012 czy zwycięskiego gola Gorgonia z NRD podczas Igrzysk Olimpijskich

w Monachium 1972. Ale mogło być też tak jak w przypadku meczu ze Szwecją w 1989 r., gdy kilka minut przed końcem Ryszard Tarasiewicz kropnął z 30 m z wolnego w okienko, lecz zanim ochłonęliśmy z ekstazy, Szwedzi wykorzystali naszą nieuwagę i zdobyli zwycięską bramkę.

Dla mnie to były chwile traumatyczne – ten upadek z raju do piekła w ciągu kilku minut – zapamiętałem tamtą końcówkę jako największe futbolowe rozczarowanie, obok straconej bramki w ostatniej akcji meczu przeciw RFN, która odebrała nam awans na igrzyska w Seulu 1988, kiedy niedawno zmarły Frank Mill uciszył Stadion Śląski. Cash kropnął, a ja zaraz pomyślałem: hola, ileż to razy wypuszczaliśmy z rąk ciężko wypracowane punkty! Trzeba więc było drzeć do samego końca, aleśmy się bronili mądrze, bez paniki, a Holendrom zabrakło już sił i pomysłów.

To powinien być mecz założycielski nowej reprezentacji pod wodzą Urbana – jak Wembley dla kadry Górskiego, choć wtedy mecz decydował o wszystkim, a ten remis nam niczego jeszcze nie daje, ba, nawet w razie pokonania Finlandii i tak trudno nam będzie wywalczyć bezpośredni awans na mundial. Do tej pory udawało nam się remisować takie mecze, kiedy fartem trafialiśmy

na początku, a potem murowaliśmy bramkę. Teraz odrobiliśmy straty na boisku lepszemu rywalowi – to trzeba docenić, tak jest znacznie trudniej. Nie było honorowego patronatu ks. Kordeckiego, nie było obrony Częstochowy – pomimo jednoznacznej przewagi Holandii w statystykach (drużycie w posiadaniu piłki: 74% do 26%) Polacy grali po prostu zdyscyplinowanie – i czysto! Skończyliśmy bez kartek, Holendrzy faulowali zresztą również rzadko.

Ostateczne zwycięstwo, już indywidualnie, odniósł Jan Urban na konferencji prasowej. Był opanowany, racjonalny, rzeczowy i cierpliwy. Po konfrontacyjnej postawie buńczucznego i wiecznie obrażonego Probiezra to prawdziwa ulga. Wreszcie mam poczucie, że reprezentacja jest w dobrych rękach. I jestem zaskoczony, bo miałem sporo obaw, Urban nie był moim trenerem pierwszego wyboru. Okazuje się jednak, że naszym graczom potrzebna była siła spokoju faceta, który nie musi wszystkim udowadniać na każdym kroku, że to on rządzi.

Urban sprawia wrażenie człowieka spokojnego. Wie, że jego rolą nie jest nauczanie futbolu, ale zarządzanie drużyną, a tej sztuki, jak sam wyznał, nauczył się od Leo Beenhakera jako jego asystent. ■

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Z obserwacji może wynikać, że już od połowy sierpnia panuje w Polsce jesień. Choć ta kalendarzowa ma przyjść dopiero 22 września. Czas zrewidować pojęcie jesieni?

– To jeszcze nie jesień. Wzmógłne opadanie liści wynika ze... stresu i, obrazowo mówiąc, jest wyrazem desperacji roślin. Liście zawierają wodę, ale gdy zachodzi wymiana gazowa poprzez aparaty szparkowe, maleńkie pory w liściach otwierają się i dochodzi do częściowej utraty wody. Przedłużająca się susza sprawia, że wody ucieka coraz więcej. Aż dochodzi do momentu, gdy organizm wysycha. Aby temu zapobiec, roślina zrzuca liście. Proces wydaje się podobny do tych, które mają miejsce jesienią, jest jednak wynikiem stresu wodnego.

Mamy do czynienia ze strajkiem liści? Nowe już nie odrosną.

– Nie odrosną. Trzeba czekać do wiosny. Praprzyczyną kłopotów jest susza hydrologiczna. Deficyt wody jest ogromny. Niektórzy są zdziwieni, bo przecież mieliśmy mokre wakacje, ale badanie wilgotności gleby pokazuje smutną prawdę. Nawet po ulewnym deszczu praktycznie nie ma kałuż. Woda nie pozostaje w wysuszonej glebie, nie jest wchłaniana, szybko spływa do rzek, a w mieście do kanałów. Tak się dzieje nawet po kilkudniowym opadzie, gdy górna warstwa gleby jest lekko wilgotna, a dolna wciąż sucha. Hydrolodzy badający wody podziemne już od 10 lat mówią o suszy panującej w dużej części kraju. Nieco lepiej jest na Pomorzu i w górach, ale środkowa część Polski jest w opłakanym stanie.

Każdy z nas pamięta tzw. kapuśniaczek, lekki deszczyk, którego efekt był zbawienny dla roślin i gleby, bo powoli je nawilgoć. Teraz mocne, ale krótkotrwałe deszcze spływają błyskawicznie, powodując lokalne powodzie i podtopienia, ale gleba po nich pozostaje sucha.

Czy rośliny, zrzucając liście, robią to niejako instynktownie, „przewidując” deficyt wody?

– To nie instynkt ani rodzaj adaptacji, ale – jak powiedziałem – raczej

Drzewa w stresie

Susza hydrologiczna powoduje, że liście nabierają jesiennych barw już latem



PROF. MARCIN ZYCH

– dyrektor Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Warszawskiego

desperacja. Wiele roślin, z wyjątkiem np. sukulentów, nie ma żadnego mechanizmu kontrolowania utraty wody. Zagęszczenia aparatów szparkowych na liściach drzewo nie może zmienić ani np. części wyłączyć, więc broni się przed ostatecznym wysychaniem, zrzucając liście. Fizjologicznie przygotowuje się do spoczynku jesiennego, ogranicza wydajność. W miastach widać to doskonale po kasztanowcach, które źle

znoszą suszę. Fotosynteza następuje pod wpływem światła, temperatury i wody. Bez niej nie będzie zachodzić.

Czyli rośliny będą produkowały mniej niezbędnego do życia tlenu?

– Na szczęście za bilans tlenowy odpowiada cała biosfera, choć oczywiście w skali lokalnej dochodzi do niewielkiego ograniczenia produkcji tlenu. Na obszarze naszego kraju widać po drzewach, które źle znoszą suszę, jak wspomniane kasztanowce,

Prof. Marcin Zych – botanik i ekolog, członek wielu rad naukowych, m.in. rady redakcyjnej czasopisma „Acta Agrobotanica”, Rady Naukowej PAN Ogrodu Botanicznego – Centrum Zachowania Różnorodności Biologicznej w Powsinie, Państwowej Rady Ochrony Przyrody oraz Komitetu Biologii Organizmalnej PAN.

że ich pączki spoczynkowe, które normalnie czekałyby na wiosnę, mogą się rozwijać jeszcze jesienią, pod koniec sezonu, gdy są w zasadzie bezużyteczne, ponieważ za chwilę opadną z uwagi na niską temperaturę. Taka nieprzewidziana aktywność wzrostowa osłabia roślinę.

Nie wszystkie rośliny równie źle znoszą wzrost temperatury, niską wilgotność i suszę.

– Istnieje grupa gatunków, która radzi sobie coraz lepiej, ale charakteryzuje się nieco innymi preferencjami klimatycznymi. Do tej pory w naszej części Europy dominował klimat umiarkowanie chłodny – teraz zmienia się na bardziej ciepły i suchy. Część typowych dla nas gatunków drzew przestaje sobie radzić z suchymi, ciepłymi wiosnami i upałami w lecie. One nie przeniosą się w inne obszary. Słabsze wymrą. Kilka gatunków drzewiastych, np. świerk, sosna i brzoza, już się poddaje temu procesowi. Śmiertelność świerków widać było w Białowieży – osłabione suszą ostatecznie były zabijane przez korniki. Warto więc jak najszybciej zacząć modelować zasięgi drzew, biorąc pod uwagę zmiany klimatu i warunki glebowe. Nowe warunki klimatyczne wpłyną na stan przyrody i gospodarki. Dotychczasowy drzewostan gospodarczy, w którym dominowały sosny i świerki, w perspektywie najbliższych 20-50 lat bardzo się zmieni. Wiele zależy od dynamiki zmian klimatycznych, ale z uwagi na długość życia drzew już teraz powinniśmy się zastanawiać, co wprowadzimy zamiast świerków, sosen i brzoź.

Jakie drzewa trzeba będzie sadzić na potrzeby budownictwa i meblarstwa? Może skorzystamy z typowej dla polskiego krajobrazu wierzby?

– Wierzba nie ma zastosowania gospodarczego. Lepszy jest buk. Do tej pory Mazowsze z uwagi na surowy klimat nie miało buków, ale w ocieplającym się klimacie radzą sobie lepiej. W ogóle przeciwwagą dla drzew iglastych będą stanowić raczej drzewa liściaste. Lepiej w suszy radzi sobie też grab. Leśnicy go nie lubią, bo nie nadaje się na deski.

A nasze podobno najstarsze drzewo, dąb?

– Najstarsze polskie drzewo to cis. Lepiej niż świerki radzą sobie jodły. Czekają nas dyskusje na ten temat. Paradoksalnie może się okazać, że powinniśmy wprowadzić w kraju nawet gatunki inwazyjne, przed którymi do tej pory się broniliśmy. Zmiany klimatyczne dałyby radę przetrzymać np. robinia akacjowa. Pochodzi z Ameryki Północnej i wypiera rodzime gatunki. Można skorzystać z drzew z południa Europy. Australijski eukaliptus, silnie inwazyjny, technologicznie także jest do wykorzystania. Pamiętajmy, że większość naszych lasów to uprawy leśne, wynik nasadzeń. W naszym krajobrazie dominuje sosna. Zrobiła karierę, bo dobrze sobie radzi na ubogich glebach i daje niezłe drewno. Dąb ma trochę inne wymagania.

Może powinniśmy pomyśleć o bardziej egzotycznych gatunkach?

– W naszych warunkach całkiem dobrze rosną gatunki nieoczywiste. W ogrodzie botanicznym mamy figę, która dała nam już miskę doskonałych owoców. Araukarię chilijską z Ameryki Południowej już teraz sadzi się w polskich parkach. Biorę udział w pracach zespołu, który debatuje nad tym, jak zachować w najlepszym stanie drzewostan Łazienek Królewskich, gdzie stawiamy na rodzime, europejskie gatunki, o czym też powinno się dyskutować w innych parkach i ogrodach.

Które parki narodowe są najbardziej zagrożone zmianami klimatu?

– W zasadzie wszystkie cierpią. Zmiany związane z zamieraniem i osłabianiem populacji różnych gatunków drzew dotyczą całej Polski. W Białowieży mamy do czynienia z wycofywaniem się świerków i ekspansją grabu. Nasadzenia świerkowe prowadzono tutaj w latach 20., w międzywojniu, i teraz widzimy efekty. Do tego dochodzi gradacja kornika. Białowieckie lasy naturalne mają się zdecydowanie lepiej, ponieważ łatwiej dostosowują się do zmian. Problemy ze świerkami są też w parkach górskich. Zamiast buczyn na terenach odlesionych sadzono świerki i teraz to się mści. Poza tym w latach przedwojennych nie zawsze stosowano materiał lokalny, sprowadzano nasiona z ekotypów, których

populacje były przystosowane do innych warunków.

W Niemczech swego czasu popularne były lipy. W Polsce powszechnie występują brzozy samosiejki.

– Brzozy nie najlepiej się czują w obecnych warunkach klimatycznych. Ich system korzeniowy jest bardzo płytki i w warunkach suszy nie mają wystarczającej ilości wody, aby wykształcić liście. Co do lipy, była popularna nie tylko w Niemczech. Nasz Jan Kochanowski zapraszał przecież gości, by siedli pod lipą i odpoczęli. Lipa szerokolistna dobrze znosi obecne warunki. Drobnolistna gorzej. W Polsce panował też zwyczaj, że gdy rodził się syn, to sadzono dąb, a gdy córka – lipę. To bardzo sympatyczne drzewo, ale nie ma wielkiego znaczenia gospodarczego, bo jego drewno jest zbyt miękkie.

Czy obecne ocieplenie klimatu, susza hydrologiczna, nadmiar dwutlenku węgla w atmosferze itd. to tylko wynik działania człowieka, czy może również zmiany zachodzące cyklicznie w przyrodzie?

– Jeśli bierzemy pod uwagę argumenty naukowe, to nie ma wątpliwości, że za obecnymi zmianami klimatu stoi człowiek. Żaden rozsądny naukowiec nie wysuwa tezy, że to wynik naturalnych procesów geofizycznych. Oczywiście na Ziemi klimat się zmieniał, np. były cykle powtarzających się faz zlodowacenia i ocieplenia, ale następowało to w innej skali czasowej. Nigdy do tej pory klimat nie zmieniał się tak gwałtownie, nigdy w ciągu życia jednego pokolenia nie można było zaobserwować nadchodzącej katastrofy. Na naszych oczach przez dekady wymierają liczne gatunki zwierząt i roślin. Co więcej, człowiek już tyle napsuł, że nie ma powrotu do naturalnych oscylacji klimatu, zlodowaceń i ociepleń.

Albo ustabilizujemy klimat na jakimś nowym poziomie, więc będzie cieplej, ale da się żyć, albo – gdy efekt cieplarniany będzie narastał – wejdziemy do całkiem nowej rzeczywistości „gorącej Ziemi”. Życie na planecie pewnie przetrwa, ale człowiek jako gatunek już niekoniecznie. ■

W miłosnym trójkącie

Filmy dużo zyskują dzięki współpracy reżyserów z koordynatorami scen intymnych

Rozmawia Wojciech Tutaj

Jak zrodził się pomysł na „Trzy miłości”, które różnią się od twoich poprzednich filmów?

– Razem z moją żoną i producentką Natalią Grzegorzek oraz autorką zdjęć Weroniką Bilską zrobiliśmy wcześniej trzy filmy. Poczuliśmy się na tyle dobrze w naszej strefie komfortu, czyli w konwencji komediodramatu, że postanowiliśmy trochę bardziej się pobawić. Po pierwsze, widzimy w gatunku przyszłość i siłę kina. Po drugie, chcieliśmy wziąć na warsztat thriller erotyczny z powodu buntu i wstydu. Erotyka w kulturze, w kinie, a szczególnie w życiu codziennym była dla mnie zawsze wstydliwym tematem. Bunt wynika z tego, że nie podoba mi się sposób przedstawiania seksu, ciała czy namiętności w kulturze masowej. Z jednej strony mamy pornografię, czyli coś bardzo dosłownego, a z drugiej erotykę, dziwnie strachliwą i pruderyjną. Tymczasem „Trzy miłości” zawierają jeden ważny element, który był w naszych poprzednich filmach.

Co masz na myśli?

– Fakt, że częściowo odwołuję się do swojego życia. Kiedyś wpakowałem się w relację z dojrzałą kobietą. Byłem studentem prawa i mieszkalem w akademiku, podobnie jak filmowy Kundel. Poznałem tam 40-lletnią artystkę, która twierdziła, że jest wolna, ale prawda okazała się bardziej skomplikowana. I wyłączałem w samym środku emocjonalnego trójkąta. Jakbym zafundował sobie darmowy angaż w brazylijskiej telenoweli.

W filmie śledzimy skomplikowane relacje między aktorką Leną, prawnikiem Janem i studentem Kundlem. Motyw miłosnego trój-

ŁUKASZ GRZEGORZEK

– reżyser i scenarzysta filmowy



kąta jest wymarzoną sytuacją pod scenariusz?

– Jak mówi moja żona, trójka jest parszywą liczbą, bo w podobnym układzie ktoś zawsze czuje się poszkodowany i odrzucony. Chcieliśmy rozpiścić historię tak, żeby widz mógł ją sobie opowiedzieć z trzech perspektyw. Każdy bohater odbywa przecież osobną podróż emocjonalną. Staraliśmy się ułożyć trójkąt równoboczny, tzn. w miarę możliwości przeskakiwać między punktami widzenia Leny, Kundla i Jana. Taka sytuacja jest ekscytująca dla filmowca. Czuliśmy też, że w naszym trójkącie każda strona jest nieszczęśliwie zakochana w innej. Tytuł filmu jest więc ironiczny, bo skupiamy się głównie

Łukasz Grzegorzek – (ur. 1980) ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Był zawodowym tenisistą. Uczy reżyserii w łódzkiej szkole filmowej. Jest członkiem Polskiej Gildii Reżyserów. Jego pierwszy film, „Kamper”, zdobył nagrodę za najlepszy debiut pełnometrażowy na Raindance Film Festival w Londynie. „Córka trenera” uhonorowano nagrodą dla najlepszego filmu młodzieżowego w Cottbus. „Moje wspaniałe życie” przyniosło mu nagrodę za reżyserię na FFFF w Gdyni.

na niespełnieniu i nienasyceciu oraz napięciu wynikającym z tych uczuć.

Chcieliście przełamać schemat miłosnego trójkąta, który często pojawia się w kinie?

– Źródło inspiracji stanowiła książka „Zbrodnia i...” Jerzego Nasierowskiego. Autor opisuje historię trójkąta miłosnego, w którym tkwił z innym aktorem i młodym zbuntowanym chłopakiem. Fascynujące wydało mi się to, że bohaterowie z jednej strony szukają kontaktu i wyzwalają między sobą dużą energię, a z drugiej – odpychają się i haratają emocjonalnie. Ten trop z prozy Nasierowskiego towarzyszył nam w pracy. Często między sobą mówimy, że gdy jest się zakochanym, w duszy gra Wagner, a na zewnątrz panuje cisza absolutna. Jesteśmy wtedy trochę uroczy, trochę żałośni, a trochę heroiczni. Ten stan jest bardzo filmowy.

Ważne miejsce zajmuje wątek podglądania i inwigilacji. Jan mieszka naprzeciwko Leny i śledzi niemal każdy jej krok. To bardziej komentarz do naszych lęków czy próba nawiązania do długiej tradycji filmowej?

– Historia kina faktycznie jest pełna takich opowieści. Od filmów Alfreda Hitchcocka i „Podglądacza” Michaela Powella, przez „Rozmowę” Francisca Forda Coppola, aż po „Krótki film o miłości” Krzysztofa Kieślowskiego. Ważniejsze było dla nas jednak odwołanie się do współczesności. Jestem przerażony dzisiejszą technologią, a dokładnie zbadałem temat, bo pojawił się na samym początku pracy nad scenariuszem. Telefon stał się teraz najlepszym narzędziem do szpiegowania. Detektywi wkrótce będą bezrobotni, bo nie będą w stanie zdobyć informacji, którymi dzielimy się nieustannie przez smartfony. Kiedy myślałem o osobistych lękach związanych z tym, jak łatwo oddajemy swoją prywatność, poczułem, że motyw inwigilacji stanowi dobre paliwo dramaturgiczne.

Od pierwszej sceny narzucasz specyficzną konwencję i atmosferę. Jak myślałeś o gatunkowym charakterze filmu i budowaniu w nim nastroju?

– To, co robimy, nazwałbym autorskim kinem gatunkowym, a w nim



Kadr z filmu „Trzy miłości”.

najbardziej liczy się temperament twórców. Mamy więc własną estetykę, poczucie humoru i postrzeganie rzeczywistości. Szukając wizualnych inspiracji, sięgaliśmy oczywiście do lat 90., ale najbardziej zależało nam na tym, żeby dać szansę bohaterom. Cały czas mamy też pociąg do komediodramatu i staramy się przemyścić lekkość nawet w poważniejszych historiach.

Jeś, żeby widz ciągle zadawał sobie pytanie: co ja właściwie oglądam?!

– Chciałem, żeby „Trzy miłości” mogły zaskakiwać publiczność, bo sam lubię przeżywać ten stan w kinie. Chcieliśmy wprowadzić zaskakujące twisty fabularne, jak w thrillerach erotycznych z lat 90., bo one pomagają wytrącić odbiorcę z przekonania, że wie, dokąd zmierza historia. Najciekawsza wydaje mi się sytuacja, gdy

Gdy jest się zakochanym, w duszy gra Wagner, a na zewnątrz panuje cisza absolutna.

Film jest jednak reklamowany jako thriller erotyczny, a ten gatunek kojarzy się z mrocznymi opowieściami.

– Najgłośniejszy thriller erotyczny ostatnich lat to przecież „Baby Girl”, a można się zastanawiać, czy wywołuje lęk u widza. Nie oddzielam słowa thriller od słowa erotyczny, bo chodzi w nim przede wszystkim o dreszcze namiętności. W klasykę gatunku z lat 90., taką jak „Nagi instynkt” czy „Dzikie żądze”, wpisane są również przesada, kump i zaskakujące punkty zwrotne. Wspomniane filmy prowokują podejściem do erotyki, przekraczają granice. My też chcieliśmy zaproponować opowieść, która będzie wracać do widza i inspirować go, może delikatnie namiesza mu w głowie.

W filmie jest dużo humoru, momentami nieoczywistego. Może chcia-

widz oddaje się twórcom, ufa im na tyle, żeby trochę rozsmakować się w tej perwersji i zabawie. Pozwala sobie na zagubienie, nie wie, czy w danej chwili jest śmiesznie, czy podniecająco.

Co jest największym wyzwaniem w kręceniu scen erotycznych?

– Największe wyzwanie to wciąż mózg aktora i jego lęki. Kamera jest bezlitosna i bardzo dobrze pokazuje, kiedy aktor jest spięty, nienaturalny, coś udaje lub jest nieobecny w danej scenie. Wiedzieliśmy, że musimy długo przygotowywać się do sekwencji erotycznych. Były one bardzo precyzyjnie wymyślone pod kątem scenopisu i choreografii, żeby aktorzy poczuli maksymalne bezpieczeństwo. Drugie wyzwanie polegało na tym, że w thrillerach erotycznych dramaturgia opowiada się też przez seksualność bohaterów. W naszych ▶

► poprzednich filmach, czyli „Moim wspaniałym życiu”, „Córce trenera” i „Kamperze”, śledziliśmy po prostu emocjonalną drogę postaci zapisaną w ich codziennych perypetiach. W „Trzech miłościach” skupiamy się oczywiście na sferze emocjonalnej, ale próbujemy się dowiedzieć czegoś więcej o Lenie, Kundlu i Janie poprzez ich erotykę, stosunek do ciała itp.

Pracowaliście z koordynatorką scen intymnych. Wyobrażasz sobie realizację tego filmu bez jej pomocy?

– Zdecydowanie nie. Zrobiliśmy casting na koordynatorkę i wybraлиśmy wspaniałą specjalistkę Magdę Michalską, która dawała nam ogromne poczucie bezpieczeństwa. Ponadto miała ciekawe pomysły w trakcie realizacji scen erotycznych. Namawiam koleżanki i kolegów, aby w czasie przygotowań do filmu więcej czasu poświęcili na współpracę z koordynatorami intymności, bo wtedy uzyskają lepsze efekty. W środowisku filmowców trochę narzekają się, że koordynatorzy zabierają czas i zaczynają rządzić, co nie jest prawdą. Taka osoba dba, by na planie nie dochodziło do żadnych przekroczeń, i przypomina kaskadera. Pytanie, czy wyobrażamy sobie realizację scen kaskaderskich bez niej. Jako twórca czuję wpływ każdego, kto pracuje

na planie i nie mam z tym żadnego problemu, bo film jest zbiorową wypowiedzią. Na końcu decyduje i tak podejmuje reżyser lub producent. Potrzebuję jednak współpracowników, którzy myślą i czują podobnie, żebyśmy np. razem ustalali, jak ma wyglądać erotyka i sensualność na ekranie.

Dlaczego wybrałeś debiutanta Mieszka Chomkę do roli Kundla? Jak to wpłynęło na dynamikę między trojgiem głównych aktorów?

– Mieszko Chomka był moim studentem na Wydziale Reżyserii w łódzkiej Filmówce. Postanowiłem zaprosić go na casting po warsztatach, które robiliśmy podczas zajęć. Młodzi reżyserzy pomagali sobie, grając w swoich filmach. Mieszko wypadł fenomenalnie w scenie między dwoma mężczyznami, która miała być podszyta dużą sensualnością. Ma naturalną swobodę bycia i nosi w sobie rodzaj tajemnicy. Z jednej strony jest silnym mężczyzną, a z drugiej wyróżnia się delikatnością. Mieszko faktycznie mocno wpłynął na Martę Nieradkiewicz i Marcina Czarnika.

W pewnym sensie najciekawszym bohaterem jest Jan, który chciałby wrócić do Leny i odsunąć od niej Kundla. Z początku wydaje się postacią karykaturalną, ale z czasem zaczynamy postrzegać go inaczej.

– Ja i moi współpracownicy definiujemy kino jako przestrzeń, w której występuje duża ambiwalencja postaci. W naszych poprzednich filmach było to mniej odczuwalne, ale teraz chcieliśmy pogłębić niejednoznaczność bohaterów w ramach gatunku, pokazać, że mogą być zarazem pociągający i odrażający. Czuję, że każdy z nas trochę taki jest. Wystarczy, że ktoś nas odpowiednio naciśnie emocjonalnie i wtedy ujawniamy zarówno paskudną, jak i szlachetną część naszego charakteru. Kocham kino, które zaludniają postaci trudne w ocenie, ale nie każdy widz jest tak wyrozumiały jak ja. Łatwo kategoryzujemy kogoś jako dobrego lub złego, mądrego lub pustego, moralnego lub nie.

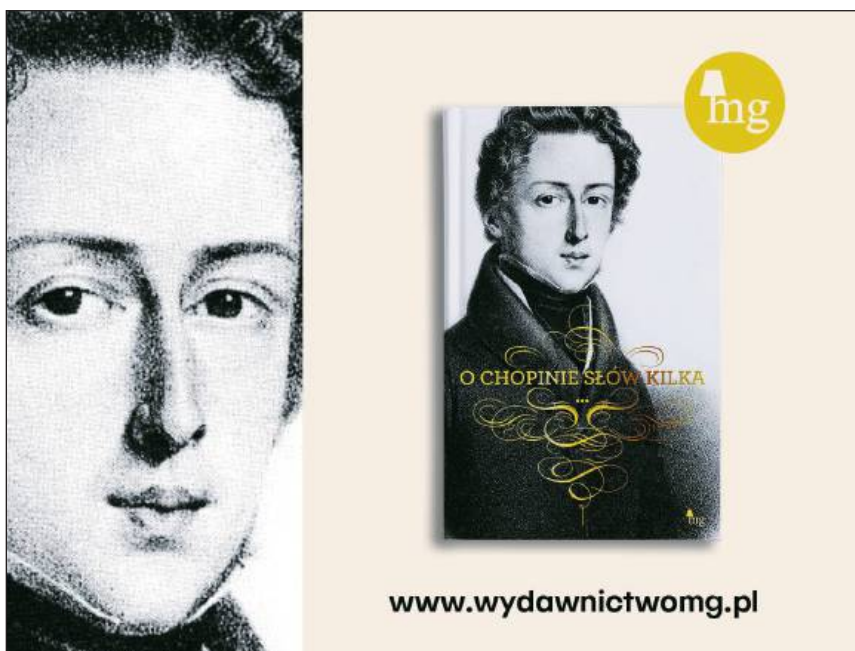
Jana można pochopnie ocenić już w pierwszych scenach.

– Czułem, że postać Jana będzie budzić skrajne emocje, bo można na niego spojrzeć jak na żalostnego podglądacza, ale i dostrzec w nim kogoś, kto zatracą się w relacji małżeńskiej i jest upadłym romantykiem. Równie dobrze można powiedzieć, że ma problemy psychiczne, nie umie sobie z nimi poradzić i potrzebuje terapeuty. Jedni by go przytulili, drudzy wyśmiali. Ja kocham swoich bohaterów przede wszystkim za ich wady, za ich niedoskonałość.

Pokazujesz nie tylko relacje damsko-męskie, ale i męsko-męskie. Wątek queerowy jest nowością w twoim kinie. Widzisz różnicę w pożądanu heteroseksualnym i homoseksualnym?

– W kwestii różnicy każdy z nas ma inne zdanie. Moja żona powiedziała, że miłość i seksualność nie znają płci. W naszym filmie mamy bohatera, który blokuje swoją cielesność, ma problem z dotykiem i nagością, a nagle odkrywa w sobie gen nieheteronormatywny. To wyzwala w nim wiele emocji. Nie rozważałem, czy erotyka męsko-męska różni się od damsko-męskiej, tylko analizowałem przypadek człowieka zablokowanego erotycznie, który nagle pozwala sobie na więcej, dokonuje wewnętrznego przekroczenia. Szukałem w seksualności przestrzeni do takich przekroczeń, żeby inaczej spojrzeć na ten temat.

Wojciech Tutaj



KURTYNA W GÓRĘ

Witkacja, czyli wyższe aspiracje

Wodewil „Witkacja”, którym Teatr Rampa czci swoje półwiecze, to pokaz aspiracji zespołu budowanego przez Michała Walczaka i jego współpracowników, walczącego o miano pierwszego teatru muzycznego w Warszawie.

A przynajmniej najbardziej warszawskiego teatru muzycznego. Żeby w pełni odbierać impulsy płynące ze sceny, trzeba dysponować nie byle jaką wiedzą o życiu Stanisława Ignacego Witkiewicza, człowieka wielu talentów, o jego poszukiwaniach artystycznych i erotycznych. Rzecz bowiem w tym, że widowisko inteligentnie łączy w jedno wątki biograficzne, układając mozaikę miłosnej biografii artysty, z jego wynalazkami estetycznymi, fragmentami czy choćby aluzjami do poszczególnych dzieł dramaturga i malarza. Scenariusz skomponowany przez Karolinę Felberg-Pawłowską i Romana Pawłowskiego-Felberga to prawdziwy majstersztyk. Powstał na jego podstawie spektakl zadziwiająco bogaty, pstrokaty, wciągający i dający do myślenia.

Energii dodaje mu grający głównego bohatera reżyser Cezji Studniak, który potrafi czarować osobowością Witkacego,



jego magnetyzującą tajemnicą i geniuszem. Świetna to robota warsztatowa, zderzająca zespół Rampy z wysokimi wymaganiami, którym nie tylko sprostał, ale i dowiódł, że jest zdolny budować przedstawienia przekraczające horyzont dobrze skrojonego musicalu. Zarówno dyspozycja wokalna zespołu, jak i rysunki postaci, staranna oprawa scenograficzna, choreografia i światło, wszystko razem złożyło się na sugestywny obraz międzywojennej Warszawy u kresu jej istnienia, kiedy mieszkańcom zaglądała w oczy wojna. To zarazem linia graniczna dla bohatera wodewilu – jego samobójstwo było świadectwem przerażenia wizją kresu tradycyjnej kultury, w której centrum znajdowała się jednostka, ktoś poszczególny, a nie niwelująca różnice i niuanse bekształtna masa.

Tomasz Mitkowski



„Witkacja”, reżyseria Cezji Studniak, muzyka Grzegorz Rdzak, choreografia Alisa Makarenko, Teatr Rampa, premiera 23 maja 2025

MIĘDZY OKŁADKAMI

ZASŁUCHAJ SIĘ



Antoine Wilson
Usta-usta
tłum. Łukasz Witczak
Czarne, Wołowiec 2025

Na zatłoczonym lotnisku JFK los splata drogi dwóch dawnych kolegów z liceum: błyskotliwego marszanda i niespełnionego pisarza. Czekając na opóźniony lot, wracają pamięcią do wydarzeń sprzed lat. Na jaw wychodzą coraz mroczniejsze sekrety. Czytelnik wsiąka w narrację. Książka działa na różnych poziomach, chociażby jako obyczajowa opowieść o ludziach sztuki oraz jako historia rywalizacji i władzy. Opowiada o obsesjach, pożądaniu i kapryśkach przeznaczenia – to także powieść, w której przypadek bywa bardziej bezwzględny niż plan. Kameralna, lecz pełna napięcia jak thriller; obyczajowa, a jednak z moralitetowym pazurem. Finał usuwa grunt spod nóg – po nim niczego nie można być pewnym.

Rafał Pikuta

Chouchane Siranossian i {oh!} Orkiestra
Janiewicz, Mozart
Violin Concerto No. 1
Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

Czy jest jakiś Polak, którego genialny Mozart poświęcił swoje dzieło? Jest. To Feliks Janiewicz, świetny muzyk, skrzypek i kompozytor z przełomu XVIII i XIX w. Wcześniej uczył się u tego samego co Mozart profesora Józefa Haydna, a napisał pięć koncertów skrzypcowych. Wszystkie odszukał i nagrał Narodowy Instytut Fryderyka Chopina w cyklu „Muzyka z czasów Chopina”. Pierwszy z koncertów wykonuje Francuzka Chouchane Siranossian z {oh!} Orkiestra.

Bronisław Tumiłowicz



Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Concorde – reaktywacja

Ikoniczny samolot znów będzie przewoził pasażerów

Chrystian Ślusarczyk

Dokładnie pół wieku od daty pierwszego lotu rejsowego Concorde znów będzie przewoził pasażerów. Firma Fly-Concorde spełni tym samym marzenia milionów jego fanów na całym świecie, których dziadkowie i ojcowie rozkoszowali się widokiem pięknej podniebnej sylwetki.

Zmodernizowany i dostosowany do obecnych potrzeb lotnictwa Concorde wróci do latania najprawdopodobniej w pierwszej połowie 2026 r. Termin ten nie został wybrany przypadkowo – w przyszłym roku świat będzie obchodzić 50-lecie pierwszego liniowego lotu pasażerskiego tej maszyny.

Emblematyczny samolot wróci na trasy m.in. dzięki decyzji Donalda Trumpa. 6 czerwca br. na lotnisku w Waszyngtonie amerykański prezydent odwołał obowiązujący od 1973 r. zakaz lotów samolotów naddźwiękowych nad lądem. Jak podkreślił Michael Kratsios, dyrektor Biura Polityki, Nauki i Technologii Białego Domu, decyzja ta umożliwi Amerykanom podróżowanie z Nowego Jorku do Los Angeles w czasie krótszym niż cztery godziny.

Naddźwiękowy, drogi, ale bezpieczny

Decyzję tę natychmiast wykorzystła firma Fly-Concorde. Jej nowa maszyna na pierwszy rzut oka nie będzie wiele się różniła od powstałej ponad pół wieku temu. Przede wszystkim zachowana zostanie aerodynamiczna sylwetka przypominająca ptaka.

Nowy Concorde będzie jednak – czego oko laika nie zauważy – o 50% lżejszy od oryginału.

Jeszcze większe zmiany wprowadzono w zakresie emisji zanieczyszczeń. Będą one aż o 80% mniejsze niż w przypadku starego modelu. Silniki będą wyraźnie cichsze. Nowy samolot poleci na wysokości 18 tys. m, czyli znacznie wyżej niż inne popularne samoloty pasażerskie.

Oko zwykłego śmiertelnika uważa za to zmiany we wnętrzu nowego samolotu. Jak zapowiadają jego twórcy, będzie ono niezwykle wytworne – oparte na japońskim minimalizmie. W kabinie pilotów zastosowano natomiast technologie kosmiczne – efekt wieloletnich badań i przygotowań.

Nowy Concorde ma być o 50% lżejszy od oryginału. Emisja zanieczyszczeń będzie aż o 80% mniejsza niż w przypadku starego modelu.

Za reaktywacją słynnego Concorde'a stoi dr Pano Krokoch Churchill, ekspert w dziedzinie fizyki, krewny premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla. Od lat skupia się on na badaniach dotyczących oddziaływania szumu samolotów naddźwiękowych na organizm człowieka. Prace nad najnowocześniejszymi silnikami naddźwiękowymi, którymi przewodził potomek premiera Churchilla, doprowadziły do zastosowania w nowym samolocie takich rozwiązań, że jego lot nad lądem nie będzie przeszkadzał mieszkającym 18 km poniżej ludziom.

Dr Pano Churchill to technologiczny weteran ponad tysiąca start-upów. Nie jest też tajemnicą, że krewny słynnego polityka pomógł w rozwoju kariery wielu utalentowanym młodym informatykom, genetykom i farmaceutom. Patricia Bader-Johnston, wiceprezes

Fly-Concorde, z dumą podkreśla, że firma już wkrótce stanie się światowym liderem w dostosowywaniu szumu pracy silników naddźwiękowych do naszych uszu.

Concorde to wspólne europejskie dziecko British Airways i Air France. Samolot ten praktycznie zrewolucjonizował lotnictwo cywilne. Latał przede wszystkim w trójkącie Londyn-Paryż-Nowy Jork. Pierwszy próbny lot odbył się 2 marca 1969 r. A pierwszy lot transatlantyki – 26 września 1973 r. Drogi z Londynu do Nowego Jorku samolot pokonywał w zaledwie trzy i pół godziny z prędkością ok. 2 Ma (chodzi

o liczbę Macha, dwa razy większą niż prędkość dźwięku).

Mimo początkowo ogromnego zainteresowania naddźwiękową maszyną, biznesowa przyszłość Concorde'a nie wyglądała najciekawiej. Powodem były horrendalne jak na owe czasy koszty eksploatacji nowatorskiego samolotu oraz ograniczone trasy. Na stałe do grafiku lotów francusko-brytyjski samolot wszedł 21 stycznia 1976 r.

Najpierw British Airways obsługiwały loty na trasie z Londynu do Bahrajnu, a Air France loty z Paryża do Rio de Janeiro. W tym samym roku obie linie lotnicze zapoczątkowały loty do Nowego Jorku i Waszyngtonu. Choć Concorde na stałe latał tylko na trasach transatlantycznych, dwa razy zawitał także do Polski!

Mimo oszałamiających wręcz prędkości Concorde'a oferowanie lotów ekskluzywnym samolotem

nie było opłacalne dla przewoźników. Tylko 14 samolotów weszło na stałe do rozkładu lotów obu znaczących europejskich linii. Ciągłe straty finansowe powodowały ograniczenia w lotach.

Początkiem końca legendarnej maszyny był tragiczny wypadek, do którego doszło 25 lipca 2000 r. Samolot Air France, który kierował się z paryskiego lotniska Charles de Gaulle do Nowego Jorku, krótko po starcie się rozbił. Pęknięta opona spowodowała przebicie zbiornika z paliwem, a błyskawiczny pożar równie szybko i skutecznie uniemożliwił pracę silnika. Maszyna spadła na podparyski hotel. Życie straciło 109 osób na pokładzie concorde'a i cztery osoby na ziemi. Po tej tragedii nie do końca bezpieczne,

Tu-144 miał symbolizować realizację radzieckich aspiracji zimnowojennych do bycia światowym numerem 1 w dziedzinie superszybkich naddźwiękowców.

Rosjanom udało się wyprzedzić Amerykanów. Pierwszy lot ich własnym technologiczno-futurystycznym cudem odbył się już w grudniu 1968 r. Dalsze losy maszyny z bocznym napisem CCCP nie były jednak ustane różami. Ciągłe – nie do końca wyjaśnione – awarie oraz dwie tragiczne katastrofy doprowadziły do tego, że radzieckim samolotem bali się latać zarówno piloci, jak i pasażerowie.

naddźwiękowca – rozejdą się jak ciepłe bułeczki.

O tym, jak wielkie jest zainteresowanie Concorde'em, świadczy wydarzenie z 1 kwietnia ub.r. Tego dnia, w popularnym na całym świecie serwisie internetowym pozwalającym na żywo śledzić trasy samolotów, niespodziewanie pojawiła się maszyna, która została wycofana z użytku wiele lat temu. Można było odnieść wrażenie, że obok boeingów i airbusów mię-



jak się okazało, i drogie w eksploatacji concorde'y, najpierw we Francji, a w roku 2003 na Wyspach Brytyjskich, odesłano na technologiczną emeryturę. Tym samym w październiku 2003 r. miał nastąpić koniec pasażerskich lotów naddźwiękowymi maszynami.

Dziś wiemy, że nie był to koniec, lecz wieloletnia przerwa, bo już za kilka miesięcy naddźwiękowe maszyny ponownie ruszą na trasy.

Niejasna historia dawnej legendy

Czy Concorde to samodzielne dzieło zachodnich konstruktorów, czy może kradzież radzieckiej myśli technologicznej? Takie pytanie od lat pojawia się w rosyjskich i rosyjskojęzycznych mediach. Nie ulega wątpliwości, że Tu-144, pierwszy na świecie naddźwiękowy samolot transportowy, to bardzo ważny etap sowieckiej techniki lotniczej i kosmicznej, zaprojektowany przez legendarnego konstruktora Andrieja Tupolewa oraz jego syna Aleksieja,

Początkowo wydawało się, że pojawienie się na rynku naddźwiękowca pokroju Tu-144 zrewolucjonizuje lotnictwo cywilne. Ale radziecki Aeroflot nową maszyną zrealizował zaledwie 55 lotów. Jednym z powodów niepowodzeń Tu-144, dla wielu kluczowym, były zbyt wysokie koszty eksploatacji maszyny.

Czy Concorde to samodzielne dzieło zachodnich konstruktorów, czy kradzież radzieckiej myśli technologicznej?

Próby powstałego ponad pół wieku temu samolotu prowadzono w latach 90. W tym czasie stworzony został wspólny rosyjsko-amerykański projekt. Zakładał on loty eksperymentalne zmodyfikowanym przez specjalistów obu stron samolotem o nazwie Tu-144LL. W tym przypadku nie planowano jednak lotów pasażerskich.

Dziś zainteresowanie nowym Concorde'em bije wszelkie rekordy. Nie ulega wątpliwości, że nawet horrendalnie drogie bilety – przynajmniej w początkowym okresie reaktywacji

dzykontynentalny lot z Paryża do Nowego Jorku liniami Air France odbywa także maszyna Concorde, oficjalnie uziemiona prawie 23 lata temu. Jak się okazało, lot, który oglądało na żywo ponad 20 tys. internautów wierzących w niespodziewany powrót legendy, był primaaprilisowym żartem. Jak poinformował serwis airlive.net, ta konkretna maszyna o symbolu

F-BTSD jest przechowywana w Muzeum Lotnictwa i Astronautyki Le Bourget pod Paryżem i w chwili gdy internauci widzieli ją gdzieś nad Atlantykiem, pozostawała nieruchoma wśród eksponatów.

Niewykluczone, że 1 kwietnia 2026 r., po 23 latach oczekiwania, spełnią się marzenia milionów fanów. I ten sam internetowy serwis prześledzi już prawdziwy lot faktycznie zmartwychwstałej legendy lotnictwa.

Z RECEPTĄ W RĘCE

Większość infekcji, z którymi przychodzą pacjenci do lekarzy rodzinnych, ma charakter wirusowy i ulega samowyleczeniu

Arkadiusz Lorenc

Bywa, że lekarze przepisują leki, kiedy nie jest to konieczne. Powodów jest kilka – mogą mieć trudny dzień, być zmęczeni, mogą też ulegać pacjentom lub naciskom ze strony przełożonego. Jeśli chodzi o antybiotyki, to w ich sprawie nie ma nacisków ze strony przemysłu farmaceutycznego.

Prof. Tomasz Sobierajski, socjolog i badacz socjomedycyny, zauważa, że akurat firmom nie powinno zależeć, by lekarze przepisywali ich leki, bo jeśli przestaną w końcu działać na skutek antybiotykooporności, wówczas producenci stracą istotne źródło przychodów.

Psychiatra Piotr Wierziński stwierdza podczas rozmowy:

– Pacjenci bywają bardzo roszczeniowi. Przychodzą i żądają konkretnego leku. Wyuczuli się w internecie albo usłyszeli coś od pani Krysi. Sądzą, że znają się na medycynie lepiej od lekarzy. Kontestują medycynę. Z drugiej strony jest lekarz rodzinny, który dziennie przyjmuje kilkudziesięciu pacjentów. Myśli sobie: jestem zmęczony, mam swoją wydolność, mam dość. I wypisuje receptę, często mając ku temu wskazanie kliniczne.

– Czyli jednak winny jest system, bo gdyby lekarz nie był przepracowany, to mógłby się pochylić nad pacjentem.

– Tak, ale braki kadrowe są obecnie tak duże, że gdyby lekarze przyjmowali 10 pacjentów dziennie, to kolejki wydłużyłyby się jeszcze bardziej.

Lekarka rodzinna Joanna Jonek-Lewandowska wspomina czasy, gdy

pracowała w jednej z dużych prywatnych sieci przychodni medycznych. Zaznacza, że takie sieci działają jak typowe korporacje, co oznacza, że mają swoje procedury, również jeśli chodzi o jakość świadczonych usług. W ich oczach pacjent jest klientem, którego lekarz w roli usługodawcy powinien obsłużyć tak, by ten zechciał wrócić.

– Pewnego razu zaproszono nas na zebranie, na którym jeden z menedżerów zaprezentował wyniki badania satysfakcji przeprowadzonego wśród pacjentów sieci. Przychodnia

Rzeczywiście istnieje związek między poziomem rozwoju kraju a jego podejściem do działań profilaktycznych oraz edukacji zdrowotnej. Widać go w danych. WHO w raporcie z 2024 r. wyraźnie wskazuje, że bogatsze kraje więcej inwestują w ochronę zdrowia. Są to inwestycje w leczenie, ale i w profilaktykę. Ich podejście do zdrowia publicznego często obejmuje bardziej zrównoważoną strategię, która podkreśla znaczenie profilaktyki postrzeganej jako sposób na zmniejszenie długoterminowych kosztów opieki zdrowotnej

Nie każda wizyta u lekarza musi się zakończyć wypisaniem recepty – i nie każda powinna.

pytała ich m.in. o oczekiwania. Okazało się, że pacjent wychodzi od lekarza zadowolony, gdy dostanie od niego zwolnienie i co najmniej jedną receptę – mówi lekarka.

Z menedżerem był tylko jeden problem: sam nie był lekarzem. Nie mógł więc mówić lekarzom, co mają robić, bo ich obowiązuje etyka zawodowa. Jego nie. A zgodnie z etyką zawodową lekarz powinien przede wszystkim zapobiegać, a nie tylko leczyć. Nie każda wizyta musi się zakończyć wypisaniem recepty – i nie każda powinna. Nawet jeśli badanie pokazało, że tego oczekuje klient. To znaczy pacjent.

– Widzimy, że w państwach wysoko rozwiniętych więcej jest profilaktyki, np. przeciwnowotworowej, więcej rozmów i kontaktu z pacjentem niż wypisywania recept na wszystko, zwłaszcza jeśli nie są konieczne. I do tego staramy się dążyć – podkreśla Joanna Jonek-Lewandowska.

i poprawę jakości życia obywateli, w myśl znanej zasady: lepiej zapobiegać, niż leczyć.

Przykładem może być Szwajcaria, zajmująca pierwsze miejsce na liście państw z najwyższym wskaźnikiem HDI określającym poziom rozwoju społecznego. Narodowa strategia tego kraju w zakresie opieki zdrowotnej polega na wspieraniu zintegrowanych modeli opieki medycznej, zwłaszcza w sytuacji, gdy pacjenci korzystają z wielu różnych i skomplikowanych usług zdrowotnych. To istotne wobec spodziewanego niedoboru personelu. Wdrażane są tam projekty mające na celu zachęcanie różnych typów pracowników ochrony zdrowia do współpracy, a jedna z kluczowych instytucji zajmujących się opieką zintegrowaną co roku przyznaje nagrodę promującą innowacyjne projekty sieciowe w sektorze opieki zdrowotnej.



– W Szwajcarii nawet ruch jest na receptę – mówi Joanna Jonek-Lewandowska, która usłyszała o tym na jednej z ostatnich konferencji poświęconych leczeniu otyłości. – To są konkretne zalecenia: trzy razy w tygodniu po 30 minut wysiłku z tętnem na poziomie 220 minus wiek pacjenta.

Z drugiej strony lekarka zauważa, że prowadzenie praktyki lekarskiej w przypadku lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej jest nierozdzielnie związane z tym, że pacjenci wracają. I to dobrze, bo bez nich placówki medyczne nie miałyby podstawy, by istnieć. A pacjenci wracają wtedy, kiedy są zadowoleni.

– Jeśli wyczuwam, że pacjent chce dostać receptę, to mogę mu wypisać lek, który jest dostępny zarówno w formie bez recepty, jak i z przepisu lekarza, zależnie od producenta. Dotyczy to nawet ibuprofenu, który istnieje też w formie na receptę. Z mojej perspektywy niewiele to zmienia, ale pacjent wychodzi usatysfakcjonowany – dodaje Joanna Jonek-Lewandowska.

– Zdecydowana większość infekcji, z którymi przychodzą pacjenci do lekarzy rodzinnych, ma charakter wirusowy i ulega samowyleczeniu. Nieważne, czy weźmiesz taką czy

inną dawkę witaminy C, czy tykniesz ibuprofen, czy paracetamol; jeśli nie masz zaburzeń odporności, w ciągu kilku dni twój organizm zwalczy infekcję. Ale jeśli powiem coś takiego pacjentowi na wizycie, to może poczuć się niezaopiekowany, odesłany z kwitkiem. No to mogę zalecić krople z glicerolem do nosa, które na-

Leczmy, sięgając czasem po środki, które nie są konieczne. Na wszelki wypadek.

wilżą śluzówkę. Ich stosowanie przy krótkotrwałych infekcjach nie będzie mieć żadnego znaczenia, ale na pewno nie zaszkodzi, a pacjent poczuje, że staram się mu pomóc.

– Słyszał pan kiedyś o medycynie defensywnej? – pyta mnie z kolei dr Marcin Niżnik, chirurg, kiedy zastanawiam się głośno, czy lekarze nie wypisują recepty zbyt łatwo, czy nie ulegają pacjentom, choć nie powinni.

– Nie słyszałem – odpowiadam i proszę, żeby rozwinął ten temat.

– Lekarzy w Polsce często się pozywa, próbując udowodnić im błędy. O ile wiem, w niektórych prokuraturach swego czasu funkcjonowały nawet komórki, które zajmowały się

wyłącznie sprawami medycznymi, zezwolił na to minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro. Siłą rzeczy powoduje to, że leczymy, sięgając czasem po środki, które nie są konieczne. Na wszelki wypadek. Bo jeśli coś się wydarzy, ktoś nas może później zapytać, np. prokurator, dlaczego nie przepisaliśmy żadnego leku. I będziemy się musieli wytłumaczyć, czyli udowodnić, że lek na pewno by nie pomógł. To nie są proste sprawy – wyjaśnia Marcin Niżnik. I podkreśla, że nie chce stawać w obronie kolegów i koleżanek po fachu, raczej tłumaczy pewne mechanizmy, jakie funkcjonują w ich zawodzie i mają wpływ na codzienną pracę.

To zresztą żadna tajemnica, że pacjenci w Polsce chętnie doszukują się błędów lekarskich. Z badań CBOS wynika, że w 2001 r. co czwarty Polak deklarował, że doświadczył błędu lekarskiego, a w 2014 r. – już co trzeci. Rośnie też liczba postępowań karnych związanych z podejrzeniem popełnienia takiego błędu.

– Zresztą przed pacjentem często też musimy się tłumaczyć, jeśli nie wychodzi z gabinetu z receptą. To akurat rzadko dotyczy seniorów – oni doceniają, kiedy lekarz poświęci im czas, wytłumaczy wszystko, co potrzeba, pochyli się. Recepty nie są dla nich ważne. Co innego młodsi, oni chcą dostać lek, bo inaczej sądzą, że nie ma leczenia. Podkreślimy, że musi to być lek na receptę, a nie taki, który mogliby kupić sobie sami, nawet niekoniecznie w aptece. A przecież leczenie to nie tylko farmakoterapia. To także zdrowy styl życia, zdrowe nawyki, dieta, unikanie nałogów – podsumowuje chirurg.

Prof. Tomasz Sobierajski często szkoli lekarzy w zakresie komunikacji ▶

▶ z pacjentami. Uważa, że w polskim systemie opieki zdrowotnej zdecydowanie za mało miejsca poświęca się temu zagadnieniu.

– Czy Narodowy Fundusz Zdrowia stać na takie szkolenia? – pytam prokuratora Sobiczajskiego.

– W zasadzie w systemie nie ma na to pieniędzy. Odpowiedzialność zrzuca się na uczelnie medyczne, które nawet wprowadziły tego rodzaju zajęcia. Tyle tylko że są one prowadzone w takim wymiarze,

porównania: – Kiedy zepsuje mi się w domu instalacja elektryczna i poproszę o pomoc elektryka, to on nie zgodzi się na położenie przewodu w sposób niezgodny ze sztuką, np. tak, by miał styk z instalacją wodną, bo to proszenie się o problem. Elektryk odmówi, choćbyśmy nie wiem jak nalegali. To samo powinien zrobić lekarz, jeśli uważa, że przepisanie określonej substancji może zaszkodzić pacjentowi. Wymaga to jednak asertywności.

W przypadku leków na receptę mamy zatem do czynienia nie tylko ze wzrostem wartości obrotu, lecz także liczby sprzedawanych w aptekach opakowań. Ta ostatnia jest głównym czynnikiem wzrostu tego rynku. I jest to sytuacja niepokojąca, mimo że mówimy o rynku regulowanym i o preparatach stosowanych pod kontrolą lekarza, bo także tutaj zdarzają się patologie.

Jedną z nich dotyczy telemedycyny, która w czasach pandemii stała się powszechnym sposobem leczenia. W 2021 r. z tego rodzaju usług skorzystało ośmioro na dziesięciuro Polek i Polaków. Ci, którzy nie skorzystali z takiej porady, w większości w ogóle nie mieli potrzeby, by pójść do lekarza. W niemal 80% wizyta zakończyła się wystawieniem recepty. To najczęstszy dokument, jaki otrzymywał pacjent. Na drugim miejscu znalazło się skierowanie do specjalisty, ale trafiało ono do rąk tylko 34% pacjentów korzystających z teleporady. Może to więc oznaczać, że pacjenci korzystali z teleporad wyłącznie po to, by otrzymać receptę. Czasem bezpodstawnie. Mówiła o tym np. dr Anna Łotowska-Ćwiklewska na łamach portalu tokfm.pl, wspominając o pacjentach, którzy wymyślają mało prawdopo-

Liczba wystawianych recept rośnie – w 2023 r. lekarze wypisali ich niemal o 42 mln więcej niż rok wcześniej.

że raczej niewiele to wnosi. Nie mówiąc już o tym, że komunikację z pacjentem lekarze powinni ćwiczyć nieustannie i co jakiś czas odświeżać swoją wiedzę w tym zakresie. Nie bez znaczenia jest też doświadczenie kliniczne. Inaczej do takiego szkolenia podejździe student kierunku lekarskiego, który nie ma jeszcze żadnej praktyki, a inaczej lekarz, który miał już np. okazję informować rodzinę, że pacjent zmarł, albo przekazywać trudną diagnozę. Wielokrotnie zresztą odzywali się do mnie moi byli studenci, którzy dopiero po latach zrozumieli, jak wiele sensu było w zajęciach, które dla nich prowadziłem.

Prof. Tomasz Sobiczajski

zauważa nawet, że w kwestii kształcenia lekarzy w zakresie komunikacji z pacjentami dużą rolę odgrywają firmy farmaceutyczne, które organizują szkolenia i konferencje dla specjalistów ochrony zdrowia. Ma nawet wrażenie, że w niektórych aspektach wsparcie to jest tak duże, że system mógłby się bez niego zawalić.

– Kiedy rozmawiam z lekarzami na temat prób wymuszania recept przez pacjentów, często słyszę od nich: „Co mam wtedy zrobić? Nawet jak nie przepiszę, to pacjent pójdzie do innego lekarza i dostanie receptę”. I ja to nawet rozumiem, tyle że nie na tym polega praca lekarki czy lekarza – stanowczo zauważa profesor. Tłumaczy to na zasadzie prostego

– Lekarze często mówią mi, że nie mają czasu na rozmowę z pacjentem – zauważam.

– Wierzę w to, sam często to od nich słyszę, ale są techniki, które pozwolą w ciągu dwóch minut przeprowadzić taką rozmowę z pacjentem, w wyniku której on usłyszy stanowcze nie.

Nic więc dziwnego, że preparaty na receptę przyjmowało aż ośmiu na 10 Polaków w ciągu ostatniego półrocza, jak wynika z badania portalu e-recepta.net przeprowadzonego w pierwszym kwartale 2023 r.

W państwach wysokorozwiniętych więcej jest profilaktyki, rozmów i kontaktu z pacjentem niż wypisywania recept na wszystko.

Z danych GUS wynika z kolei, że liczba wystawianych recept rośnie – w 2023 r. lekarze wypisali ich niemal aż o 42 mln więcej niż rok wcześniej.

Statystyki mówią zresztą bardzo wiele na temat tego, jakie mamy podejście do leków na receptę. Z danych firmy PEX wynika, że całkowity apteczny obrót lekami na receptę, zarówno refundowanymi, jak i nier refundowanymi, wyniósł w 2023 r. 28 mld zł.

Liczba sprzedawanych w aptekach opakowań w ostatnich latach rośnie i niewykluczone, że jeśli tempo tego wzrostu utrzyma się na poziomie obserwowanym od 2021 r., to w 2024 r. przekroczy 800 mln.

dobne historie o bólu tylko po to, by lekarz zapisał im fentanyl – niezwykle groźny lek opioidowy, którego zażywanie może skończyć się śmiercią.

Decyzja o wystawieniu recepty zależy wyłącznie od lekarza. W danych nie znajdziemy odpowiedzi na to, ilu lekarzy wystawiło pacjentom receptę na lek, nie mając stuprocentowej pewności, że ci nie podali fałszywych informacji o swoim stanie zdrowia tylko po to, by dostać określony preparat.



Fragmenty książki Arkadiusza Lorenc *Polska na prochach*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2025

INTERNET Z GRZYBÓW

Pojedynczy grzyb
może łączyć w sieć nawet
kilkadziesiąt różnych drzew
wielu gatunków



Dariusz Dziektarz

Choć o mykoryzie, czyli symbiozie roślin i grzybów, uczymy się już w podstawówce, to w ostatnich latach zaczęło być o niej naprawdę głośno, co ciekawe – także poza szkołą. Drzewa połączone strzępkami grzybnii, niczym komputery spięte siecią kabli, po których płyną informacje o szansach i zagrożeniach, ale nie tylko – miałyby to być także jeden wielki targ oraz kanał szybkiego reagowania. (...) Wizja takiego lasu działa na wyobraźnię, pytanie tylko, czy rzeczywiście żyjemy w tej bajce, czy jedynie daliśmy jej się porwać?

Samopomoc chłopska

(...) Rośliny i zwierzęta od zarania dziejów wymieniają między sobą informacje kanałami, o których istnieniu jeszcze kilkadziesiąt lat temu nawet nie wiedzieliśmy. Wykorzystują do tego dźwięki, zapachy i obrazy, więc dlaczego miałyby nie wykorzystywać także grzybów, znanych już z tego, że potrafią przekazywać sygnały

elektryczne, co w tym kontekście nieco upodabniałoby je do naszych neuronów? Statyczny na pierwszy rzut oka las miałby więc swoją drugą, ukrytą przed nami, gwarną stronę. Owszem, zaglądamy tam – słyszymy, czujemy zapachy, a niektórzy poznali nawet smaki, ale nie potrafimy tego intuicyjnie złożyć w żaden spójny obraz. Tymczasem dużo więcej miałyby się dziać pod ziemią, w królestwie, którego zrozumienie przychodzi nam jeszcze trudniej.

Spacerując po lesie, być może dostrzeżecie, że niektóre ze świeżo ściętych pniaków jakby próbowały wrócić do swojego dawnego życia. Gęsto pojawiają się na nich pędy odroślowe, które usiłują zastąpić utraconą koronę. Niestety, w większości przypadków będzie to po prostu ostatnie tchnienie przed śmiercią – to za mało, by utrzymać stary, rozbudowany system korzeniowy i taka roślina w ciągu kilku lat najczęściej zamiera.

Są jednak gatunki, które potrafią się dźwignąć nawet z tak beznadziejnego położenia. Wierzy, olsze czy

lipy są zdolne zregenerować cały pień właściwie od zera, ale w lesie można natknąć się na przypadki jeszcze dziwniejsze – drzew, które po ścięciu już nie odrastają, a mimo to... żyją.

Dobrze widać to szczególnie w naszych górskich i podgórskich jedlinach. Pniaki tych ściętych iglaków często nie rozkładają się, a zamiast tego zaczynają zarastać, tak jak zarastają rany, jakby drzewo próbowało zasklepić zwykłe draśnięcie czy ślad po wyłamanej gałęzi. Z czasem powierzchnia cięcia całkowicie chowa się pod tkankami, a pień zaczyna przypominać wystający z ziemi, pokryty korą guz. Skąd jednak roślina czerpie energię do wzrostu i ukończenia procesu zarastania, mogącego trwać nawet kilkadziesiąt lat, skoro nie ma korony zdolnej do prowadzenia fotosyntezy? Okazuje się, że nie robi tego sama – otrzymuje pomoc od innych drzew, utrzymujących ją przy życiu poprzez ich połączony system korzeniowy. Tym samym już na zawsze staje się jego przedłużeniem, częścią wspólnej sieci samopomocy. ▶

► Połączeni przez grzyb

Zrosty korzeniowe występują u drzew stosunkowo powszechnie, łatwo zaobserwować je choćby u grabów, którym już w wieku zaledwie kilku lat zdarza się korzystać ze wspólnego korzenia. Wiążą się z tym co prawda pewne zagrożenia, bo tak ścisłe połączenie wielu roślin ułatwia rozmaitym patogenom rozprzestrzenianie się pomiędzy nimi, ale z drugiej strony – utrzymuje przy życiu choćby te wspomniane wyżej, skazane na śmierć jodły. W ostatnich latach coraz więcej mówi się jednak

znacznie wykraczający poza relację dwóch organizmów.

Leśny transfer

O istnieniu sieci mikoryzowych wiedzieliśmy od dawna, ale ze względu na trudności w badaniu delikatnych strzępek rozproszonych pod ziemią na dużych obszarach lasu długo nie rozumieliśmy, jaka dokładnie może być ich rola w funkcjonowaniu ekosystemu. Przełom dokonał się w 1997 r., po opublikowaniu w czasopiśmie „Nature” słynnej już pracy kanadyjskiej

W kolejnych latach uzupełniano koncepcję o kolejne odkrycia. Dzięki badaniom genetycznym fragmentów grzybni oraz znakowaniu węgla i śledzeniu losów jego izotopów dowiedzieliśmy się, że np. pojedynczy grzyb może łączyć w sieć nawet kilkadziesiąt różnych drzew wielu odrębnych gatunków, a z lasów u podnóża Himalajów donoszono o rozpiętości grzybni sięgającej 2 km! (...) Zidentyfikowano także „hakerów” kradnących substancje ze wspólnej leśnej sieci – pasożytnicze rośliny, takie jak niektóre storczykowate, które atakują grzyby, a więc i pośrednio wszystkie spięte z nimi drzewa. Niektórzy użytkownicy tego „internetu”, jak nasz swojski orzech włoski, miałyby zaś wykorzystywać sieć do nieuczciwej konkurencji i wpuszczać w nią substancje allelopatyczne, takie jak juglon, które hamują wzrost innych roślin. (...)

Szczególną sympatię zyskały jednak drzewa pomagające innym, tworzące mateczniki osłaniane wielką i starą koroną zakotwiczoną w glebie przez gigantyczne systemy korzeniowe.

Pierwsze lata życia w lesie nie są łatwe, żeby nie powiedzieć, że bardzo trudne i śmiertelnie wręcz niebezpieczne. Na siewki i podrost drzew czyha niezliczona ilość zagrożeń, a jednym z najpoważniejszych jest brak dostępu do światła. Okazało się jednak, że poprzez mikoryzowe

Poszczególne gatunki dobierają sobie partnerów, dlatego maślaków szukamy pod sosnami, a kozaka pod brzozą.

o tym, że pomoc płynie jeszcze innym, dużo bardziej enigmatycznym łączem, tworzonym przez tzw. sieci mikoryzowe.

Związki pomiędzy roślinami a grzybami kształtują się, właściwie odkąd tylko organizmy te wyszły na ląd setki milionów lat temu. Efektem tej długiej znajomości jest mikoryza, czyli ich symbiotyczna relacja, w którą wchodzi nawet 80-90% gatunków roślin na świecie. A mowa o relacji naprawdę bardzo bliskiej, bo przerastające glebę strzępki grzybni oplatają korzenie i wnikają w nie międzykomórkowo (ektomikoryza) lub jeszcze głębiej, do ich wnętrza (endomikoryza).

Korzystają na tym zarówno jedni, jak i drudzy, bo grzyb wielokrotnie powierzchnię systemu korzeniowego drzewa, a drzewo w zamian karmi go cukrami pochodzącymi z fotosyntezy. Poszczególne gatunki często bardzo precyzyjnie dobierają sobie przy tym partnerów, dzięki czemu wiemy, żeby maślaków szukać pod sosnami i modrzewiami, a kozaka np. pod brzozą.

Spójrzmy jednak nieco dalej, bo jeśli drzewo może korzystać ze strzępek mikoryzowego grzyba jak z sieci do czerpania substancji z gleby, to co się stanie, jeśli ten grzyb nie połączy się z jedną tylko rośliną, ale z dwiema, pięcioma czy 50? Łatwo wyobrazić sobie, że powstanie związek swoim zasięgiem i potencjałem

badaczki Suzanne Simard i jej zespołu. Dzięki metodzie polegającej na wykorzystaniu węgla o odmiennym składzie izotopowym niż ten występujący naturalnie w glebie, udało im się prześledzić drogę, jaką przebywa pierwiastek po wprowadzeniu do rośliny. Rezultaty okazały się niezwykle – udowodniono w ten sposób, że pomiędzy bardzo odległe spokrewnionymi, iglastymi daglezjami zielonymi a liściastymi brzozami papierowymi rzeczywiście następuje wymiana substancji za pośrednictwem sieci mikoryzowej, czyli kabla, który grzyby rozciągnęły między drzewami.

Z lasów u podnóża Himalajów donoszono o rozpiętości grzybni sięgającej 2 km!

Koncepcja, wedle której las przestaje być tak statyczny, jak się wydawało, tylko staje się tętniącym życiem forum, na którym połączone ze sobą rośliny aktywnie rozmawiają, handlują i pomagają sobie w potrzebie, stała się wkrótce potem niezwykle popularna. Od strony naukowej temat zgłębiały kolejne publikacje, a wizja naturalnego odpowiednika internetu, od akronimu WWW (World Wide Web), zwanego często Wood Wide Web (od wood – las), szybko rozprzestrzeniła się także w kulturze popularnej. (...)

łącza młode rośliny mogą niekiedy liczyć na wymierną pomoc ze strony tych starszych i gdy tego potrzebują – są dokarmiane i nawadniane.

Jakby tego było mało, dojrzałe, w pełni samodzielne już drzewa także zdają się współpracować i w poszczególnych porach roku liściaste oraz iglaki wymieniają się substancjami pokarmowymi. Taki układ działa całkiem dobrze, w końcu jedne tracą na jesień wszystkie liście i nic wtedy nie produkują, a drugie zachowują je nawet przez kilka lat, co jednak wiąże się z mniejszą

efektywnością fotosyntezy w sezonie. Mimo wszystko wydaje się, że najważniejsza jest rodzina i badania wskazują, że większą pomoc otrzymują rośliny tego samego gatunku, a najlepiej blisko spokrewnione! (...)

Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe

Nawet krótki spacer po lesie sprawia jednak, że w głowie zaczynają się rodzić pytania. Nietrudno bowiem natknąć się choćby na pnie martwych drzew, którym najwidoczniej nikt nie chciał pomóc. Łatwo dostrzec tysiące siewek, które każdej wiosny zielenią się na dnie lasu, ale... gdzie one się podziewają, skoro kolejnego roku widać już następne, a próżno szukać śladu po ich starszym rodzeństwie? Prawda jest niestety brutalna i naturalną kolejną rzeczą zdecydowaną większość drzew traci życie, nim zdąży się choćby zbliżyć do dorosłości. Nie trzeba tu nawet drwała, bo konkurencja o wodę, światło i składniki pokarmowe w zupełności wystarcza, by każdego sezonu eliminować z lasu tysiące młodych roślin.

Gdzie tu więc miejsce na wspomnianą samopomoc, transfery mikroelementów po grzybowym kablu oraz wzajemne ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem? Gdzie ten altruizm? By wyjaśnić, skąd się bierze ta rozbieżność pomiędzy coraz to kolejnymi doniesieniami naukowymi i medialnymi a obserwowaną podczas zwykłego spaceru praktyką, badacze wzięli się do analizy dotychczasowych odkryć. Wątpliwości dotyczące interpretacji wyników zaczęły się pojawiać już kilka lat temu, ale dopiero w 2023 r., w jednym z czasopism „Nature” („Ecology & Evolution”) opublikowano dużą pracę, której jedną z autorek była Melanie Jones, w 1997 r. członkini zespołu Suzanne Simard, od którego wszystko się zaczęło.

Ponowne przyjrzenie się doniesieniom stojącym za popularnością koncepcji Wood Wide Web doprowadziło autorów do ciekawego wniosku, bo oto prawdopodobnie... wszyscy, zarówno naukowcy, dziennikarze, jak i czytelnicy stali się ofiarą

błędu poznawczego, zwanego efektem potwierdzenia. Ogromna atrakcyjność i popularność idei, wedle której las pomaga sobie sam na tylu różnych poziomach, miała doprowadzić do sytuacji, w której pomijano, niekoniecznie świadomie, wyniki badań stojące w sprzeczności ze stawianą hipotezą, a preferowano te, które ją potwierdzały.

Czy to oznacza, że staliśmy się ofiarami jakiegoś wielkiego kłamstwa – drzewa w rzeczywistości wcale o siebie nie dbają, a grzybowy internet nie istnieje? Na szczęście nie. Sprawa jest na tyle skomplikowana, że choć dopiero zaczynamy ją poznawać i rozumieć, to już zdążyliśmy zbudować wokół niej całą mitologię!

Okazuje się bowiem, że owszem, starym drzewom w mączkach

substancji uczestniczą same grzyby, a na ile transfer odbywa się samoistnie, poprzez glebę i korzenie. Dotyczy to także np. informacji o zagrożeniach, które niekoniecznie przekazywane są za pomocą strzępek grzybni, ponieważ od dawna wiemy, że rośliny „rozmawiają” ze sobą również nad ziemią, uwalniając i wychwytyując lotne związki organiczne. Choć akurat w tym przypadku, czy komunikacja odbywa się głównie w glebie, czy ponad nią, a może i obiema tymi drogami, jest to rzeczywiście coś, co mocno działa na wyobraźnię!

Wreszcie, dokonana analiza prac pozwoliła na postawienie chyba najciekawszego z zarzutów – o powstanie pomiędzy naukowcami swoistego głuchego telefonu, w którym

Grzyb z wielokrotną powierzchnię systemu korzeniowego drzewa, a drzewo karmi go cukrami pochodzącymi z fotosyntezy.

zdarza się karmić i nawadniać młode, które inaczej nie mogłyby przeżyć pod gęstym okapem koron, ale w innych przypadkach nowe pokolenie roślin może wcale takiej pomocy nie otrzymywać albo wręcz na takim sąsiedztwie tracić, stając się ofiarą strategii zwalczania konkurencji. Sieci mikoryzowe oczywiście istnieją i łączą drzewa, ale trochę w domyśle założyliśmy, że są bardzo powszechne, rozległe i spinają las w jakiś jeden wielki organizm, tymczasem nie ma na to właściwie żadnych dowodów i równie dobrze mogą to być stosunkowo niewielkie grupki połączonych przez grzyby roślin. Wymiana substancji, która miałaby się za pośrednictwem mikoryzy odbywać, także nie jest żadnym wymysłem, lecz dobrze udokumentowanym faktem, ale nic nie wskazuje na to, by cechowała ją jakaś celowość. Drzewa mogą na niej zarówno zyskiwać, jak i tracić i nie wiemy, czy coś jeszcze, prócz zwykłych procesów fizycznych, nią steruje.

Ze względu na trudności metodologiczne trudno także stwierdzić, w jakim stopniu w przekazywaniu

łańcuszek następujących po sobie cytowań zaczął wypaczać sens niektórych badań, a to z kolei umożliwiło ich interpretację pod założoną tezę. Trzeba bowiem pamiętać, że wyniki bywają dużo bardziej niejednoznaczne, niż możemy później usłyszeć, i opierają się na statystycznych różnicach, wcale niewykluczających innych, mniej prawdopodobnych opcji. Czy to źle? Wręcz przeciwnie, ja już dawno nauczyłem się dostrzegać piękno w tym, że o przyrodzie niemal nic nie można powiedzieć na pewno! Trzeba być jednak świadomym, że opisujemy świat tylko na tyle, na ile udało nam się go zbadać.

Czy las traci na swojej magii tylko dlatego, że być może wcale nie jest aż tak ściśle połączony, jak chcielibyśmy wierzyć? Wcale nie! Tam rzeczywiście kryje się coś, co dopiero zaczynamy odkrywać i co może mieć wpływ na jego funkcjonowanie w sposób, którego nigdy wcześniej nie dostrzegliśmy. (...)



Fragmety książki Dariusza Dziekta *Chodźmy w las! Co się kryje między drzewami*, Powergraph, Warszawa 2025



W stolicy, ale jak na wsi

Jakiś czas temu w mediach społecznościowych rozgorzała emocjonalna dyskusja związana z zamiarem ulokowania na warszawskim Wilanowie marketu jednej z sieci handlowych. Wysublimowane poczucie estetyki krajobrazowej części mieszkańców osiedla zostało urażone (sądząc po wpisach na różnych forach internetowych) zbyt rustykalnym charakterem planowanej inwestycji, niepasującej do otoczenia. Warto zatem pamiętać, że tuż za miedzą, na Skarpie Warszawskiej, pomiędzy blokami Wilanowa i Ursynowa, znajdują się pozostałości wsi Wolica

z zabudową, która zupełnie nie ma wielkomiejskiego charakteru. Początki wsi sięgają drugiej połowy XIV w. Wolica należała do kilku rodów szlacheckich, by następnie trafić do dóbr wilanowskich króla Jana III Sobieskiego. W XIX w. jej właścicielami zostali Branicy, którzy utworzyli Folwark Wolica. Wieś przetrwała obie wojny światowe, z formalnego punktu widzenia nie istnieje od 1951 r., gdy została włączona do Warszawy. Obecnie jako część osiedla Ursynów-Centrum Wolica pod swoją historyczną nazwą nadal żyje pamięcią mieszkańców. (rp)





Fot. Krzysztof
Żuczkowski



Notatka i łokcie Nawrockiego

Przed wyjazdem Karola Nawrockiego do USA mieliśmy awanturę związaną z notatką, którą MSZ przygotowało dla prezydenta. Sztywno z niej rzecznik prasowy Nawrockiego Rafał Leśkiewicz. Że jest bardzo krótka. I że „nie ma żadnych konkretnych wskazówek”. Wtórował mu Marcin Przydacz, szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta, wołając, że do prezydenta dotarło z MSZ półtorej kartki A4. I że to despekt. „Półtorej strony A4 jak na całodniową wizytę w Waszyngtonie, to nie wydaje się, aby rząd miał bardzo dużo do powiedzenia”, lamentował.

Słowa Przydacza budzą zdumienie. Bo o ile można zrozumieć, że Rafał Leśkiewicz, jeszcze niedawno pracownik IPN, nie wie, jak wyglądają instrukcje dyplomatyczne, o tyle Marcin Przydacz, który kilka lat spędził na stanowisku wiceministra w MSZ, powinien takie sprawy mieć w małym palcu. Czyżby więc zasadnie były niedawne słowa jego byłego przełożonego, Jacka Czaputowicza, szefa MSZ w latach 2018-2020, że nie traktuje Przydacza jako dyplomaty? Coś w tym chyba jest, bo Przydacz w MSZ pracował tylko jako wiceminister, przyszedł tam prosto z kancelarii prezydenta Dudy, czyli dyplomację zna jedynie z lotu ptaka.

Wyjaśnijmy zatem: notatka, o którą rozgorzała awantura, z zasady musi być krótka. Nosi nawet stosowną nazwę – *one page*. Takie notatki przygotowuje przed ważnymi rozmowami najczęściej departament kierunkowy, zbierając przy okazji (to też się zdarza) wypowiedzi z innych obszarów. Potem notatka trafia do sekretariatu ministra, czyta ją minister, ewentualnie

wiceminister, i jest wysyłana do adresata. Czyli do prezydenta, premiera, ale także do marszałków Sejmu i Senatu, ważnych person. To w świecie dyplomacji rzecz znana od dziesięcioleci. W notatce wszystko jest wyłożone hasłowo, na jednej stronie właśnie. Cel jest prosty: chodzi o to, by decydent miał wszystkie istotne kwestie przed oczami i nie grzebał w papierach. Milcząco się zakłada, że ma się do czynienia z osobą obeznaną z zagadnieniem, więc kolejne punkty nie wymagają szczegółowych objaśnień. Ale jeżeli premier czy prezydent zechcą posiąść w jakiejś sprawie wiedzę szczegółową – jest do ich dyspozycji kilkudziesięcio-, a czasami nawet kilkusetstronicowy raport.

Ba, w polskiej rzeczywistości był jeszcze zwyczaj, że wizytom zagranicznym prezydenta towarzyszył wiceminister spraw zagranicznych. Był do dyspozycji, zawsze gotów wspomagać prezydenta czy korygować różne zobowiązania. Najzupełniej słusznie, bo w konstytucji RP jest zapisane, że politykę zagraniczną prowadzi rząd.

Brutalnie więc rzecz ujmując, różne zobowiązania Karola Nawrockiego, które złożył za granicą, nie mają znaczenia. Bo to nie jest zakres jego kompetencji. Choć Nawrocki udaje, że jest inaczej, rozpycha się łokciami, chce pokazać, że może więcej. No, ciekawe, do jakich granic dotrze...

Pół MSZ już kupiło popcorn, zasiadło w fotelach i czeka na ciąg dalszy tego przedstawienia.

Attaché



Prezydent Rosji Władimir Putin i przywódca Korei Północnej Kim Dzong Un po paradzie wojskowej w Pekinie z okazji 80. rocznicy zwycięstwa nad Japonią i zakończenia II wojny światowej. 3 września 2025 r.



NIE MAM DZIŚ NIC DO ZAWETOWANIA



ZAWETUJĘ WIĘC SWOJE WCZORAJSZE WETO



ANDRZEJ DUDA W KANALE ZERO



PENETRACJE

TYTUŁOWY
ANGORA
MAGAZYN
KULTURALNO-ARTYSTYCZNY

SŁAWOMIR PIETRAS,
MENEDŻER KULTURY

Czego w Polsce mamy za wiele? Na pewno muzeów! Oczekuję chwili, kiedy któreś miasto ogłosi otwarcie Muzeum Świeżego Powietrza, Niespełnionych Obietnic czy Żle Wydanych Pieniędzy. Nie będę się jednak tym wszystkim interesował, zniechęcony poczynaniami niedawnej ministry kultury, która pochodzi z grona działaczy muzealnictwa i powinna wyładować wypchana trocinami w gablocie, ale nie w Zachęcie, którą kierowała, tylko na peryferiach muzealnictwa z napisem „Zniechęcenie”! Również stanowczo za dużo mamy w Polsce festiwali.

RES HUMANA
MAGAZYN
KULTURALNO-ARTYSTYCZNY

PRZEMYSŁAW GRUDZIŃSKI,
DYPLOMATĄ

Historyk wczesnej fazy nuklearnego odstraszenia (nuclear deterrence), którym poniekąd jestem, nie wierzy w pożytek ulokowania niewielkiego arsenału broni nuklearnej w Polsce. To nie jest droga do zapewnienia Polsce raz na zawsze upragnionego bezpieczeństwa. Przeciwnie, ten krok zwielokrotni zagrożenie atakiem nuklearnym na Polskę. (...) Nie działają już traktatowe mechanizmy regulujące, stanowiące quasi-porządek nuklearny, i umowne, eliminujące nieodpowiedzialne posługiwanie się werbalnymi nuklearnymi groźbami. Nie funkcjonuje swoista etykieta nuklearnych relacji wypracowana mozolnie przez supermocarstwa. W okresie wojennego przesilenia, w okresie narastającego lęku, niepewności i braku wizji przyszłości, ignorowane są lekcje Hiroshimy i rośnie skłonność do podejmowania irracjonalnego ryzyka.

VIVA!

NINA TERENTIEW,

CZŁONKINI RADY NADZORCZEJ TELEWIZJI POLSAT

Jesteś bardzo ambitna.

– Niestety. Albo stety. Bez ambicji nie ma żadnej twórczości. Musisz bardzo chcieć zrobić coś niepowtarzalnego. Poza tym istnieje różnica między telewizją prywatną a państwową. W państwowej jest budżet, a w prywatnej czyjeś pieniądze, które muszą przynosić określony zysk. W telewizji publicznej nie trzeba za wszelką cenę ściągać się o widza, bo ważna jest też misja. W telewizji prywatnej oglądalność to widz, a widz to wpływy z reklam.

DUŻYFORMAT

PIOTR GŁUCHOWSKI,
REPORTER

Jak podał „Newsweek”, Szefernaker pokochał PiS do takiego stopnia, że nawet na swym wieczorze kawalerskim wznosił toasty za partię. Ze starszą o pięć lat warszawianką Magdaleną Stawarską poznali się, kiedy Paweł jeszcze studiował, a ona pracowała w biurze komunikacji Narodowego Funduszu Zdrowia. Wcześniej zrobiła licencjat w toruńskiej szkole medialnej ojca Tadeusza Rydyka, dalej studia kulturoznawcze na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem podyplomowe z coachingu w Szkole Głównej Handlowej. Mimo takiego wykształcenia nie znalazła posady w Warszawie. Pracowała w ośrodku socjoterapii w Kielcach. Jednocześnie pisała artykuły do rydzikowego „Naszego Dziennika” (...). Gdy PiS oddało władzę jesienią 2023 r., musiała opuścić Polski Holding Hotelowy – zatrudnił ją Instytut Studiów Wschodnich związanego ze Szczecinem Jacka Kotasą, niedoszłego posła PiS, którego dziennikarz Tomasz Piątek określa „rosyjskim łącznikiem” tej partii. Kotas wytoczył mu za to sprawę, którą przegrał.

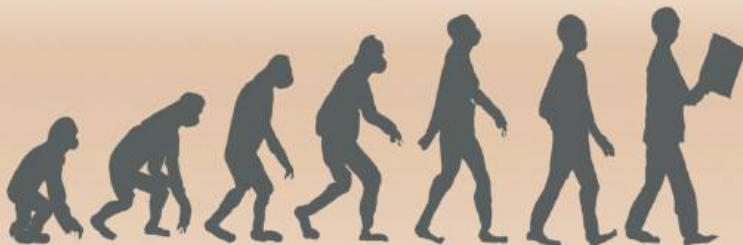
20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Johann Wolfgang von Goethe.

WIDOCZNOŚCI
WIDOCZNOŚCI
WIDOCZNOŚCI
WIDOCZNOŚCI
WIDOCZNOŚCI
WIDOCZNOŚCI
WIDOCZNOŚCI
WIDOCZNOŚCI
WIDOCZNOŚCI
WIDOCZNOŚCI

NAJBLIŻSZY DOSKONAŁOŚCI JEST TEN, KTO ROZTRÓPIŃE UZNAJE SWĘ OGRANICZENIA

HOMO SAPIENS – HOMO LEGENS



TYGODNIK
ANGORA
PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ
CZŁOWIEK MYŚLĄCY – CZŁOWIEK CZYTAJĄCY



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl
listy@tygodnikprzeгляд.pl

tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzół i.morzol@tygodnikprzeгляд.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,
Beata Dzon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Patkiewicz, Rafał Pikuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumulowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamierowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszyn
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeгляд.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Aby język giętki...

WŁADYSŁAW FRASYNIUK DO LECHA WAŁĘSY

Lechu, nie przejmuj się. O tobie na całym świecie mówią z szacunkiem. O Nawrockim nie mówią nic.

ANKA SASNAŁ O PODZIAŁACH

Żyjemy jako dwie nienawidzące się i zwalczające grupy. Oni chcą być narodem, a my społeczeństwem.

WALDEMAR ŻUREK O REFORMIE SĄDOWNICTWA

Muszę mieć ludzi, którym nie można zarzucić udziału w niszczeniu praworządności, którym ufam, i wiem, że nie będą sabotażystami.

KS. ADAM BONIECKI O PIOTRZE MUCHARSKIM

Przez lata z podziwem patrzyłem na jego pracę. Tworzył pismo suwerennych autorów i wolnych ludzi.

KAMILA BAAR O JULIUSZU MACHULSKIM

Ma światowy sznyt, nie zadowolają go półśrodki. Robi coś z rozmachem albo wcale.

MAJA OSTASZEWSKA O DOBREJ ENERGII

Jest formą oporu. Wszystkie najbardziej skrajne ideologie chcą, byśmy byli przestraszeni, smutni i bezwolni. Takimi łatwiej się steruje.

MIROŚLAW ZBROJEWICZ O GŁUPOTACH

Trochę dokazywałem w życiu, narobiłem różnych głupot, o których nigdy nikomu nie opowiem.

JULIA PIETRUCHA O SOBIE

Jestem miłością. Chciałabym podążać jej ścieżkami. Tak naprawdę nic na tym świecie nie ma większej wartości.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeглядzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPPLP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Renata Szpunar

Żywe, kolorowe linie, barwne plamy, kropki i kreski tworzą kompozycje 20 obrazów Renaty Szpunar. Krakowska malarka przemawia kolorem, nadając brutalistycznym, ceglany m wnętrzm konferencyjnym hotelu Forest w Przegorzatach w krakowskim Lesie Wolskim lekkość, słońce i pogodę. Jej prace, stworzone specjalnie na zamówienie obiektu, opowiadają o pięknie natury i sugerują, że także wnioski z obrad w tych murach nie muszą być ponure. Wystawa nie tylko ukazuje świeżość i energię

twórczości Szpunar, lecz także podkreśla rolę właściciela hotelu, który od lat konsekwentnie wzbogaca przestrzeń sztuką, wspierając rozwój lokalnych artystów.

Daniel Wójtowicz

ZR ART GALLERY, Hotel Forest
Przegorzały, ul. Jodłowa 13
do 30 grudnia



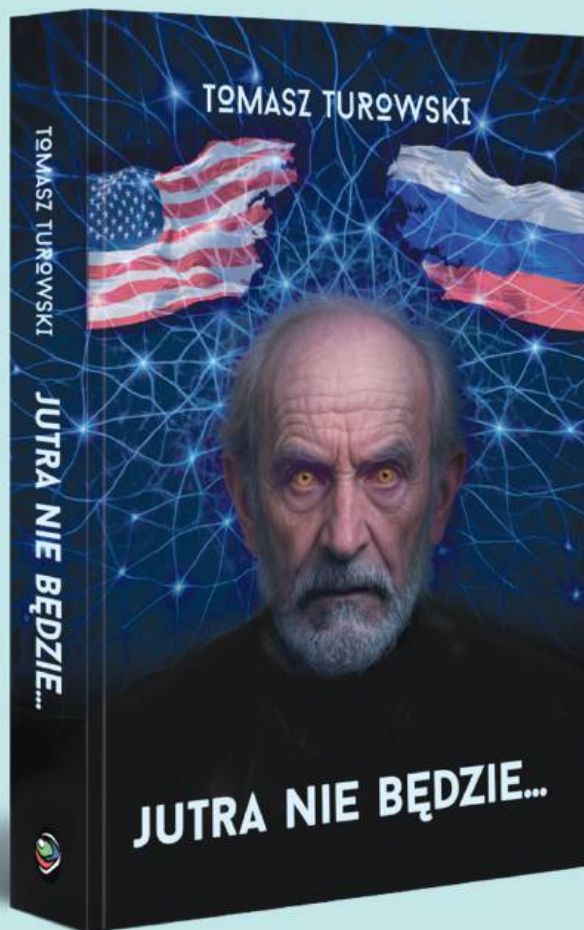
DLA MIŁOŚNIKÓW POWIEŚCI SENSACYJNYCH

Nowa powieść legendarnego
oficera polskiego wywiadu
Tomasza Turowskiego.

Wydawnictwo **MELANŻ**

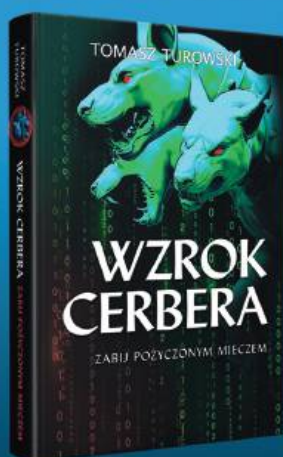
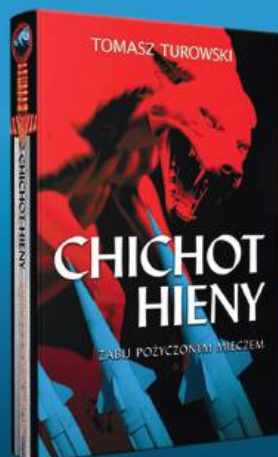
Trzymająca w napięciu książka
odśłania tajniki pracy wywiadowczej.
Ekscytujące sceny, starcia zbrojne
i nieoczekiwane zwroty akcji.

Kto przeczyta „Jutra nie będzie...”,
sięgnie po inne książki tego autora.
Bo, jak napisał wybitny krytyk literacki
Leszek Bugajski: „Kto dotąd zadawał
sobie pytanie, czy jest możliwy polski
John le Carré, ten, biorąc do ręki powieść
Tomasza Turowskiego, znajdzie odpowiedź”.



Zapraszamy do księgarni Świat Książki i salonów Empik

Biblioteka PRZEGLĄDU



Książki można kupić przez sklep internetowy www.sklep.tygodnikprzeklad.pl

